

Klasyka literatury



e-tekst.pl
twoja czytelnia

WYŚCIG Z CZASEM

Karol May

AUDIENCJA

Gdy przybył do stolicy wynajął dorożkę i kazał się zawieźć do hotelu magdeburskiego, gdyż bał się ponownego zbiegowiska, dotarłszy do hotelu zawołał portiera:

- Czy to jest hotel magdeburski?

- Tak.

- Dostanę tutaj pokój?

Portier, który przyglądał się przybyszowi ze zdziwieniem rzekł:

- Pan jest obcokrajowcem?

- Tak.

- A ma pan paszport?

- Mam.

- To proszę.

Poprowadził go przez podwórze na tył hotelu i tam otworzył jakieś drzwi.

- Proszę do środka.

Sępi Dziób wszedł do środka i oglądnął wewnątrz. Był to ciemny, zadymiony pokój pełen rupieci i starej odzieży. Kilku mężczyzn siedziało przy brudnym stole, na którym stały pełne kieliszki.

- Do stu piorunów! Co to za dziura? - spytał.

- Pokój dla służby.

- Zamawiałem pokój dla służby czy osobny?

- Zamawiał pan tylko pokój, a myślę, że ten jest stosowny, chyba może życzy pan sobie coś lepszego?

- Naturalnie.

- A w jakiej cenie?

- To nie ma znaczenia, byle tylko był wygodny.

Portier zrobił drwiącą minę lecz z głębokim ukłonem rzekł:

- Proszę pójść za mną.

Poprowadził go głównymi schodami. Zaraz na pierwszym piętrze były otwarte drzwi do wygodnie urządzonego pokoju, można było zobaczyć wielki, elegancko urządzony salonik, a po prawej stronie sypialnię.

- Czy to panu wystarczy? - spytał portier drwiącym głosem, sądząc, że gość cofnie się przerażony.

Jednak pomylił się, gdyż przybysz spojrzawszy obojętnie i powiedział:

- No, pałac to to nie jest, ale..., może wystarczy.

To zezłościło portiera, więc rozdrażniony powiedział:

- W tym pokoju mieszkał sam hrabia Waldsetten i to przez dwa dni.

- Dziwne, ja zatrzymam to mieszkanie tymczasowo.

Portier przeraził się nie na żarty, a jeżeli ten dziwoląg naprawdę się tutaj rozlokuje, a potem nie będzie miał czym zapłacić za pobyt.

- Ten apartament kosztuje pięć talarów za dobę - zawołał szybko.

- To jest mi obojętne.

- Bez jedzenia.

- Wszystko jedno.

- I bez oświetlenia.

- Dobrze.

W tej chwili zjawiła się pokojówka. Była to znajoma Roberta.

- Proszę o dokumenty - powiedział portier.

- Do pioruna, czy to takie pilne? - spytał Sępi Dziób.

- Takie są przepisy.

- To nie hotel, tylko jakaś knajpa, skoro nawet książki meldunkowej nie macie dla gości.

- Mamy, może ją pan zaraz dostać.

- No to proszę ją przynieść, ale najpierw proszę mi powiedzieć, czy przypadkiem nie zna pan kapitana huzarów, Roberta Helmera?

- Nie.

- Czyli, że jeszcze nie przyjechał.

- Nic mi o tym nie wiadomo.

W tej chwili do rozmowy wmieszała się pokojówka i rzekła:

- Ja bardzo dobrze znam pana kapitana.

- Tak?

- Ja pochodzę z tych samych co on okolic.

- Mieliśmy się dzisiaj tutaj spotkać - rzekł Sępi Dziób.

- To zapewne niedługo przybędzie. Czy mam dla niego zarezerwować pokój?

- O tym nie wspominał, ale... - przerwał a zwracając się do portiera powiedział: - Czego pan tu jeszcze stoi? Czy przypadkiem nie miał pan przynieść książki meldunkowej?

- Natychmiast, proszę pana - odparł kelner już innym tonem. - Czy pan jeszcze coś rozkaże?

- Coś do jedzenia.

- Śniadanie? Zaraz przyniosę spis potraw.

- To zbyteczne, proszę mi przynieść dobre śniadanie. Z czego się będzie składało jest mi obojętne.

Kelner oddalił się. Sępi Dziób porozkładał swe bagaże, a zwracając się do pokojówki spytał:

- Pochodzi więc pani z Moguncji?

- Tak.

- To pani też jest tutaj obca?

- Nie, już kilka lat jestem w Berlinie.

- Widziała już pani kiedyś Bismarcka?

- Widziałam.

- Proszę mi go opisać.

Spojrzała na niego ze dziwieniem.

- Czy pan się może do niego wybiera? - spytała.

- Tak moja panno.

- O to raczej będzie trudne, trzeba się najpierw zameldować w ministerstwie.

- Głupstwo, tyle zachodów nie będę robił.

Opisała mu drogę do ministerstwa, tymczasem zjawił się portier z księgą i śniadaniem. Sępi Dziób wpisał się do książki i zabrał do śniadania. Służba się oddaliła. Kiedy po chwili portier zjawił się ponownie, zastał go wypakowującego swój worek i z przerażeniem spojrzał na zawartość. Nie namyślając się wiele pobiegł do gospodarza donosząc mu o dziwnym gościu. Kiedy go opisał, właściciel zawołał:

- I takiemu człowiekowi dałeś nasz najlepszy apartament?

- Ja chciałem sobie z niego zadrwić - odparł portier usprawiedliwiająco.

- Jaki ma bagaż?

- Strzelbę.
- Do diabła! Co jeszcze?
- Dwa rewolwery, wielki, długi nóż.
- Straszne.
- Starą trąbę.
- Co? Starą trąbę? W to nie uwierzę. Dokładnie widziałeś?
- Hm, przypuszczam, że to trąba.
- Z mosiądzu?
- To trudno powiedzieć.
- A jakiej jest barwy?
- Podobnej do mosiądzu, tylko ciemniejszej.

- O Boże, to na pewno jakiś diabelski instrument, jakieś działo, albo taran. Mówisz, że wygląda podejrzanie?

- O i to bardzo!
- Kto wie jakie on ma zamiary!

Pokojówka, która dotychczas przysłuchiwała się spokojnie, zawołała nagle:

- O Boże, on pytał się o Bismarcka!

Gospodarz zbladł.

- Czego chciał od niego? - zapytał szybko.
- Nie wiem, dokładnie opisałam mu drogę do pałacu.
- On chce tam iść?
- Tak, chce mówić z ministrem.
- Do stu diabłów! On na pewno szykuje jakiś zamach!

- Powiedziałam, że nie tak łatwo się tam dostać, odpowiedział, że nie będzie robił zbytnich zachodów.

- O Boże! naprawdę chce go zastrzelić! - zawołał kelner.
- Co tu teraz robić? - spytał gospodarz.
- Jak najprędzej o wszystkim poinformować policję - dodał portier.
- Oczywiście, sam tam pobiegnę! - i gospodarz bez tchu pobiegł na komisariat.
- Zamach! Skrytobójczy zamach! - zawołał.
- Gdzie? - spytał policjant.

Hotelarz zaczął opowiadać o szczegółach mieszając się, plotąc piąte przez dziesiąte.

- Jak się ten człowiek nazywa? - pytał dalej policjant.
- William Saudores.
- To jakiś Anglik lub Amerykanin. Kiedy przyjechał.
- Przed pół godziną.
- Jak jest ubrany.
- Potwornie dziwacznie. W starych skórzanych spodniach, we fraku o guzikach wielkości talerza, w trzewikach jak do tańca i w ogromnym kapeluszu.

- Hm, to raczej jakiś szczególny okaz, ale nie zbrodniarz. Jeżeli ktoś planuje jakikolwiek zamach, to ubiera się raczej tak, aby innym nie rzucać się w oczy.

- Ale jego broń!
- Co? Posiada broń?

- Tak. Strzelbę, dwa rewolwery, ogromny nóż i jakąś podobną do trąby maszynę, zapewne naładowaną dynamitem.

- Widział pan to?
- Ja nie, ale mój portier.
- Można mu wierzyć?
- Naturalnie.
- A skąd pan wie, że ten zamach wymierzony jest przeciw Bismarckowi?
- Przecież pytał o jego mieszkanie.
- Kogo?
- Pokojówkę.
- Hm, to rzeczywiście podejrzone, ale nie do końca przekonywujące.
- Powiedział, że nie będzie sobie robił zbędnych ceregieli.
- Czy ta dziewczyna może na to przysiąc?
- Może.
- Powiedział może kiedy ma udać się do Bismarcka?
- Nie.
- Gdzie jest teraz?
- W swoim pokoju, je śniadanie.

- Dobrze. Mam nadzieję, że pan się myli, ale moim obowiązkiem jest zbadać tę sprawę. Zamelduję to przełożonemu i za jakieś pół godziny zjawię się u pana. Musi pan uważać, żeby do tego czasu nie wyszedł z hotelu.

- W razie potrzeby mogę zatrzymać go siłą.

- Tylko w szczególnym wypadku, pan sam będzie najlepiej wiedział, jak ma to zrobić, jakich użyć środków aby nie działać gwałtownie.

- Dobrze, już ja to zrobię.

Z tymi słowami oddalił się. Tymczasem Sępi Dziób zjadł z apetytem śniadaniem nie przeczuwając nawet jakie chmury zbierają się nad jego głową.

- Mam tu czekać na kapitana? - spytał sam siebie. - O nie! Sępi Dziób i bez protekcji potrafi trafić do Bismarcka. Naturalnie nie będę sobie już mógł stroić żartów, jak do tej pory, ale dostać się do niego muszę. Ciekawy jestem jakie oczy zrobi na widok takiego dziwaka, który koniecznie chce się dostać do niego na audiencję.

Rzeczy schował w sypialni, drzwi zamykając na klucz.

- Nikt nie potrzebuje wiedzieć co mam w worku, już i tak ten głupi kelner widział za dużo. Może mają drugi komplet kluczy do pokoju, ale i na to jest rada.

Wyjął śrubę służącą do zamykania zamków i wkręcił ją w dziurkę. Niezauważony przez nikogo zszedł na dół. Gospodarz był właśnie na policji, a służba zgromadziła się w kuchni, by omówić ostatnie wydarzenia. Gdy wyszedł na zewnątrz udał się we wskazanym kierunku. Człowiek mieszkający w wielkim mieście widzi tyle dziwaków przeróżnie ubranych, że raczej nie zwraca uwagi na kolejnego przebierańca. Kilku przechodniów zapytał o drogę i w końcu stanął przed rezydencją kanclerza.

W bramie stał wartownik. Sępi Dziób podszedł do niego, poufale klepnął po ramieniu i zapytał:

- To rezydencja pana Bismarcka, nieprawdaż?

- Tak - odparł służbowo wartownik, przyglądając się z uśmiechem przybyszowi.

- Mieszka na pierwszym piętrze?

- Tak.

- A czy mister w domu?

- Mister? Kto?

- No, Bismarck.
- Chce pan powiedzieć, jego ekscelencja, hrabia Bismarck.
- Tak, hrabia, ekscelencja i co pan tam jeszcze chcesz.
- Jest w domu.
- Ha, to dobrze trafiłem.

Chciał przejść obok strażnika, ale ten złapał go za rękę i spytał:

- Stój! Dokąd pan idzie?
- No, do niego.
- Do jego ekscelencji?
- Naturalnie.
- To niemożliwe.
- Tak, a to dlaczego?
- Czy jest pan umówiony?
- Nie.
- A w jakiej sprawie pan przybywa?
- To mogę powiedzieć tylko jemu.
- W takim razie musi pan najpierw złożyć podanie o audiencję.
- Podanie o audiencję? Ani mi to w głowie.
- Ha, no to nic panu nie poradzę.
- Bardzo dobrze, ja i tak nie mogr? K tracić więcej czasu. Do widzenia!

Zamiast odejść poszedł w stronę schodów.

- Stój! - zawołał stróż. - Powiedziałem przecież, że nie wolno wchodzić do środka!
- Nie wolno? Przekonam pana, że wolno.

Usunął go na bok i pospieszył naprzód.

- Proszę się natychmiast stąd oddalić! - wołał rozzłoszczony wartownik. - Inaczej będę zmuszony użyć prawa.

- A ja moich pięści.

Właśnie kiedy się tak kłócili i szamotali zjawił się na schodach jakiś starszy pan w mundurze, z czapką na siwej głowie. Był imponującej postaci i łagodnym wzroku. Trzymał się prosto, jak na żołnierza przystało.

Wartownik, gdy go zobaczył natychmiast puścił Sępiego Dzioba i stanął na baczność. Traper tego nie zauważył, chcąc skorzystać z wolności pobiegł na schody i tam zrównał się ze schodzącym. Niewiele namyślając się uchylił kapelusza i rzekł:

- Good morning, starszemu panu. Może pan potrafi mi wskazać pokój, w którym mógłbym spotkać jego ekscelencję, ministra Bismarcka?

Schodzący spojrział ze zdziwieniem i spytał ze śmiechem:

- Pan chce mówić z Bismarckiem?
- Tak.
- A kim pan jesteś?
- To mogę powiedzieć tylko jego ekscelencji.
- Tak? A czy jest pan umówiony?
- Nie, my old mister.
- W takim razie będzie pan musiał odejść z niczym.
- To niemożliwe, bo to bardzo ważna sprawa.
- Tak? Prywatna?

Widocznie ów szpakowaty jegomość zrobił na Sępiem Dziobie pozytywne wrażenie, bo odrzekł po chwili:

- Właściwie nie powinienem panu tego mówić, ale ponieważ widzę, że nie jest pan byle kim i nie pyta pan z czystej ciekawości, więc powiem panu, że to nie jest sprawa prywatna.

- A jaka?

- Więcej nie mogę powiedzieć.

- To taka straszna tajemnica?

- Tak.

- Nie ma pan nikogo, kto by pana u eksceleńcy zameldował lub wprowadził?

- O mam, ale dotychczas nie przyjechał, więc nie chciałem na niego czekać.

- A kto to taki?

- Kapitan huzarów gwardii królewskiej.

- Jego nazwisko?

- Robert Helmer.

Przez twarz starszego jegomości przeleciał dziwny uśmiech.

- Znam go - odrzekł. - On ma przyjechać do Berlina i wprowadzić pana do Bismarcka?

- Tak.

- Ale on jest w podróży?

- Miał pojechać, ale spotkał mnie w Kreuznach i dowiedział się ode mnie o paru ważnych sprawach, dlatego chciał, bym to wszystko zakomunikował jego eksceleńcy.

- Tak? W takim razie ja sam wprowadzę pana do ministra, proszę mi tylko powiedzieć, kim pan jest?

- Dobrze, ale nie tutaj, bo usłyszy mnie ten gamoń wartownik.

- Proszę za mną.

Wprowadził go do pokoju, w którym siedział lokaj. Na widok wchodzących chciał oddać głęboki ukłon, jednak jegomość skinął nieznacznie ręką.

- No, to jesteśmy sami - powiedział gdy lokaj się oddalił. - Teraz może pan wreszcie mówić.

- Jestem myśliwym i kapitanem dragonów Stanów Zjednoczonych, mój przyjacielu.

- Tak? A czy pan ma na sobie przypadkiem strój amerykańskich dragonów?

- O nie. Jeżeli pan, to co mam na sobie uważa za mundur, to musisz mieć słabe pojęcie o mundurach. Ale nic nie szkodzi, przyjacielu. Ja specjalnie ubrałem się w te fatałaszkę, żeby, no żeby móc cieszyć się z miny gapiów, który oglądali mnie z rozdziawioną gębą.

- To dość dziwny rodzaj sportu. Ale proszę mi powiedzieć, co to za tajemnica, proszę się nie obawiać zdrady z mojej strony, bo jestem bliskim powiernikiem ministra.

- Tak? Hm, niech już tak będzie. Ja przybywam z Meksyku.

Twarz starszego pana natychmiast spoważniała.

- Z Meksyku? Był tam myśliwym, czy może żołnierzem?

- Przede wszystkim byłem przewodnikiem jednego Anglika, który miał dostarczyć pieniądze i broń do Juareza.

- Lorda Lindsaya?

- Tak, zna go pan?

- Znakomicie. Podróżował pan z nim?

- Tak. Płynęliśmy w górę Rio Grande del Norte aż do miejsca spotkania z Juarezem.

- To znaczy, że pan widział także Juareza?

- Naturalnie. Codziennie. Aż do mego wyjazdu do Prus, cały czas przebywałem przy jego boku.

Twarz mężczyzny zdradzała coraz większe zainteresowanie.

- A po co pan przybył do Prus?

- Stosunki rodzinne domu Rodrigandów, Sternaua, Helmera itd. wymagały tego, ale to pana nie będzie interesowało, zresztą, mogę panu pokazać moje papiery.

Wyciągnął cały stos i podał. Starszy pan przeglądnął je szybko i powiedział:

- Rzeczywiście muszę pana szybko przedstawić jego ekscelencji, chociażby jako okaz niezwykłego Amerykanina, bo...

W tej chwili otworzyły się drzwi i do pokoju wszedł Bismarck.

- Jego królewska mość jeszcze tutaj? - spytał zwracając się z głębokim ukłonem do starszego jegomościa.

- Co? Jego królewska mość? - zawołał pospiesznie Sępi Dziób. - Do pioruna!

Bismarck spojrział na nieznanego wręcz z przerażeniem. Starszy jegomość skinął jednak ręką, mówiąc do trapera:

- Proszę się nie denerwować.

- Ani mi to w głowie - odparł Sępi Dziób - ale jeżeli ten mister nazywa pana jego królewską mością, to pan chyba jest...

- No, kim?

- Królem Prus.

- Tak, w rzeczy samej.

- Ale ze mnie osioł. Ale ktoby pomyślał, no to ładnie się spisałem; Sępi Dziobie, co sobie o tobie król pomyśli?

- Sępi Dziób? A któż to taki? - spytał król.

- Ja. Na prerii każdy ma swój przydomek. Mnie ochrzcili Sępi Dziobem, dzięki memu ogromnemu nosalowi. Ale jego królewska mość, kim jest ten pan?

- Nie zna go pan?

- Nie mam przyjemności.

- A z portretu?

- Portretu? Ja się obrazkami nie zajmuję.

- To ten człowiek, do którego chciał się pan dostać.

Sępi Dziób zrobił krok do tyłu i zawołał:

- Co? To Bismarck? Naprawdę?

- Tak.

- No, inaczej go sobie wyobrażałem.

- To znaczy jak?

- Cienkiego, chudego, prawdziwego mistrza pióra, a tu postawa godna, wysoka. No, ale to nie szkodzi, nawet korzystniej wygląda. A teraz proszę jego królewską mość, aby powiedział ministrowi, kim ja jestem.

Król z uśmiechem podał dokumenty myśliwego Bismarckowi. Ten przeleciał je wzrokiem, po czym spojrzawszy na twarz Sępiego Dzioba skinął ręką i rzekł:

- Proszę za mną, panie kapitanie.

Zrobił miejsce królowi, po czym wszedł razem z traperem do swego gabinetu. Lokaj, który powrócił na swoje miejsce słyszał jakąś ożywioną rozmowę. Treść jej jednak pozostała tajemnicą

Kiedy gospodarz i właściciel hotelu magdeburgskiego powrócił z komisariatu natychmiast zapytał o gościa.

- Ciągłe jest u siebie? - spytał kelnera
- Tak.
- Je śniadanie?
- Z pewnością.
- Nie może opuścić hotelu, dopóki nie przybędzie policja.
- W takim razie będę go pilnował na korytarzu.
- Tym zajmę się sam. W tak ważnych sprawach wolę polegać tylko na sobie.

Za jakiś kwadrans przybyła policja. Na ulicy, domu pilnowali detektywi. Dwóch z nich, najbardziej wprawnych w pracach śledczych udało się na górę, by uwięzić przybysza.

- Jest w pokoju? - spytali gospodarza.
- Musi być, bo nikt nie widział, żeby go opuszczał - odparł.
- Gdzie mieszka?
- W pokoju numer jeden.
- Dzwonił może na służbę?
- Nie.
- Hm, to obsłużymy go bez dzwonienia. Już chciał podejść do drzwi, gdy nagle coś sobie przypomniał i zapytał gospodarza:

- Ten człowiek podobno rozmawiał z pana pokojówką?
- Tak.
- Gdzie ona jest?
- W kuchni.
- Proszę ją zawołać.
- Po co?
- Wejdzie do niego pod jakimkolwiek pretekstem; w ten sposób dowiemy się co on porabia.

Pokojówka zjawiała się szybko i zapukała do drzwi. Ponieważ nie otrzymała żadnej odpowiedzi weszła do środka. Upłynęło sporo czasu zanim wyszła z powrotem.

- Co on robi? - spytał policjant.
- Nie wiem - odparła z zafrasowaną miną.
- Przecież go widziałas?
- Nie. Nie było go w pokoju, ani w salonie.
- A w sypialni?
- Sypialnia jest zamknięta.
- Może śpi, pukałaś?
- Pukałam, ale nikt nie odpowiadał.
- Może twardo śpi?
- To niemożliwe, bo waliłam w drzwi pięściami.
- Gdzie ma swoje rzeczy?
- Prawdopodobnie w sypialni.
- Więc nie chce otworzyć?
- Nie.

- No to spróbujemy sami. Władzy się nie oprze.

Razem z innymi wszedł do środka i podszedł do zamkniętych drzwi sypialni. Zapukał i zawołał:

- Panie kapitanie!

Odpowiedziała mu cisza.

- Proszę otworzyć!

Znowu ani słowa odpowiedzi.

- W imieniu prawa! Nadal cisza.

- Ha, będziemy musieli sami otworzyć.

Zwracając się do jednego ze swoich podwładnych rzekł:

- Proszę mi podać wytrych.

Zaczął próbować.

- Do diabła! Dziurka jest zatkana!

- Może klucz jest z drugiej strony?

- Nie, musiał coś wpakować do środka i to od tej strony.

- W takim razie nie ma go w środku.

- Prawdopodobnie.

Jeden po drugim zaczęli próbować otwarcia i przekonali się, że rzeczywiście jakaś stalowa śruba tkwiła w dziurce od klucza.

- Tam nikogo nie ma - zawołał jeden z policjantów.

- Musiał uciec - powiedział następny.

- Zapewne udał się do kanclerza Bismarcka. Na Boga! To tragedia! Panowie, proszę za mną - zawołał rozgorączkowany urzędnik. - Tymczasem reszta ma pilnować domu.

Wybiegł z domu i wsiadłszy do dorożki kazał się zawieźć czym prędzej do ministra. W tej samej niemal chwili inna dorożka zatrzymała się tuż przy hotelu, wysiadł z niej nasz znajomy, Robert Helmer. Wszedł do restauracji i kazał sobie podać szklankę piwa. Na jego widok kelnerka zawołała przerażona:

- Pan kapitan naprawdę przybył. Czyli, że ten człowiek nie kłamał?

- Kłamał?

- Że pan miał przyjechać.

- A panna skąd o tym wie?

- Jeden obcy, którego właśnie miano aresztować powiedział mi.

- Aresztować? Kogo?

- Tego, który przygotowywał zamach.

- Zamach? Na kogo?

- Na Bismarcka.

- A co to za łotr?

- Pewien amerykański kapitan.

- Jak się nazywa.

- William Saunders.

- Nie znam.

Traper w Kreuznach przedstawił się jako Sępi Dziób, więc Robert rzeczywiście nie wiedział o kim mowa.

- Ale on powiedział, że pana zna - zawołała dziewczyna.

- To musiał skłamać. Jak on wygląda?

Dokładnie opisała mu Sępiego Dzioba.

- Nie znam - powiedział ponownie.
- Powiedział mi wyraźnie, że się na dzisiaj tutaj z panem umówił.

Wiadomość ta zastanowiła go, więc spytał:

- Czy ten nieznajomy miał jakiś znak, po którym mógłbym go rozpoznać?
- O miał.
- Jaki?
- Ogromny nos.

Robert zbladł.

- Czy to możliwe? Mówił z obcym akcentem?
- Tak.
- I policja naprawdę chciała go aresztować?

- Tak właściciel hotelu poinformował policję. Ów nieznajomy ma pełno broni przy sobie, strzelbę, rewolwery i jakąś maszynę podobną do trąby Chce zamordować Bismarcka.

- Czysty nonsens. Bzdura!
- To nie bzdura, to szczerą prawdą panie kapitanie.
- Udał się do kanclerza?
- Niezawodnie.
- A policja za nim?
- Tak jest.
- W takim razie nie mam czasu do stracenia, muszę tam biec.

Wybiegł z hotelu biorąc pierwszą lepszą dorożkę i każąc się wieść do ministerstwa. Tymczasem Sępi Dziób skończył swoją konferencję z wysokimi osobistościami, więc poszedł na spacer bez specjalnego celu, pogwizdując z radości. Miał tak wyrobiony zmysł spostrzegawczy, że mimo tego iż nie znał miasta nie pomylił drogi i trafił z powrotem do hotelu.

Już miał wejść do środka, gdy jakiś mężczyzna zastąpił mu drogę i kłaniając się spytał:

- Przepraszam, ale myśmy się już gdzieś widzieli.

Sępi Dziób myślał właśnie o niespodziance, jaką zrobił kapitanowi, iż samemu udało mu się wejść do hrabiego Bismarcka, więc niezadowolony z przeszkody odparł gniewnie:

- Ciekawy jestem gdzie?
- Na drugiej półkuli.
- Gdzie?
- W Stanach Zjednoczonych.
- Co one mnie obchodzą.
- Ale pan jest przecież w Stanach kapitanem kawalerii.
- A to pana nic nie powinno obchodzić.

Czy nie mieszka pan przypadkiem w hotelu magdeburskim?

Pchtschhft! - posłał mu całą porcję tytoniu tuż obok nosa.

- Do diabła! Uważaj pan! - zawołał rozzłoszczony tajniak.

- Jak to panu nie na rękę to proszę się oddalić. Ja nie zaczęłam pierwszy - odparł zimno Sępi Dziób i nie oglądając się za siebie poszedł wprost do restauracji hotelowej.

Kilku tajniaków weszło tuż za nim. Nie przeczuwał nic złego, gdyż przypuszczał, że to tak jak i on goście hotelowi. Dopiero, gdy ten, który zaczął go na ulicy podszedł do jego stołu i zapytał, czy może z nim dalej porozmawiać zniecierpliwiony zawołał:

- Wynoś się pan czym prędzej, niech pana diabeł porwie!
- Ani myślę się stąd wynosić, - odparł policjant - a kogo ma diabeł porwać to się niedługo okaże.

Myśliwy spojrział na niego zdziwionym wzrokiem.

- Hola chłopcze, czy ty naprawdę szukasz ze mną zwady?

- Prawdopodobnie - zaśmiał się spytany z drwiącą miną.

- No to podejdź tu bliżej, to zaraz ci dam poznać, na kogo trafiłeś.

- Nie złękę się pogroźek. Zna pan ten znak? - mówiąc to wyjął z kieszeni metalowy krążek i pokazał Sępiemu Dziobowi.

- Co? Pieniędźmi się chcesz przechwalać? Jeżeli jeszcze raz podsuniesz mi tę monetę tak blisko nosa, to zaręczam, że nie ujdzie ci to na sucho!

- A, to pan nie zna tego medalu?

- Nic mnie on nie obchodzi.

- Przeciwnie, bardzo wiele pana obchodzi. Ten medal to moja legitymacja. Zrozumiał pan?

- Jest mi to obojętne, ja zwykłem legitymować się policzkiem, jeżeli mi się ktoś zanadto naprzykrza.

- Pan mnie naprawdę nie chce zrozumieć. Ja jestem urzędnikiem tutejszej policji.

Dopiero teraz Sępi Dziób rozglądnął się dookoła i zauważył, że całe jego otoczenie składa się z samych policjantów.

- Tak, to bardzo pięknie, że pan jest policjantem - odparł. - Ale nie wiem dlaczego właśnie mnie się pan przedstawiasz?

- Bo mnie bardzo interesuje pańska osoba. Żądam, aby na moje pytania odpowiadał pan otwarcie i szczerze.

Sępi Dziób po raz wtóry rozglądnął się wkoło i powiedział:

- Wy, Prusacy jesteście ogromnie dziwnym narodem.

- Tak? A to dlaczego?

- Bo nikt, tak jak wy nie kocha aresztować innych ludzi.

- Tak? Przekonał się pan już o tym?

- Naturalnie. Od wczoraj już trzeci raz mnie aresztujecie.

- Wczoraj więc aresztowano pana i to już dwa razy?

- Tak.

- I udało się panu wyjść z tego?

- Tak i to z całą skórą.

- Ale dzisiaj się to nie uda.

- Spodziewam się, że wprost przeciwnie.

- Już ja się o to postaram, aby było inaczej. Może będzie pan tak łaskaw i poda mi swoje ręce.

Mówiąc to wyjął z kieszeni stalowe kajdanki. To oburzyło Amerykanina i wstając zawołał:

- Co? Chcecie mnie skuć?

- Jak pan widzi.

- Do stu piorunów! Chciałbym zobaczyć tego, który odważy się podnieść na mnie rękę - zawołał już rozzłoszczony. - Co wam takiego zrobiłem łotry, że otaczacie mnie ze wszystkich stron jak odyńca w lesie!?

Pozostali także zbliżyli się do Amerykanina, otaczając go ze wszystkich stron. Właściciel wraz ze służbą przypatrywali się całej procedurze.

- Co pan nam zrobił? - spytał ironicznie policjant. - Nam nic. A co do reszty, to pan sam wie najlepiej.

- Jaką resztą? Ja o niczym nie wiem!

- Tak? To my panu udowodnimy. Pan nazywa się William Saunders?

- Od urodzenia.
- I jest pan kapitanem kawalerii Stanów Zjednoczonych?

- Tak.

- Ma pan ze sobą strzelbę?

- Tak.

- I dwa rewolwery?

- Tak.

- A nóż?

- Także.

- A jaką jeszcze broń?

- Żadnej.

- Będzie się pan wypierał? A gdzie pan był teraz?

- Na spacerze?

- Gdzie?

- Nie wiem jak się te ulice nazywają.

- Może pan oglądał apartament pana ministra Bismarcka?

- Możliwe.

- Aha, tu cię mamy ptaszku. Dawaj ręce.

- Po co, ja nie myślę uciekać.

- Wszystko jedno, takich niebezpiecznych typków przede wszystkim należy uwięzić. Sępi Dziób wiedział, że wszelki opór jest daremny, więc dobrowolnie podał mu swoje ręce, mówiąc:

- Składam protest na takie traktowanie. Odpowie mi pan za to! Musiał pójść na górę do swego apartamentu i otworzyć sypialnię. Policjanci szukali przede wszystkim pisemnego pozwolenia na broń.

- W mojej kamizelce jest paszport - powiedział.

- Proszę mi go podać.

- A niby jak, skoro jestem skuty.

Policjant kazał wyjąć dokumenty jednemu ze swoich podwładnych, a przeczytawszy rzekł:

- Paszport jest wprawdzie ważny, ale co to za maszyna? - tu wskazał na trąbę.

- Do dmuchania - brzmiała zwięzła odpowiedź.

- Napełniona?

- Powietrzem.

- Czyli, że to zwyczajna trąba?

- Jak najbardziej.

- Hm, a co z Bismarckiem?

- Już u niego byłem.

- Co? Proszę nie kłamać. Myśli pan, że upadłem na głowę, żeby w to uwierzyć. Tak dziwnie ubranego człowieka mieli może wpuścić na audiencję do ministra?

- To się pan przekonaj, jak mi nie wierzysz. Nawet sama jego królewska mość wpuściła mnie do środka. A co do upadania na głowę, to nie wiem, czy nie miało to miejsca, bo człowiek, który zwyczajną trąbę uważa za jakąś ważną maszynę...

- Milczeć! - krzyknął urzędnik. - Wariatem jest ten, który twierdzi, że go sam król na audiencję do ministra wprowadził.

Nagle jakiś głos zabrzmiał przy wejściu:

- Ten pan nie jest wariatem. To co mówi jest prawdą.

Wszyscy obrócili się do drzwi, w których stał Robert Helmer, a za nim komisarz policji, mający za zadanie ochronienie ministra przed niebezpieczeństwem. Wszedł do środka i rozkazał:

- Natychmiast zdjąć temu panu kajdanki!

Rozkaz wykonano w oka mgnieniu, komisarz zwrócił się do Sępiego Dzioba mówiąc:

- Proszę pana, zupełnie niezasłużenie spotkała pana krzywda. Mam rozkaz publicznie przeprosić pana za te nieprzyjemności. Stało się to tylko na podstawie podejrzeń właściciela hotelu. Jeżeli pan chce, może go pan zaskarżyć. Naturalnie jestem gotów wziąć sprawę w swoje ręce i ukarać winnych.

Sępi Dziób popatrzył wokoło z drwiącym uśmiechem i odpowiedział:

- Mam tylko jedno życzenie, chcę temu panu, który uważał moją trąbę za jakąś diabelską maszynę, podarować ją na wyłączną własność. Na koniec chciałbym wreszcie zostać sam.

Wszyscy oddalili się ze śmiechem. Zawstydzony agent wyszedł z ogromną trąbą, tylko Robert pozostał w pokoju myśliwego. Gdy opanował swój śmiech powiedział:

- Kochany panie, co za maskaradowy strój pan na siebie założył?

- Takie mam hobby - odrzekł Sępi Dziób ze śmiechem.

- Po drodze też pan wyprawiał same głupstwa.

- Kto to panu powiedział?

- Słyszałam. Na jednej stacji nawet pana podobno aresztowano?

- Tak.

- Musiał pan przerwać podróż i wysiąść.

- Za to dalej pojechałem specjalnym pociągiem.

- Tak. Najlepszy z tego jednak jest pański rewanz.

- Co pan ma na myśli?

- No to, że kazał pan zamknąć tego pułkownika i porucznika.

- O tym też pan już wie?

- Wszyscy o tym opowiadali. Po opisie poznałem pana. Ci dwaj aresztowani byli moimi osobistymi wrogami. Zemsta moja była wielka, gdy wysiadłem i kazałem ich uwolnić. Naturalnie natychmiast chcieli mnie wyzwać na pojedynek, ja jednak z miną triumfatora powiedziałem, że nie zwykłem się pojedynkować z ludźmi, którzy pozwalają się policzkować jakiemuś wędrownemu muzykantowi.

- Co teraz robimy? - spytał Amerykanin.

- Jeszcze dzisiaj wyruszamy.

- Co? Dokąd?

- Do Havre de Grace.

- Do Meksyku?

- Naturalnie. Dostałem pilne rozkazy.

- A co ja dostałem? - spytał Sępi Dziób ze śmiechem.

- I dla pana znajdzie się moc roboty - odparł Robert. - Teraz jak najprędzej w drogę. Całą sprawę omówimy w pociągu.

PRZYGOTOWANIE DO WYPRAWY

Wreszcie po tak długim czasie Czytelnik przybywa znowu do tych samych miejsc, w których rozegrały się pierwsze dramaty naszej powieści, to jest do Hiszpanii, do Rodrigandy. W lesie, w pobliżu zamku, koczowała cała banda Cyganów. Najstarsza z nich spoczywała w szałasie sporządzonym naprędce z gałęzi, a zimno mocno jej doskwierało. Była to Zarba, królowa Gitanów, owa niegdyś ubóstwiana piękność, Róża Zigarita, ta sama, którą uwiódł, a następnie porzucił Kortejo. Nadszedł wieczór. W obozie panowała niezwykła cisza, widocznie królowa musiała usnąć, więc nikt nie warzył się zakłócać jej spoczynku. Wśród tej ciszy głośno zabrzmiał tętent końskich kopyt. Wkrótce na małym koniu bez siodła, ukazał się jeździec. Wszyscy poderwali się z miejsc, widocznie poznali przybysza.

- Jarko! - zabrzmiał ogólny okrzyk, który obudził królową.

Z szałasu wyszła dziwna postać. Ta niegdyś tak zniewalająca piękność zniknęła z tego oblicza na zawsze. Na twarzy ułożyła się zmarszczka na zmarszczce, nos wydłużył i zakrzywił, zęby powypadały tworząc zapadłe miejsca po obu stronach policzków. Ale oczy nie poszarzały, nadal lśniły jasnym blaskiem i biada temu, na kogo rzuciły nienawistne spojrzenie.

- Jarko! - zawołała.

Jeździec zsiadł z konia i podszedł bliżej do szałasu.

- Chodź mój synu i usiądź obok mnie - rzekła donośnym głosem. - Długo się nie widzieliśmy. Nareszcie przybywasz. Chcę się wszystkiego dowiedzieć. Ale może jesteś zanadto zmęczony lub głodny?

Cygan potrząsnął głową, i odpowiedział:

- Znużony? Głodny? To nie przystoi prawdziwemu Gitanowi. Pytaj matko o co tylko chcesz.

- Byłeś w Prusach?

- Byłem.

- A w Moguncji?

- Też.

- W tej miejscowości, do której cię posłałam?

- W Kreuznach? Tak, byłem.

- Czy Tombi jeszcze żyje?

- Żyje i jest zdrow.

- Widziałeś może tego starego człowieka, któremu w głowie zaległa ciemność?

- Widziałem. Ciągłe mówi o sobie, że jest starym pocziwym Alimpo. Powiadają, że to hrabia Emanuel Rodriganda.

- To akurat nic cię nie obchodzi. Jakie osoby spotkałeś tam jeszcze?

- Księcia Olsunę.

- Znam go.

- I jego żonę, księżnę.

- Ona była moją przyjaciółką.

- Różę Sternau, córkę Rodrigandy.

- Tak. To wielkie nieszczęście, że jej mąż umarł.

- Spotkałem też jej córkę, Różę, którą wszyscy nazywają Leśną Różyczką.

- Widziałam ją jako małe dziecko i pobłogosławiłam. Nadal jest piękna?

- Piękniejsza od porannej jutrzzenki.

- A dobra?

- Jej serce jest przepelnione dobrocią.

- To dobrze. A kogo jeszcze widziałeś?

- Pewnego oficera, na którego wołają Robert. Wprawdzie jest jeszcze młody, ale przed nim wielka kariera.

- To syn sternika. Wyczytałam w gwiazdach, że los jego będzie wspaniały.

- Potem widziałem starego kapitana Rodensteina.

- To kamień bez polityry i połysku, na skutek starości robi się coraz bardziej szorstki.

- Jego syna malarza i jego żonę, córkę księcia.

- To dwa serca kochające się silnie i niezmiennie.

- Na koniec od twego syna Tombiego dostałem list, który mam ci oddać.

- List. Pokaż! Tombi nie umie dobrze pisać, ale jego matka i bracia rozumieją go.

Potrafię jeszcze przeczytać słowa mego syna, tak jak i mego największego wroga.

Podał jej papier zabazgrany strasznymi kulfonami, a owinięty jakimś kawałkiem płótna. Pomimo trudności z odczytaniem poszczególnych liter zrozumiała treść.

"Matko! List do pani Sternau. Żyje jeszcze. I sternik, hrabia Ferdynand. I inni. Są w Meksyku. Ferdynand przez Pablo Korteja otruty, w letargu. Na okręt. Jako niewolnik. Landola zrobił. Inni także na okręt Landoli. Połapani. Miał ich zabić. Wyrzucił na odludną wyspę. Szesnaście lat. Uratowani. Niedługo przyjadą. Wielka uciecha w Kreuznach. Zemsta niedługo, wielka. Syn Tombi".

List ten miał datę sprzed przybycia do Moguncji Sępiego Dzioba, a więc w czasie, gdy Tombi nie wiedział, że uratowani ponowni zaginęli. Zarba siedziała jakiś czas w milczeniu, wreszcie wstała, mały sztylet schowała za pazuchę i bez słowa oddaliła się.

Udała się wprost do zamku Rodriganda. Przy bramie zatrzymał ją krzyczący stróż:

- Czego tu chcesz, czarownico?!

Milcząc chciała przejść obok. Jednak złapał ją za rękaw wołając jeszcze głośniej:

- Ogłuchłaś? Pytam się czarownico czego tutaj szukasz?!

Popatrzyła na niego spokojnie i odparła:

- Czy nie wiesz, że ja mam zawsze wolny wstęp do zamku?

- Wiem, ale powiedz mi do kogo idziesz?

- Jest Hrabia Alfonso?

- Nie.

- A senior Kortejo?

- Jest.

- Siostra Klarysa?

- Jest.

- Gdzie są?

- W pokoju Korteja.

Dobrze знаła drogę, więc po chwili zapukała do drzwi i nie czekając na zaproszenie weszła do środka. Kortejo siedział razem z Klarysą na sofie, spożywali sytą kolację. Na widok wchodzącej stracili swe dobre miny.

- Czego tu chcesz? - spytał Kortejo groźnie.

- Przychodzę cię ostrzec.

Spojrzał na nią zdziwiony, ale zarazem przerażony. Ta Cyganka posiadała władzę, której nawet on nie dorównywał. Wiedziała wiele o jego życiu, a teraz nawet więcej niż on. Już nie raz miał zamiar zgładzić to niepotrzebne, naprzykrzające się stworzenie, ale zawsze przed tym krokiem

powstrzymywała go jakaś dziwna trwoga.

- Do kogo właściwie przychodzisz? - spytała Klarysa dumnym tonem.

- Nie do ciebie! - brzmiała odpowiedź Cyganki.

Klarysa zaczerwieniona ze złości aż poderwała się z kanapy i krzyknęła:

- Co?! Ty czarownico, ośmielasz się mówić do mnie przez ty!

- A czym ty się różnisz ode mnie? - spytała Cyganka. Klarysa nie odpowiadając zwróciła się do Korteja:

- Wyrzuć tę włóczęgę! Natychmiast!

Kortejo nie ośmielił się jej sprzeciwić więc rzekł do Zarby:

- Wynoś się stąd! Idź do swego obozu!

- Zarba zostanie, gdzie się jej podoba. - odpowiedziała dumnie. - Ta kobieta nie ma prawa rozkazywać mnie. Ona tak jak i ja była twoją kochanką, i podobnie jak ja urodziła ci syna; tylko że jej syn został hrabią, a mój samotnym Cyganem. Oboje przerazili się słysząc te słowa. Pierwszy oprzytomniał Kortejo.

- Zarba, na miłość boską! Fantazjujesz!

Klarysa podsunęła sobie pod nos flakonik i wołała:

- Ta baba naprawdę zwariowała!

- Nie zaprzeczaj! - odrzekła Cyganka z błyszczącymi oczami i siłą w głosie. - I na was przyjdzie chwila, gdy będziecie pragnąć szaleństwa, całkowitego zapomnienia przeszłości. Jeszcze będzie wyc i żebrać o litość, ale tylko piekło ulituje się nad wami.

Kortejo nie wiedział co to ma znaczyć. Zarba, jego dawna kochanka i pomocnica, teraz w tak okrutny sposób występowała przeciw niemu. Jak nieprzytomny patrzył na nią i spytał:

- Czego ty właściwie chcesz ode mnie?

- Żądam dla mego syna tytułu hrabiowskiego.

- Nie pleć głupstw!

- Czego? Głupstw? Wiesz, że mówię prawdę, ale nie przeczuwasz, że Zarba jest potężniejsza i silniejsza od ciebie.

- Mylisz się - odparł. - Wystarczy, że tylko powiem słowo, a wyrzucą cię za drzwi.

- Ty? - spytała ze śmiechem. - Powiedz tylko to słowo, a tym samym sam zgotujesz sobie zgubę.

- Chcesz mi grozić? Przecież jesteś współwinną wszystkich moich zbrodni.

- Może nie wszystkich - odparła chytrze. - Czy może to ja, na twój rozkaz zabiłam hrabiego?

- Naturalnie, przecież znaleźli w jarze jego ciało.

- Doktor Sternau mówił prawdę, to ciało nie było jego.

- Ten szarlatan! To był trup hrabiego!

- Mylisz się ogromnie. To było ciało dopiero co zmarłego człowieka z sąsiedniej wioski, które ubraliśmy tylko w szaty hrabiego. Zaś jego samego ukryliśmy tak, że nikt go nie mógł odnaleźć.

Oboje pobledli. Klarysa oparła się o poduszki, Kortejo jak rażony piorunem podskoczył i krzyczał z całych sił:

- Babo! Szatanie! Kłamiesz haniebnie!

- Jeżeli nie chcesz to nie wierz - odparła spokojnie. - Ale twa niewiara nic nie zmieni, hrabia Emanuel żyje.

- Gdzie?

- Tam gdzie go nigdy nie odnajdziesz. Doktor Sternau także żyje!

Popatrzył na nią i odparł z ironią:

- O nie, zginął. Wiem to z całą pewnością!

- Tak myślisz! - spytała z nieskrywaną satysfakcją. - Zapewne hrabia Ferdynand także zginął?

- Naturalnie.

- I Mariano, prawdziwy dziedzic rodu Rodriganda?

- Tego nie znam. Wszyscy zginęli. Zatonęli na morzu w czasie burzy.

Podeszła krok bliżej mówiąc półgłosem:

- Gasparino Kortejo, mylisz się ogromnie. Landola tak jak i ja, nie wypełnił dokładnie wszystkich twoich poleceń.

- Zupełnie cię nie rozumiem.

- Zaraz zrozumiesz. Landola nigdy ci nie wierzył. Chciał mieć przeciw tobie w rękę pewną broń i dlatego nie zabił tych, których kazałeś. Wysadził ich na bezludnej wyspie. Szesnaście lat tam przesiedzieli i niedawno udało im się powrócić.

Kortejo zgłupiał. Gdyby nawet Zarba kłamała, to i tak znała wszystkie tajemnice, o których nikt nic nie powinien wiedzieć. Ale co będzie, jeżeli to wszystko jest prawdą? Przecież po tym łotrze Landoli można się wszystkiego spodziewać. Zrobiło mu się gorąco. Klarysa oddychała ciężko, wreszcie opanował swój niepokój i powiedział z drwiną:

- Wspaniale zmyślasz, stara. Byłabyś dobra jako niańka, piękne bajki opowiadałabyś dzieciom.

Zaśmiała się z pogardą i powiedziała:

- Po co te komedie? Doskonale wiem, że to cię przeraziło. Hrabia Ferdynand żyje. Podano mu tylko truciznę, na skutek której popadł w letarg. Pogrzebali go, wkrótce potem wyjęli go z trumny, doprowadzili do przytomności i sprzedali do niewoli. Landola go tam przetransportował. Jednak hrabia uratował się, uciekł z niewoli i odnalazł pozostałych. Teraz wszyscy, a więc: Sternau, Ferdynand i Mariano znajdują się w Meksyku.

- Udowodnij to!

- Nie musisz znać moich źródeł informacji, ale doskonale wiesz, że to prawda.

- A jeżeli nawet, to dlaczego mówisz to mnie, ty stara czarownico! - zawołał ze złością. - Czy chcesz bym miał czas na ratunek?

- Ratunek? - rzekła ze śmiechem. - Nie potrafisz się już uratować. Mówię ci to, gdyż największą przyjemność sprawi mi widok twego przerażenia, chcę byś długo cierpiał i długo się bał.

- Diable! - zawołał.

- Ja? A kim ty jesteś? - spytała Zarba.

- Nie wierzę w ani jedno twoje słowo.

W tej właśnie chwili zapukano i po chwili w drzwiach stanął służący z paczką listów. Gdy tylko się oddalił Kortejo przeglądał korespondencję.

- Z Meksyku! - zawołał na widok z jednego z listów.

- Przeczytaj! - rzekła Zarba. - Może wtedy się przekonasz, czy cię okłamałam.

Chcąc nie chcąc rozerwał kopertę i zaczął czytać. Ciężkie westchnienie wydarło mu się z piersi. Gdy skończył musiał oprzeć się o sofę, aby nie stracić równowagi. Klarysa nie mogła opanować swej ciekawości. Wyjęła mu pismo z rąk i przeczytała:

"Kochany stryju!

Obecnie przebywam w hacjendzie del Erina i piszę naprędce te kilka słów, gdyż są one bardzo ważne. Wydarzyły się rzeczy niesłychane, wręcz potworne. Landola nas oszukał. Ci wszyscy, którzy mieli zginąć, żyją. Wszyscy! Wysadził ich na bezludnej wyspie, skąd udało im się uciec. Przebywają teraz w forcie Guadalupe u boku naszego wroga, Juareza. Wystarczy, że wymienię ci Sternaua, Mariano, obu braci Helmerów. Hrabia Ferdynand jest także z nimi, żyje, wbrew zapewnieniom. Ojca tutaj nie ma, a ja jestem dość słaba. Posłałam do niego list, aby natychmiast podjął odpowiednie

kroki. Jeżeli nie uda nam się ponownie pochwycić naszych wrogów, to bez wątpienia jesteśmy zgubieni. Twoja zatroskana bratanica Józefa."

Po przeczytaniu Klarysie wypadł list z rąk. Zarba powiedziała z satysfakcją:

- No i co, potwierdzają się moje nowiny, widzę to po waszych twarzach.

Kortejo rozzłoszczony krzyknął:

- Milcz ty stara czarownico, bo inaczej każę ci zakneblować gębę! Możesz bredzić co ci ślina na język przyniesie, ale nie to, że Alfonso nie jest prawdziwym hrabią! Nigdy tego nie zdołasz udowodnić.

- Tak myślisz? Znowu jesteś w błędzie. Bardzo łatwo da się udowodnić, że prawdziwym dziedzicem rodu, a więc prawdziwym Rodrigandą jest Mariano. Rozbójnicy nie zabili go po zamianie. A gdyby były jakieś wątpliwości to zapytaj swego syna, co w Paryżu ukradł mu jeden garoter.

- W Paryżu? Garoter? O czym ty mówisz, ja o niczym nie wiem?

- Powiem ci. Są tacy ludzie, którzy na skutek słabej pamięci lub może z innych przyczyn mają zwyczaj zapisywać wszystko co się tylko wydarzyło. Nie myślą o tym, że ich notatki mogą się dostać w niepowołane ręce. Takim właśnie durniem jest twój syn. Notował wszystkie tajemnice i to bardzo szczegółowo. Ten notes w Paryżu ukradł mu pewien garoter, a ja poznałam jego treść.

- Na wszystko co święte, powiedz, kto ma ten notes?! - zawołał Kortejo zrywając się z kanapy i podchodząc do Cyganki.

- Tego nie musisz wiedzieć - powiedziała spokojnie.

- Tak? Musisz mi powiedzieć prawdę, inaczej cię stąd nie wypuszczę.

- Musisz poczekać, aż będę miała ochotę aby ci to wyjawić.

- Nie myślę czekać! Mów natychmiast!

Złapał ją za ramię, lecz w tej samej chwili z krzykiem odskoczył na bok. Zarba niepostrzeżenie wyjęła swój sztylecik i wbiła mu w rękę. Ze zręcznością kota pobiegła do drzwi i zniknęła. Zanim Kortejo się obejrzał, schowała się w parku.

- Przeklęta czarownica - powiedział oglądając swoją rękę.

- Głęboka rana, kochany? - spytała zatroskana Klarysa.

- Nie, na szczęście trafiła między kości, więc tylko mnie drasnęła, ale jej język był znacznie gorszy.

- Trzeba mój kochany rozpatrzeć punkt po punkcie, ale powiedz mi najpierw, czy to prawda z tym... z tym synem...

Kortejo nie od razu odpowiedział, a po chwili z wahaniem i lękiem rzekł:

- No cóż, to taka młodzieńcza miłośćka. Możliwe, że ma syna, ale kto jest jego ojcem?

- Ty!

- Co?

- I to było wtedy, kiedy się już znaliśmy.

- Możliwe. Ale po co teraz, po latach mówić o takich drobnostkach. Mamy ważniejsze sprawy do omówienia. W pierwszym rzędzie interesuje mnie Ferdynand, nie umarł, jak miało się stać. Nie otruli go, a kto zawinił?

- Twój brat Pablo. Ale nie potrafię zgadnąć dlaczego?

- Ja chyba wiem.

- W takim razie mam nadzieję, że podzielisz się ze mną tymi wiadomościami.

- On ma córkę, a ja syna. Mój syn został spadkobiercą całego majątku Rodrigandów. Chciał aby ci młodzi pobrali się i Józefa otrzymała część majątku. Ponieważ Alfonso nie chciał, dlatego

postanowili trzymać nas w szachu unieszkodliwiając hrabiego, ale pozostawiając go wśród żywych.

- Jasne, trzeba się czymś takim samym zrewanżować.

- A co z pozostałymi zaginionymi?

- Żyją.

- Tę sprawę pozostawię tymczasem na głowie mojego brata. Ważniejsza jest dla mnie Zarba i Landola. Bez tej dwójki, nikt niczego nie jest mi w stanie udowodnić.

- Musisz się ich pozbyć i to na dobre.

- Najpierw Cyganekę.

- Kiedy?

- Jeszcze dzisiaj.

- A Landolę?

- Z tym muszę najpierw pogadać, może będzie mi jeszcze potrzebny, potem...

- Jest w Barcelonie?

- Tak. Musi się nawet ukrywać przed hiszpańską policją. Ten Bismarck ma długie ręce. Żebym nie zapomniał, musimy o wszystkim powiadomić Alfonso. A teraz muszę działać.

- Idziesz do Zarby?

- Tak i do Landoli. Jeszcze dzisiejszej nocy pojedę do Barcelony. W takich sprawach pośpiech jest niezbędny.

Oddalił się, a godzinę później opuścił zamek boczną bramą. Kołując dotarł w końcu na miejsce, gdzie według niego powinien znajdować się obóz Cyganów. Ze strzelbą gotową do strzału przesuwał się z wolna od krzaka do krzaka. Znał cygańskie obyczaje i wiedział, że o tej porze Zarba zwykła siedzieć przed swoim namiotem paląc fajkę i rozmawiając ze swym ludem.

Jednym celnym strzałem mógł załatwić sprawę. Kiedy podsunął się tuż pod sam wyłom i wyjrzał zza krzaków mimo woli wydał z siebie okrzyk zdziwienia. Miejsce gdzie powinien stać obóz było puste. Dlaczego wyruszyli? Dlaczego stara nic mu o tym nie powiedziała? A może nie są jeszcze daleko? Może mógłby ich dogonić i zastrzelić starą? Przecież nie może wracać do zamku z niczym.

Postanowił pójść po ich śladach, lecz niedługo natrafił na nową przeszkodę.

- Stój! - usłyszał za sobą jakiś głos.

Kiedy się obejrzał zobaczył za sobą czterech młodych Cyganów.

- Czego chcesz? - spytał Kortejo.

- A, senior Kortejo, czego tu szukasz?

- Co cię to obchodzi?

- Nawet bardzo dużo. Czekaliśmy tu na was.

- Na mnie? Dlaczego? - spytał zdziwiony.

- Rozkazała nam to nasza matka.

- Tak? A skąd wiedziała, że ja tu przyjdę?

- Tego nie wiemy. Rozkazała wszystkim natychmiast wyruszać, a nam kazała pilnować, aby pan nie poszedł naszymi śladami.

- Dlaczego?

- Tego także nie wiemy.

- A gdy mimo tego pójde?

- To będziemy strzelali.

- Co? Nie odważycie się!

- My musimy słuchać Zarby, nawet gdybyśmy mieli narazić swoje życie, dlatego pozwólcie senior, że odprowadzimy was do domu.

- Ja znam drogę.

- Tak, to prawda, ale chcemy się przekonać, że rzeczywiście tam wrócicie. Chodźcie, nie chce nam się z wami spierać.

- Co? Chcecie użyć siły, łajdaki?

- Oczywiście, jeżeli dobrowolnie z nami nie pójdziecie. Kortejo wściekał się ze złości, gdy prowadzili go do zamku, ale nic nie mógł na to poradzić. Gdy tylko dotarli na miejsce, Cyganie odeszli, a on poszedł prosto do Klarysy, by opowiedzieć co mu się przydarzyło.

- Na Boga, uciekła? - spytała ze strachem.

- Muszę ją złapać.

- Kiedy, może jutro?

- Nie. Jutro muszę udać się do Barcelony, to jest ważniejsze.

Jeszcze dobrze nie zaczęło świtać, gdy Kortejo przybył do Barcelony. Przez boczne, wąskie uliczki dotarł do pewnego krawca, trudniącego się przeróbkami starej odzieży. U niego, w małym pokoiku, pod przybranym nazwiskiem, mieszkał Landola.

- Przynoszę wam nowe, dochodowe zlecenie - powiedział w drzwiach.

- Bardzo mi przyjemnie - odpowiedział kapitan. - Co to takiego?

- Podróż do Meksyku.

- Hm, jako pasażer, czy na własnym statku.

- Wszystko jedno. Chodzi o przewiezienie zwłok hrabiego Ferdynanda, do grobowca rodzinnego w Rodrigandzie. Możecie się tego podjąć?

- Niech was diabeł porwie - zaklął Landola zamiast odpowiedzi.

- Mnie? Dlaczego? Nie chcecie?

- Trup na pokładzie zawsze przynosi nieszczęście.

- To przesąd. Dziwi mnie, że wy w to wierzycie.

- To akurat jest mi obojętne. Dajcie spokój temu staremu i pozostawcie go tam, gdzie jest.

- A gdzie jest?

- Jak to gdzie, w Meksyku przecież.

- A może w niewoli?

Landola wyraźnie się przestraszył. Popatrzył badawczo na Korteja i spytał:

- W niewoli, w jakiej niewoli?

- Nie rozumiecie? Normalnie, zabraliście go na swój okręt i wywieźliście gdzieś daleko, a potem został sprzedany w niewolę.

- Do diabła! To znaczy, że wasz braciszek nie potrafi trzymać języka za zębami, musiał wszystko wygadać, jak jakaś stara plotkarka.

- Uczyniliście to na rozkaz mojego brata?

- Naturalnie.

- Czyli, że on jest dla was ważniejszy niż ja.

- To nie tak, ale on był w Meksyku i musiałem się tam stosować do jego rozkazów.

- A co do innych poleceń, też się do nich zastosowaliście?

- Do jakich innych?

- Chociażby co do Sternaua i jego towarzyszy.

- Oni nie żyją.

- A może także są w niewoli.

- Bzdura!

- A może przebywają na jakiejś bezludnej wyspie? Pytanie to zaniepokoiło Landolę, ale przecież

świadkowie zdarzenia nie żyli, więc skąd Kortejo mógł o tym wiedzieć? Może blefował?

- Powiedzcie mi senior, - odezwał się po chwili - co to za przypuszczenia?

- To nie przypuszczenia, to prawda! - zawołał Kortejo - Mimo tego, że wam sumiennie i słono płaciłem oszukaliście mnie i zamiast zgładzić tych ludzi wysadziliście ich na bezludnej wyspie.

Landola spłoszył.

- Co? Zechciecie to może udowodnić! - rzekł.

- Oczywiście! Wszyscy żyją i obecnie przebywają w Meksyku, u Juareza.

- Wszyscy?

- Tak jest, hrabia Ferdynand także.

- To niemożliwe!

- Niemożliwe? Myślicie może, że dla czystej przyjemności tłukłem się po nocy do Barcelony, aby wam opowiadać bajki?

- Nawet gdyby to i była prawda, najpierw musicie mi to udowodnić.

- Moja bratanica napisała mi o tym.

- Mogła kłamać.

- Zarba też mi to powiedziała.

- Rozmawialiście z nią?

- Tak.

- O don Ferdynandzie?

- Tak.

- I to ona powiedziała, że on żyje?

- Naturalnie.

- Jest w błędzie, hrabia umarł i został pogrzebany.

- Kłamstwo! Podano mu truciznę, a potem w letargu pochowano.

- Do diabła!

- A, teraz jesteście przerażeni. Sami wyjęliście go z trumny i na swym okręcie przewieźliście do niewoli. Dalej będzie zaprzeczać?

Landola spojrział na niego z ironicznym uśmiechem.

- Myślicie może, że się złękę - zawołał. - Nawet nie myślę zaprzeczać!

- Przyznajecie więc, że hrabia żyje?

- Czy żyje, tego nie wiem.

- Ale wówczas nie umarł!

- Nie.

- Jesteście pospolitym oszustem.

- Wy nie jesteście lepsi.

- Dlaczego mnie okłamaliście?

- Na życzenie waszego brata.

- Nie pomyliłem się więc. Znać powód takiego postępowania?

- Nic mi nie mówił, ale pewnych rzeczy sam się domyśliłem.

- Tak, czego?

- To proste. Wiecie przecież, że Józefa była zakochana w Alfonso?

- Wiem.

- Chciała zostać hrabianką. Gdyby Alfonso się zgodził nie potrzebowalibyśmy wskrzeszać hrabiego, ale ten nie chciał o tym nawet słyszeć.

- Ja byłem tego samego zdania. Taki strach na wróble miałby zostać hrabianką? Śmieszne!

- Macie rację, ale oni mieli swoją. Chcieli przez ten związek zachować w swych rękach przynajmniej meksykańskie dobra Rodrigandów.

- I bez tego je zagarnęli.

- Jak to?

- Bo do tej pory ani dolara nie otrzymałem z tamtych dochodów.

- Nie upominaliście się?

- Ile razy, wszystko daremnie.

- Ha, dlatego wasz brat ani razu nie zapytał o don Ferdynanda.

- Jak to?

- Proste. Gdybyście go zostawili w spokoju, najprawdopodobniej wykupiłby hrabiego i na nowo pozwolił mu zawładnąć majątkiem.

- Powiedział wam to?

- Dał do zrozumienia będzie lepszym określeniem.

- Do diabła! Wtedy ja i Alfonso bylibyśmy zgubieni. Ale, że wy zgodziliście się na taką niegodziwość względem mnie?

- Służę temu, kto mi więcej płaci.

- Drań z was! Teraz widzicie skutki takiego działania. Hrabia Ferdynand powrócił.

- Naprawdę?

- Tak.

- Ale jak się wyrwał z niewoli?

- Gdzie go sprzedaliście?

- Do Hararu. To kraj zupełnie niezdojty. Nie mogę pojąć, jak mógł stamtąd zbiec?

- Dowiemy się tego, ale co z innymi, którzy wedle waszego zdania mieli się utopić?

Landola zaśmiał się.

- Ci także żyją? - spytał.

- Naturalnie.

- Czy aby na pewno?

- Na pewno.

- Tłumaczenie jest bardzo proste. Nie potopili się.

Kortejo wściekły poderwał się z krzesła.

- Żarty sobie robicie ze mnie?

- Ani mi to w głowie, to nie jest odpowiednia pora do żartów.

- Tak też myślę, dlaczego ich wtedy nie zgładziliście?

- Proste, chciałem was mieć w ręku.

- Zdrajca! Wiedziecie, że tym sami sobie zaszkodziliście? Wiedziecie, że oni teraz są wśród stronników Juareza?

- To rzeczywiście straszne.

- Sami jesteście winni.

- Ale czy na pewno sprzyjają Juarezowi?

- Naturalnie.

- Niech to piekło pochłonie. Juarez nie lubi żartować.

- Chciałem właśnie powiedzieć, że grozi nam ogromne niebezpieczeństwo.

- A może da się temu zapobiec?

- W jaki sposób?

- Trzeba jechać do Meksyku.

- Po co?
- Aby naprawić ten poprzedni błąd.
- I znowu wysadzić ich na jakiejś wyspie?
- O nie.
- Czyli zabić?
- Oczywiście.
- Kto się ma tego podjąć?
- Ja.
- Wy? Nad tym trzeba się zastanowić.
- A to dlaczego?
- W tej sprawie muszę działać bardzo ostrożnie.
- Ja również.
- Tylko wtedy przystanę na tę propozycję, jeżeli będę miał stuprocentową pewność, że tym razem nie zostanę oszukany.
- Ja także.
- To wy zawiniлиście i teraz macie naprawić swój błąd.
- Do czego zmierzacie?
- Podejmujecie się tego zadania?
- Przecież już powiedziałem.
- Zrobicie więc to bezpłatnie.
- Co to, to nie!
- Nie? Dlaczego?
- Bo muszę zarobić.
- Dostaliście już zapłatę.
- Była za mała.
- Za tak źle wykonaną robotę, nawet za wielką.
- Ale teraz praca cięższa i zadanie trudniejsze.
- To wasza wina.
- Wielu może zginąć.
- Mówię, że z waszej winy.
- Może trzeba będzie unieszkodliwić także Juareza.
- Wasza wina.
- Idźcie do diabła z tym "wasza wina"! Jechać do Meksyku i zgładzić tyle osób to nie lada zadanie.
- Zgadzam się.
- Tego nie robi się za darmo.
- Dobrze, ile za to chcecie?
- Dwieście tysięcy.
- Tyle nie dam.
- Dobrze, to nie mamy o czym mówić - odwrócił się na znak, że rozmowa została zakończona.
- Co? - zawołał Kortejo. - Jeszcze nie skończyliśmy!
- Dlaczego? - spytał Landola.
- Bo się zobowiązaliście do naprawy błędu.
- Chcecie mnie może do tego zmusić?
- Nie, dam wam za to pięćdziesiąt tysięcy.

- Mało.
- Nie mało, bo sami tego nie zrobicie.
- A z kim?
- Ze mną.
- Co? - spytał zdziwiony Landola. - Chcecie mi w tym pomagać?
- Nie inaczej.
- I chcecie ze mną jechać?
- Naturalnie.
- Po co?
- Po pierwsze chciałbym odwiedzić mego kochanego braciszka, Pabla.
- Teraz?
- Tak, teraz. Wy mnie oszukaliście i mój brat mnie oszukał. Myślicie może, że dam się oszukać po raz drugi?
- A to dlatego chcecie jechać do Meksyku?
- Właśnie.
- Chcecie nas kontrolować.
- Naturalnie.
- I jesteście przekonani, że się wam to uda?
- A dlaczego by nie?
- I że my pozwolimy się kontrolować?
- Ja tam jadę nie tylko jako nadzorca, chcę wspólnie z wami pracować.
- To zmienia postać rzeczy.
- Zresztą przekonacie się, że beze mnie nie dacie rady wykonać tego zadania.
- Tak? Dlaczego?
- Gdzie będziecie szukali mego brata?
- Jak to gdzie, w stolicy!
- Tam go nie ma.
- Dlaczego?
- Bo na starość zgłupiał i dał się wypędzić.
- Wypędzić? - pytał coraz bardziej zdziwiony Landola. - Dlaczego?
- Bo ten osioł wziął się za politykę.
- O tym już słyszałem.
- A o tym słyszeliście, że w swej durnej głowie uroił sobie, że musi zostać prezydentem?
- To czysta paranoja.
- Raczej czyste wariactwo.
- I poczynił jakieś kroki w tym kierunku.
- Oczywiście i dlatego wypędzili go ze stolicy.
- Kto go wypędził?
- Maksymilian i Francuzi.
- Z Juarezem też zadarł?
- Nie inaczej.
- Co za głupota!
- Sprzymierzył się z Panterą Południa.
- Ten go tylko wykorzysta.
- Naturalnie. Teraz udał się na północ, aby walczyć z Juarezem, najwyższy czas, abym tam

pojechał i przywołał go do porządku.

- Gdzie teraz przebywa?

- Tego nie wiem. Trzeba go będzie szukać.

- A jego córka?

- Józefa przebywa w hacjendzie del Erina. Właśnie stamtąd napisała, że wszyscy, którzy blisko dwadzieścia lat temu zaginęli, zjawili się.

- I tam pojedziemy?

- Najpierw pojedziemy do stolicy.

- Po co?

- Nie domyślacie się?

- Nie.

- To jest dla mnie niespodzianką. Przecież wiecie, kto jest naszym największym wrogiem.

- Hrabia Ferdynand.

- Naturalnie. On albo jego przyjaciele mogą nas oskarżyć.

- Zlikwidujemy ich.

- Znamy wszystkich wtajemniczonych w sprawę?

- To trudno powiedzieć.

- Pierwsze co mogą zrobić to udowodnić, że hrabia nie umarł, a cały pogrzeb był szopką.

- Teraz zaczynam pojmywać. Otworzą grobowiec i trumnę.

- Oczywiście i co znajdą?

- Pustą trumnę. Do diabła, to rzeczywiście może być dla nas fatalne w skutkach. Hrabia jest w stanie sam wszystko udowodnić.

- To co mamy przede wszystkim zrobić?

- Wypełnić trumnę.

- Tak i jeżeli się to uda, może chociaż trochę odetchnąć. Ale to trudne zadanie.

- Dlaczego?

- Skąd weźmiemy zwłoki?

- Z cmentarza.

- A ubranie?

- Postaramy się o podobne.

- Poznają, że nowe.

- A od czego są środki chemiczne?

- No cóż, muszę uczciwie przyznać, że macie rację, że sami tam jedziecie.

- Widzicie, ale nie wolno nam marnować czasu.

- Chcecie wyruszać zaraz?

- Najpóźniej jutro. Trzeba się dowiedzieć co za statki stoją w porcie.

- To wiem, dowiadywałem się już, gdy tylko policja zaczęła mi deptać po piętach. Tutaj zrobiło mi się trochę za ciasno.

- Jest jakiś, dla nas?

- Niestety, jest tylko jakiś parowiec, który ma płynąć do Rio de Janerio.

- To dobrze.

- Dlaczego?

- Bo znikniemy z oczu policji, a z Rio znajdziemy sposobność by dostać się do Meksyku.

- Racja. Ale jak dostaniemy się na pokład. Mnie tutaj dobrze znają.

- O to nie potrzebujecie się martwić, przy pomocy peruki, fałszywej brody i innych dodatków,

zrobię z was innego człowieka, nikt was nie pozna.

- Macie te drobiazgi?

- Naturalnie wystarczy i dla mnie i dla was.

- Co? Wy też chcecie się przebrać?

- Oczywiście.

- Ale w jakim celu?

- Przecież w Meksyku niektórzy mnie znają.

- Ale po co teraz?

- Bo potem może zabraknąć czasu i mogłoby wyglądać podejrzanie. A teraz słuchajcie, ja pojedę jako don Antonio Veridante, adwokat i pełnomocnik hrabiego Alfonso de Rodriganda, by na miejscu dopilnować jego dóbr.

- Do diabła, teraz rozumiem.

- Mam sprawdzić funkcjonowanie w meksykańskich majątkach hrabiego.

- Znakomity pomysł.

- Będę zaopatrzony w konieczne pełnomocnictwa.

- Które sobie sami wystawicie.

- Tak, a do towarzystwa potrzebuję sekretarza.

- Kto nim będzie?

- Wy oczywiście.

- A to paradne! Gdzie się spotkamy?

- Możecie w ciągu dnia wyjść z tej kryjówki?

- Nie, cały czas jestem śledzony.

- W takim razie musi się pan zatrzymać tutaj aż do wieczora. Tak tylko się ściemni wyjdziecie do lasu, tego przy drodze do Manresy. Jak tylko usłyszycie turkot bryczki zaczniecie gwizdać Marsylianę. Po tym was poznam i zabiorę. Teraz muszę jechać do portu. Żegnam!

- Do widzenia.

NAIWNOŚĆ

Kilkanaście dni później, w porcie w Rio de Janeiro cumował jakiś mały, ale zgrabny parowiec. Najprawdopodobniej niedługo miał wypłynąć w morze, gdyż lekki dymek unosił się z komina, znak, że kotły zaczęły pracować. Właśnie słońce chyliło się ku zachodowi, gdy do parowca podpłynęła mała łódź, z pasażerem. Ze zwinnością żeglarza wdrapał się na pokład. Natychmiast stanął przed nim sternik i zameldował:

- Panie kapitanie, na pokładzie czekają dwaj mężczyźni, koniecznie chcieli z panem rozmawiać.
- Czego chcą?
- Słyszeli, że płyniemy do Vera Cruz...
- Czy byłby pan tak łaskaw i zabrał nas ze sobą?
- To będzie trudne, panowie.
- Dlaczego? - spytał adwokat. - Płacimy każdą sumę.
- To nie zmienia rzeczy, ten statek nie jest pasażerskim, to własność prywatna i służy prywatnym interesom.

- A my w nadziei, że pan kapitan nie odmówi naszej prośbie wzięliśmy nawet ze sobą swoje bagaże.

- Bardzo mi przykro, ale muszę odmówić.
- Jeżeli natychmiast nie przybędę, będę miał wielkie nieprzyjemności a także poniosę znaczne straty.

- Znaczne straty?

Popatrzył jeszcze raz na twarze nieznajomych. Pierwsze wrażenie nie było korzystne, ale musiał przyznać, że miał przed sobą porządnych, wykształconych ludzi.

- Niestety, tak.
- Zapewne bankowe?
- O nie - odparł adwokat. - To sprawy mego klienta.
- Wolno zapytać jak się nazywa ten człowiek?
- Tak, ale proszę to zachować w tajemnicy, chodzi o hrabiego Rodrigandę.

Ledwo to powiedział, a kapitan podszedł bliżej i zapytał cicho:

- Co? Hrabiego Rodriganda? Dobrze słyszałem?

- Tak.

- Ma pan na myśli tego hrabiego, którego zamek leży w pobliżu miasta Manresa, w Hiszpanii.

- Tak.

- On ma też wielkie posiadłości w Meksyku?

- Tak.

- W takim razie wezmę pana ze sobą, ma pan jakieś dokumenty?

- Mam, chce je pan zobaczyć?

- Nie teraz. Na to znajdzie się czas później. Niedługo odbijamy, więc mam teraz mnóstwo pracy,

Peters!

Wezwany majtek pojawił się natychmiast.

- Zaprowadź tych panów, do kajuty, będziesz ich obsługiwał, więc zwalnim cię od innych prac.

- Dziękuję kapitanie! - odparł żeglarz, a zwracając się do obu nieznajomych, rzekł łamanym hiszpańskim: - Proszę za mną, panowie.

Zaprowadził ich do małej, ale wygodnie urządzonej kajuty i powiedział:

- To jest panów mieszkanie. Zaraz przyniosę wody, tymczasem proszę się rozgościć.

Zaledwie zniknął za drzwiami, gdy Kortejo powiedział do swego towarzysza:

- Co to ma znaczyć, senior Landola?

- Ha, kapitan zna rodzinę Rodrigandów.

- Musimy być nad wyraz ostrożni. Trzeba będzie dowiedzieć się na czym stoimy. Teraz proszę o jedno.

- O co?

- Wszystkie pytania zostawcie na mojej głowie. Wy jesteście tylko sekretarzem, więc nie możecie się zanadto mieszać do rozmowy, równocześnie unikniemy zdemaskowania.

- Zgoda - rzekł Landola z widoczną niechęcią.

Tymczasem powrócił Peters przynosząc wodę i inne drobiazgi.

- Długo przebywaliście w Rio? - spytał Kortejo.

- Trzy dni - brzmiała odpowiedź.

- A skąd przyplłynęliście?

- Z przylądka Horn.

- Płynęliście dookoła Ameryki Południowej?

- Tak.

- Zapewne z Australii.

- Właściwie tak, ale najpierw byliśmy w Meksyku.

- W zachodnich portach?

- W Guayama.

- Wieźliście stamtąd towary?

- O nie, wysadziliśmy na ląd pasażerów.

- Ilu? Kapitan powiedział nam przecież, że to nie jest statek pasażerski.

- Naturalnie, że nie.

- No to nie rozumiem.

- To prywatna własność.

- Czyja?

- Hrabiego Rodrigandy.

Nieznajomi popatrzyli na siebie z przerażeniem, jednak majtek nic nie zauważył.

- Rodriganda? - spytał Kortejo. - A jak na imię ma ten hrabia?

- To don Ferdynand.

- Gdzie mieszka?

- W Meksyku.

- Znasz go?

- Nie, nawet go nie wiedziałem.

- Przecież cumowaliście w Gujama?

- Tak, ale ja przy tym nie byłem.

- Dlaczego?

- Bo kapitan Wagner przyjął mnie dopiero w Valparaiso.

- Czyli, że na pokładzie jesteście niedawno?

- Zgadza się.

- I nic nie wiecie o tym statku?

- Tylko trochę słyszałem od kolegów.

- A co takiego słyszałeś?

- Że ten statek był własnością jednego Anglika. Najprawdopodobniej, gdzieś w Kalkucie kupił go od niego, hrabia Rodriganda, wraz z całym wyposażeniem.

- A skąd hrabia wziął się w Kalkucie? Czy hrabia podróżował w ostatnich latach?

- Wiem tylko, że przybył tam z kapitanem Wagnerem.

- Skąd?

- Ze wschodniego wybrzeża Afryki.

- Afryki?

- Tak, z Hararu. Uciekł z niewoli, a mój kapitan wziął go na pokład, zawiózł do Indii, tam kupili ten statek, a potem popłynęli do Australii po pozostałych pasażerów.

- Pozostałych pasażerów? Kogo?

- Kogo? - zawahał się z odpowiedzią, spojrzawszy bystro w oczy pytającego i zamilkł.

- Dlaczego nie odpowiadasz? - spytał Kortejo.

- Bo nic więcej nie wiem.

- A przed chwilą mówiłeś bez żadnego wahania.

- Senior. Wiele zależy od pytającego, wtedy człowiek albo zapomina albo nie - po tych słowach odwrócił się na pięcie i zniknął w drzwiach.

Kortejo popatrzył na Landolę.

- Co on chciał przez to powiedzieć? - spytał.

Landola wzruszył ramionami i odparł:

- Mogę dać głowę za to, że wie wszystko, ale nie chce mówić.

- Ale dlaczego?

- Sami jesteście temu winni. Myślicie, że taki majtek jest głupcem.

- Ale w czym ja zawiniłem?

- Bardzo wiele, byliście bardzo nieostrożni.

- Nie wiem, o czym mówicie.

- To proste, pytaliście tak natarczywie, a przy okazji patrzyliście na niego z takim zacięciem, że prawie go połykaliście oczami.

- Nonsens.

- Patrzyłem na was, wiem lepiej.

- Ale ja mam inne zdanie.

- Jeżeli nie potraficie się opanować, to raczej zostawcie wszelkie pytania mnie, wy możecie się bardzo łatwo zdradzić.

- To niemożliwe, ale jeżeli jest tak jak mówicie, to będę bardziej uważał.

- To dobrze, słyszeliście jak się rzeczy mają.

- Ten kapitan uwolnił hrabiego.

- I zawiózł do Indii. Jednego tylko nie rozumiem?

- Czego?

- Że był w stanie kupić ten parowiec, przecież to musiało kosztować masę pieniędzy.

- Oczywiście - Acie - odezwał się Kortejo. - Skąd on je wziął? Przecież w niewoli nie mógł tyle zarobić, może okradł sułtana?

- Okradł i uciekł? To raczej nieprawdopodobne.

- Dowiemy się.

- Tym parowcem popłynęli do Australii po resztę pasażerów, jakich?

- Sternaua i jego towarzyszy.

- Też o tym pomyślałem.

- Ale jak w Hararze mógł się dowiedzieć o Sternale.

- No właśnie, zwłaszcza, że wysadziłem go na wyspie, o której nikt nie ma pojęcia. To rzeczywiście jest nie do pojęcia.

- Musimy się tego dowiedzieć.

- Ale jak chcecie teraz wydostać się z tego bigosu? Przecież powiedzieliście, że jesteście pełnomocnikiem hrabiego Rodrigandy.

- To nie ma nic do rzeczy.

- Jak to?

- Mogę przecież posiadać zaufanie hrabiego Alfonso nie będąc wrogiem pozostałych.

- Dobrze by było, gdybyśmy powiedzieli, że znaleźliśmy starego hrabiego Emanuela.

- To dobra myśl. Mam nadzieję, że niedługo odkryjemy plany Sternaua.

Niedługo parowiec wypłynął na pełne morze. Kapitan stał jeszcze przez jakiś czas na swoim mostku, po czym przekazał dalsze prowadzenie statku sternikowi, sam zaś zszedł na pokład.

W tej chwili zbliżył się do niego Peters i salutując po wojskowemu zawołał:

- Kapitanie!

- Czego chcesz, mały? - spytał Wagner, który był przyzwyczajony do poufałości ze swymi podwładnymi.

- Pasażerowie!

- Co z nimi?

- Hm, są ogromnie ciekawscy.

- Tak, a co chcieli wiedzieć?

- Wszystko o statku.

- To nic szczególnego.

- I o hrabim Rodrigandzie.

- To też nic dziwnego, mój mały.

- Ale ja zauważyłem, że jeden bez przerwy wypytywał, a drugi stał z rozdziawioną, gębą.

- To też jest zrozumiałe, bo obaj znają hrabiego Rodrigandę.

- A tak.

- Chcesz jeszcze czegoś?

- Nie.

- To przyślij mi ich do kajuty i powiedz kucharzowi, że będę ze mną jedli.

Peters odszedł, a jak tylko stracił kapitana z oczu zaczął mruczeć sam do siebie:

- Czyli, że oni obaj znają hrabiego, ale mimo to nie podobają mi się. Muszę ich bacznie obserwować.

Poszedł do pasażerów i przekazał im życzenie kapitana.

- A gdzie jest kapitan? - spytał Landola.

- W swojej kajucie.

- Dobrze, zaraz tam będziemy.

- Będzie dobrze, jeżeli panowie zabiorą ze sobą dokumenty.

Po tej uwadze wyszedł. Stał jednak z boku, tak żeby móc dobrze ich obserwować. Podeszedł do niego kolega i spytał:

- Co ty Peters tu robisz. Stoisz jak kot przed szczurzą dziurą.

- Tak jest - brzmiała krótka odpowiedź.

- Rzeczywiście czatujesz na szczura?

- Tak, nawet na dwóch.

- A, tych lądowych.
- Zgadłeś, popatrz tylko.
- Gdzie?
- Tam, widzisz ich?

Przy świetle latami pokładowej, można było dość dobrze widzieć. Landola szedł pierwszy, a za nim ostrożnie postępował Kortejo.

- Poznałeś? - spytał Peters.
- Co?
- Że jeden z nich jest żeglarzem.
- Po czym to wnioskujesz?
- Poznałem już to po jego oczach. Właśnie byłem u nich i powiedziałem, żeby poszli do kajuty kapitana. Gdyby byli szczurami lądowymi, to z pewnością by się pytali, gdzie owa kajuta się znajduje.

- Może dużo podróżowali?
- Gdyby nawet, na naszym pokładzie są pierwszy raz w życiu. Tylko wytrawny wilk morski potrafi na całkowicie obcym parowcu, o zmroku odnaleźć kajutę bez pytania.

- Ale dlaczego ich tak podpatrujesz?
- Sam nie wiem dlaczego, ale bardzo mi się nie podobają.

Landola nawet nie podejrzewał, że mały Peters posiada tak ostry zmysł spostrzegawczy. Kiedy weszli do kajuty kapitana, ten siedział przy szklaneczce wina, przyjął ich miło i powiedział:

- Witam panów na moim statku i proszę wybaczyć, że przede wszystkim jestem zmuszony do czynności służbowych, więc muszę sprawdzić wasze dokumenty. Zapewne mają je panowie przy sobie?

- Oczywiście - odezwał się Kortejo podając paszporty.

Wagner przeglądał je i oddał z powrotem mówiąc:

- Właściwie powinienem dokumenty panów zatrzymać u siebie, ale tym razem daruję to sobie. Proszę usiąść.

Skłoniwszy się zajęli wyznaczone miejsca. Początkowo rozmowa nie kleiła się i krążyła koło tematów ogólnych. Lecz wkrótce, gdy zjedli pożywną kolację, a szklaneczki coraz częściej napełniano winem, języki się rozwiązały. Kortejo i Landola z niecierpliwością czekali na chwilę, kiedy kapitan zacznie mówić o Rodrigandzie. Długo musieli czekać, jednak w końcu zwracając się do Korteja Wagner spytał:

- Jeżeli się nie mylę, to powiedział pan, że jest pełnomocnikiem hrabiego Rodrigandy, nieprawdaż?

- Oczywiście - odrzekł.
- Zna pan więc całą rodzinę?
- Bardzo dobrze.
- Interesują mnie ich stosunki, dlatego proszę mi powiedzieć, z ilu członków składa się obecnie ich ród.

- Z ochotą panu to powiem. Obecnie egzystują niestety tylko dwie głowy.

- Tylko?
- Tak.
- A kto to?
- Hrabia Alfonso, który mieszka w Madrycie i hrabianka Róża przebywająca w Niemczech.
- W Niemczech? Gdzie?

- Gdzieś w Moguncji.
- A jak się tam dostała?
- To miłość ją tam zawiodła.
- Rozumiem, zapewne wyszła za męż.
- Naturalnie.
- A za kogo?
- Za jakiegoś niemieckiego lekarza, nazywa się Sternau.
- Hrabianka popełniła megalomanię? Kortejo wzruszył ramionami.
- To zależy co się przez megalomanię rozumie. Wiedza i sława tego lekarza w zupełności wystarczają za wszelkie tytuły.
- Zna pan może tego Sternaua? - spytał Wagner.
- Znam.
- Słyszałem kiedyś o nim, czy może mi go pan opisać?
- Naturalnie; to wysoki, dobrze zbudowany mężczyzna, prawdziwy atleta, do tego bardzo sympatyczny i szczerzy jak dziecko.
- To prawda, a gdzie go pan poznał?
- W Rodrigandzie.
- Był tam?
- Tak, operował hrabiego Emanuela z bardzo pomyślnym skutkiem.
- Wtedy zapewne poznał hrabiankę?
- Tak.
- Pan znał także hrabiego Emanuela?
- Od wielu lat.
- Jeżeli się nie mylę, to jego pełnomocnikiem był niejaki Kortejo?
- Kortejo skrzywił się jakby usłyszał zniechęcające nazwisko.
- Tak. Wtedy wszystkie najważniejsze sprawy w majątku hrabiego załatwiał Kortejo, ale w ważniejszych sprawach hrabia przyjeżdżał do mnie, do Barcelony.
- Naprawdę? To pan musiał dobrze znać tego Korteja?
- Zbyt dobrze, ale nie mogę powiedzieć, że była to dla mnie miła znajomość.
- Nie lubił go pan?
- To nie, ale pogardałem nim.
- Dlaczego?
- Dlaczego, czy można wytłumaczyć przeczucia?
- Raczej trudno, ale zazwyczaj są jakieś powody.
- Tych było aż za dużo. Uważałem Korteja za człowieka zdolnego do każdej zbrodni.
- Kapitan skinął głową.
- Tak, słyszałem o tym - powiedział.
- Naprawdę, gdzie?
- Potem to panu opowiem. Przede wszystkim proszę mi pozwolić, na jeszcze kilka pytań.
- Ależ oczywiście.
- Czy ten Kortejo ma brata?
- Ma.
- W Meksyku?
- Tak, nazywa się Pablo, a ten w Hiszpanii Gasparino.
- Co to za człowiek, ten Pablo?

- Łotr taki sam jak jego brat.
 - Naprawdę?
 - Naturalnie, właśnie przez niego muszę teraz jechać do Meksyku. Muszę mu się lepiej przyjrzeć.
 - Życzę panu powodzenia, ale czy był pan przy tym, jak hrabia Emanuel zmarł?
 - Byłem. Nie umarł normalnie, bardzo cierpiał, ogarnął go obłęd, Podczas jednego ataku, wybiegł z zamku i rzucił się w przepaść. Niestety zabił się na miejscu.
 - Co takiego?
 - Tak. Krążyły w związku z tym rozmaite pogłoski.
 - Kto je opowiadał?
 - Pierwszy doktor Sternau. Dlatego wtedy nabrałem tak wielkiego szacunku do tego człowieka.
 - On roznosił pogłoski, a mogę wiedzieć jakie?
 - Oczywiście. Zupełnie otwarcie ogłosił, że ten roztrzaskany człowiek, to nie hrabia Emanuel, tylko ktoś zupełnie inny.
 - Niesamowite i co pan na to?
 - Musiałem mu przyznać rację.
 - Dlaczego?
 - Sternau to szczególnie zdolny lekarz i dobry psycholog, po prostu przekonał mnie.
 - A czy te pogłoski Sternaua zostały sprawdzone?
 - Niestety nie. Znalezione zwłoki pochowano z pełną pompą jako hrabiego Emanuela.
 - Może to rzeczywiście był hrabia?
 - Ja w to bardzo wątpię?
 - To by znaczyło, że hrabia jeszcze żyje?
 - Prawdopodobnie.
 - A gdzie?
 - To jest wielka tajemnica. Mnie nie zostało już wiele lat życia, ale połowę z nich oddałbym za to, by rozwiązać tę zagadkę.
- Wagner zamyślił się na chwilę, po chwili podniósł głowę i powiedział ostrożnie:
- To jednak dziwne, że hrabianka Róża tak jak i ojciec popadła obłęd.
 - Może to rodzinne - powiedział milczący dotąd Landola.
 - O nie - przerwał Kortejo. - Dobrze znałem hrabiego, a moi antenaci znali jego ojca i dziada. W całej rodzinie nie było ani jednego przypadku obłędu. Prześladowano wówczas o truciźnie.
 - Co takiego? - spytał kapitan. - Kto miałby zrobić coś tak strasznego?
 - Nikt inny jak ów Kortejo.
 - Niemożliwe.
 - A ja uważam, że on jest do tego zdolny.
 - To prawdziwe nieszczęście, niedługo potem w Meksyku umarł hrabia Ferdynand, chociaż ja w to nie mogę uwierzyć.
 - To tak jak ja - dodał szybko Kortejo. - Do dzisiaj nie daję temu wiary.
 - Dlaczego?
 - To trudno wyjaśnić. Każdy ma swoje przemyślenia, ale niechętnie je zdradza.
 - Jest pan bardzo ostrożny, don Antonio. Ale jak się panu udaje pogodzić te podejrzenia i pozostawanie na służbie u hrabiego Alfonso?
- Kortejo zaśmiał się i odparł spokojnie:
- Pan myśli, że hrabia Alfonso ma jakieś powiązania z tym wszystkim?
 - Prawdopodobnie.

- Może ma pan rację, odpowiem panu. Za cel życia postawiłem sobie rozwikłanie tajemnicy rodu Rodrigandów. A ponieważ nie mógłbym tego zrobić w inny sposób, to przyjąłem posadę plenipotentą u hrabiego Alfonso.

Było widać, że kapitan z trudem tłumi swe emocje, jednak jak mógł najobojętniej zapytał:

- Dużo jest tych tajemnic?

- Naturalnie, mógłbym wyliczyć panu cały szereg.

- Naprawdę?

- Tak. Na przykład pewna Cyganka, Zarba.

- Ją także pan zna?

- Doskonale. Znałem ją jeszcze, gdy była młodą dziewczyną.

- Podobno była bardzo piękna.

- Powiadają nawet, że była kochanką Korteja.

- A to ciekawostka - rzekł kapitan.

- Następną tajemnicą to Alfred de Lautreville - kontynuował Kortejo.

- Nie nazywał się inaczej.

- Wołali na niego również Mariano.

- A jaka tajemnica się z nim wiąże - pytał kapitan.

- No cóż, był bardzo, wręcz łudzaco podobny do hrabiego Emanuela.

- Jak pan chce rozwiązać te wszystkie zagadki?

- Podejrzewam, że w Meksyku uda mi się powiązać zerwane nici.

- W Meksyku?

- Tak, bo właśnie tam wielu bohaterów tej historii zaginęło.

- Jeżeli zaginęli to jak ich pan odnajdzie?

- Może odnajdę osoby, które się z nimi stykały, a które też coś wiedzą.

Kapitan nie mógł się dalej powstrzymać.

- Pan szuka tych osób? - spytał.

- Naturalnie. Wiele bym dał za to, by choć jedną z nich móc odnaleźć.

- To uroczyście oznajmiam panu, że jedną z nich już pan znalazł.

- Gdzie?

- Tutaj.

- Kogo?

- Mnie.

- Pana? - spytał Kortejo z doskonale udanym zdziwieniem.

- Oczywiście. Proszę mi powiedzieć, ale szczerze, pan był przyjacielem hrabiego Emanuela?

- Naturalnie.

- Dobrze, w takim razie będę mówił otwarcie. Pan wie, czyj to statek, ten na którym teraz płyniemy?

- Nie mam pojęcia.

- Hrabiego Ferdynanda Rodriganda.

- Ależ hrabia zmarł.

- Nieprawda, żyje.

- Żyje? Może pan na to przysiąc?

- Nawet tysiąc razy.

- Na miłość boską, powiedz pan gdzie on jest, ale szybko!

Pytaniom i odpowiedziom nie było końca. Wagner był w siódmym niebie, Kortejo zaś znakomicie

grał swą rolę.

- Zaraz - przerwał w pewnym momencie kapitan. - Wie pan kto jeszcze oprócz hrabiego żyje?

- Nie, skąd mama wiedzieć.

- Steranu i Mariano.

- Pan chyba żartuje!

- Ani mi w głowie. Przebyłem z nimi szmat drogi.

- Gdzie?

- Na tym statku.

- Wprost nieprawdopodobne. Proszę opowiadać, albo lepiej nie, ja będę zadawał pytania, a pan na nie odpowiadał,

- Proszę pytać.

- Po co Sternau udał się do Meksyku?

- Chciał znaleźć pewnego kapitana, Landolę. Nazwisko to powinno być panu znane.

- Wiem, to kapitan piratów na okręcie "La Pendola".

- Obaj bracia Kortejowie to główni zbrodniarze.

- Ja też tak przypuszczam.

- A ich największym sprzymierzeńcem i współnikiem był właśnie ten Landola, pirat, którego gdybym dostał w swojej ręce to zmiażdżyłbym na papkę.

- Na nic innego nie zasługuje - odezwał się Landola.

- Kochanka Korteja to siostra Klarysa - kontynuował Wagner. - Urodził im się chłopak, a chcą go zrobić co najmniej hrabią, zamienili za prawdziwego syna hrabiego Emanuela.

- Nie do uwierzenia.

- Ale tak było. Młody Rodriganda miał odwiedzić swego stryja mieszkającego w Meksyku. Przed wyjazdem został zamieniony w gospodzie, a prawdziwego hrabiego Kortejo oddał rozbójnikom i kazał zgładzić. Oni jednak tego nie zrobili, wprost przeciwnie; wychowali i wykształcili chłopca. To właśnie jest ten Mariano, który jako Alfred de Lautreville przybył do zamku Rodrigandów.

- Santa Madonna, czyli, że Mariano to prawdziwy hrabia?

- Tak.

- Są na to jakieś dowody?

- Dostyc dużo.

- To prawdziwe szczęście.

- Co się dalej stało z fałszywym Alfonso i z hrabią Emanuelem nie potrzebuję panu mówić, bo pan to na pewno wie.

- Tak, ale co się stało z hrabią Ferdynandem?

- Na skutek podanej mu trucizny popadł w letarg. Wyjęli go później z grobowca i sprzedali do niewoli w Hararze.

- Co za okrucieństwo, jak się mu tam wiodło?

- Bardzo ciężko. Na szczęście spotkał tam ogrodnika z Manresy, swego dobrego znajomego, Bernardo.

Kortejo zbladł jak ściana, ale na skutek dużej ilości makijażu nie było tego widać.

- A jak się ten człowiek tam dostał?

- Podobnie jak i hrabia. Podszłuchał rozmowy Korteja z pewnym zakonikiem i poznał całą tajemnicę zamienionych dzieci, na skutek tego Kortejo wyprawił go na statek Landoli, a ten po prostu sprzedał go do niewoli.

- Co za dziwne zrządzenie losu!

- A najdziwniejsze jest to, że pewnego razu, handlarz niewolników przyprowadził do Hararu młodą, białą niewolnicę i także sprzedał ją sułtanowi. Bardzo mu się podobała, a ponieważ nie potrafił się z nią porozumieć, tłumaczem został hrabia Ferdynand.

- On znał jej mowę? - spytał Kortejo ledwo mogąc ukryć niecierpliwość.

- Nawet bardzo dobrze, znali się z dawnych lat, gdyż była to Emma Arbellez, córka zarządcy w majątku hrabiego.

- Córka hacjendero Pedro? - zawołał Kortejo zdumiony.

- Ta sama.

- Ale jak to możliwe, skoro ona...

Mało brakowało, a byłby się zdradził. Na szczęście Landola czuwał i w porę go kopnął, przerywając zdanie w połowie. Wagner niczego nie podejrzewając mówił dalej:

- Może się to panu wydawać nieprawdopodobne, gdyż nie wiesz w jaki sposób się tam dostała.

- Nie mam o tym pojęcia.

- Otóż Sternau, Mariano, obaj bracia Helmerowie, dwaj wodzowie indiańscy i dwie kobiety, czyli Emma i Karia, na skutek intryg Pabla Kortejo zostali podstępem zwabieni przez Landolę na statek i wywiezieni na bezludną wyspę w okolicach Australii. Żyli tam w strasznych warunkach. Wreszcie w wielkim trudzie zbudowali tratwę.

- I na niej uciekli?

- O nie. Mieli wyprowadzić się rano, ale w nocy zerwała się ogromna burza. Emma bojąc się, aby tratwa przymocowana tylko słabymi linami nie zerwała się, postanowiła ją wzmocnić. Jednakże w tym samym momencie, gdy Emma przebywała na tratwie zerwała się straszna wichura, i Emma wraz z łupinką odpłynęła, gnana siłą fal.

- Straszne! - krzyknęli naraz obaj złoczyńcy w rzeczywistości życząc dziewczynie śmierci.

- Co przeżyła, to trudne do opisania - ciągnął dalej kapitan. - W końcu schwytał ją jakiś Chińczyk i sprzedał niewolnikowi żywym towarem, ten zawiózł ją do Hararu, a tam spotkała hrabiego.

- To taka sprawa?

- Hrabia, Bernardo i Emma przy pomocy kilku Somalijczyków uwolnili się, zabierając przy okazji skarby sułtana. Szczęśliwie dostali się na mój statek. Z tego co mówiła Emma udało nam się odszukać tę wyspę, tym łatwiej, że Sternau sobie tylko znanym sposobem potrafił określić w przybliżeniu długość i szerokość geograficzną wyspę. W Kalkucie za część skarbu sułtana hrabia zakupił ten właśnie statek, potem popłynęliśmy po rozbitków, a w końcu wszyscy razem do Meksyku.

- Gdzie wylądowaliście?

- W Guayama. Tam otrzymałem polecenie, aby opłynąć przylądek i skierować się do Vera Cruz, skąd będę miał zabrać całe towarzystwo, a potem już prosto do Europy.

- Będzie pan tam na nich czekał?

- Poślę kogoś do stolicy, do zamku hrabiego albo do hacjendy del Erina. Tam będą na mnie czekały szczegółowe instrukcje. No cóż panowie, to po krótkce byłoby wszystko, nie mam wiele czasu, wzywają mnie obowiązki - spojrział na zegarek. - Najwyższy czas.

- Dziękujemy panu serdecznie, za te wspaniałe nowiny - powiedział Kortejo. - Dobrej nocy.

- Do widzenia panowie, do jutra.

Wyszli i swej kajucie dopiero zaczęli rozmawiać o tym co usłyszeli.

Peters stał na pokładzie, gdy zobaczył kapitana podszedł do niego i salutując powiedział:

- Kapitanie!

- Czego sobie życzysz, przyjacielu.

- Wolno mi zapytać, kim są ci pasażerowie?

- Na co ci to, ale dobrze. Jeden z nich jest adwokatem, a drugi jego sekretarzem.

- Ja w to nie wierzę.

- Dlaczego?

- Ten adwokat może rzeczywiście nim jest, ale drugi jest żeglarzem.

- Po czym to poznałeś?

- Bo zupełnie po ciemku znalazł pańską kajutę, nawet o nią nie pytając.

- Tak? - powiedział kapitan. - Oni ci się coś nie podobają.

- Naturalnie, że nie.

- To nie masz racji, to dwaj inteligentni, zaci ni ludzie, a twoje podejrzenia są zupełnie bezpodstawne i więcej nie chcę tego słyszeć.

- Wedle rozkazu, panie kapitanie.

Obrócił się i odszedł. Jednak postanowił nie spuszczać obcych z oczu przez całą podróż. Gdy dopływali do Vera Cruz, pasażerowie stali na pokładzie gotowi do zejścia na ląd, obok nich stał kapitan.

- Panowie jadą wprost do stolicy? - spytał adwokata.

- Tak jest - odrzekł Kortejo.

- A jeżeli nie ma tam jeszcze hrabiego?

- To pojedziemy wprost do hacjendy.

- Ja także wysyłam posłańca, ale dopiero jutro - rzekł kapitan podając mu rękę na pożegnanie.

Gdy łotry zeszyły na ląd, pierwsze swe kroki skierowali do agenta Gonsalvo Verdillo.

- Czym mogę służyć? - zapytał na ich widok.

- Chcieliśmy się dowiedzieć kilku nowinek.

- Kogo lub czego dotyczących?

- Niejakiego Henryka Lonadoli.

Agent zbladł, spojrział na nich przerażony i jękając się odparł:

- Nie rozumiem panowie?

- Naprawdę? Możecie te bajki opowiadać innym. Rozumiesz mnie doskonale, stary drabie. Czoło agenta pokryło się kroplami potu.

- Nie rozumiem, naprawdę nie wiem o kogo panowie pytacie - odrzekł drżącym głosem.

- O kogo? O mnie!

- Co? O samego siebie?

- Nie inaczej. Poznajesz mnie? Nieprawdaż, że mam znakomity makijaż? - powiedział Landola swoim głosem.

- Ten głos? Czy to możliwe?

- Możliwe, możliwe. To właśnie ja.

- Witam pana kapitana! Przepraszam, że od razu nie poznałem.

- Poznajesz może tego drugiego pana?

Verdillo na próżno silił swą pamięć, w końcu rzekł:

- Nie jestem w stanie.

- To, Gasparino Kortejo! - zawołał Landola. Zdziwiony agent skrzyżował ręce i zawołał:

- Senior Kortejo? Doprawdy? Tak znakomicie ucharakteryzowany.

Własny brat by go nie poznał.

- O to właśnie chodziło - zauważył Landola. - Musimy zachować nadzwyczajną ostrożność. Ale powiedz nam, gdzie możemy znaleźć seniora Pablo?

- Nie jestem w stanie, na to odpowiedzieć.

- A seniorita Józefa?

- Także nie wiem.

- Do diabła, a to dlaczego?

- Seniorita oddała mi list od swego ojca, który natychmiast wysłałem. Dotarł do pana?

- Tak - odpowiedział Kortejo. - Dostałem go na dwa dni przed odjazdem.

- Od tego czasu nie dostałem żadnej informacji.

- Z hacjendy del Erina także nie?

- Nie.

- A co słyhać w stolicy? - spytał Kortejo.

- Pełno w niej Francuzów.

- To zapewne przebywanie w niej nie należy do czynności bezpiecznych.

- Aż tak źle nie jest, ale nie możecie mówić kim naprawdę jesteście.

- Ani mi to w głowie. Nazywam się Antonio Veridante i jestem adwokatem hrabiego Alfonso de Rodriganda. Kapitan jest moim sekretarzem. Proszę to sobie zapamiętać, na wszelki wypadek.

Agent natychmiast zanotował dane, po czym powiedział:

- Wybaczcie panowie, że się przeraziłem słysząc nazwisko kapitana. Już od kilku tygodni, codziennie przychodzi do mnie jakiś człowiek i pyta, czy kapitan Landola przypadkiem nie przybył.

- Kto to taki? - spytał Landola.

- Nie mam pojęcia.

- Nie wiesz jak się nazywa?

- Nie powiedział.

- Czego chce ode mnie?

- Nie chciał mi tego powiedzieć.

- Hm, pyta codziennie. Widocznie musi mieć jakiś powód. Kiedy zazwyczaj przychodzi?

- Mniej więcej o tym czasie. Pewnie niedługo zapuka.

- Muszę powiedzieć, że bardzo mnie to interesuje. Rzeczywiście nie upłynęło nawet pięć minut, gdy usłyszeli pukanie.

- Mam go wpuścić? - zapytał agent.

- Naturalnie - odparł Landola.

- Co mam mu powiedzieć?

- Ja sam z nim pomówię.

W drzwiach stanęła jakaś wysoka, chuda postać.

- Chciałem spytać, czy senior Landola przypadkiem nie przyplłynął? - brzmiało pytanie.

Landola mimo woli zacisnął pięści. Na pierwszy rzut oka poznał swego przyrodniego brata. Przeczuł, że to pragnienie zemsty przyгнаło go aż tutaj. Zmienionym głosem zapytał:

- Czego pan chce od niego, senior?

- To już moja sprawa.

- A dlaczego szukacie właśnie tutaj?

- To też moja sprawa.

- Dziwny z was człowiek. A wolno mi wiedzieć, jak pan się nazywa?

- Nie.

- Do diabła, to grubiaństwo. W ten sposób niczego się nie dowiecie. Nic wam nie powiem, dopóki nie odpowiecie mi na chociaż jedno pytanie.

- Na jakie?

- Kto was skierował aż tutaj?

- A gdy odpowiem, dowiem się gdzie on jest?
 - Tak.
 - Wiecie to?
 - Sam chcę go odszukać.
 - Tak, ale czy się wam to uda.
 - Naturalnie, a nawet na pewno.
 - No dobrze, powiem wam. Przysłał mnie tu ojciec Hilario z klasztoru della Barbara w Santa Jaga.
 - Nie znam go, kto mu powiedział o tym miejscu?
 - Gdybym był pewny, że spotkam Landolę, to powiedziałbym i to - odparł myśliwy.
 - Daję wam na to moje słowo - powiedział Landola.
 - Zgoda. Ten zakonnik dowiedział się o tym adresie od seniora Kortejo.
- Na twarzach słuchaczy odmalowało się zdziwienie.
- Od Pabla Kortejo? - spytali wszyscy trzej równocześnie.
 - Tak, od niego.
 - Znacie go może?
 - Znam.
 - Jesteście może jego zwolennikiem?

POGOŃ

Prawie w tym samym czasie, kiedy parowiec kapitana Wagnera przybił do portu, niedaleko stanął na redzie inny statek. Wagner załatwił formalności i wyszedł na pokład, chcąc zejść na ląd by poznać choć trochę miasto i jego mieszkańców. Właśnie przechodził koło Petersa, więc zapytał go:

- No i co, prawda, że co tych dwóch pasażerów to się grubo pomyliłeś?
- O nie, panie kapitanie - brzmiała odważna odpowiedź.
- Nie? - spytał zciekawiony i nie mniej zdziwiony.
- Tak jest. Jeden z nich był żeglarzem, ale obaj to oszuści.
- Co ty wygadujesz, mieli przecież dokumenty.
- Tak, a w nich fałszywe nazwiska.
- Niemożliwe dokumenty były w porządku.
- Nie przeczę, ale jak byli sami ze sobą, to rozmawiali całkiem inaczej.
- Dobrze słyszałeś?
- Kilka razy i bardzo dokładnie.
- Jak się nazywali?
- Ten żeglarz mówił do adwokata, Kortejo, a adwokat do niego kapitanie lub senior Landola.

Wagner aż podskoczył, raczej krzycząc niż pytając zawołał:

- To prawda?
- Święta prawda.
- Może się mylisz?
- Nie, dobrze słyszałem.
- To dlaczego łajdaku zaraz mi o tym nie powiedziałaś?
- Bo mi pan kapitan zabronił interesować się nimi.
- Do stu diabłów! Nieszczęście!

Zaczął gwałtownie chodzić po pokładzie mruczając do siebie:

- Hm, teraz wszystko wydaje mi się jasne. To dlatego tak dobrze znali całą historię. Ładnie się spisałem, nie ma co. Dałem im się podejść jak jakiś uczeń, wszystko wypaplałem. Muszę to naprawić. Peters!

Majtek zjawił się natychmiast.

- Na rozkaz!
- Ubierz się natychmiast przyzwoicie i po cywilnemu, pójdziesz razem ze mną do miasta. Poznasz tych łotrów?
- Naturalnie.
- To spiesz się. Musimy ich złapać choćby za cenę własnego życia.

Na brzegu najpierw udali się do urzędu celnego, gdzie otrzymali potwierdzenie, że nijaki Antonio Veridante był tam, nie pozostało im więc nic więcej, jak rozpocząć poszukiwania w mieście. W wędrownicy swej trafili do restauracji. Wagner zmęczony i zziębnięty musiał nieco odpocząć, podszedł do stolika, przy którym siedziało tylko dwóch jegomościów. Szczególną uwagę zwracał jeden z nich, o ogromnym nosie. Aż cofnął się na widok tego nochala. Obcy mężczyzna zauważył to i splunawszy potężnie powiedział:

- Proszę bliżej, proszę się nie obawiać, mój nos nie gryzie.

Wagner uśmiechnął się lekko i rzekł:

- W to nie wątpię.

Skłonił się grzecznie młodemu towarzyszowi nochala i przedstawił krótko:

- Kapitan Wagner.

Młody człowiek podniósł się nieco i odpowiedział:

- Kapitan Helmer.

Jego towarzysz uczynił to samo mówiąc:

- Kapitan Sępi Dziób.

Wagner usiadł wpatrując się bacznie w twarz młodzieńca.

- Jeżeli się nie mylę, to musieliśmy się już kiedyś spotkać - powiedział w końcu.

- To niemożliwe - odparł Helmer.

- Uderza mnie pańskie ogromne podobieństwo, do jednego z mych znajomych.

- Do kogo?

- Do pewnego kapitana o tym samym nazwisku.

- Helmer?

- Właśnie tak.

Na twarzy Roberta pojawiło się skupienie.

- Skąd pochodził? - spytał.

- Z Kreuznach, w Moguncji.

Robert aż podskoczył wołając:

- To mój ojciec.

- Ojciec? Pan także jest Niemcem?

- Oczywiście.

- Proszę wybaczyć, że zapytam; czy ojciec pański przypadkiem nie zaginął?

- Tak, jakieś dwadzieścia lat temu.

- Tak, to on.

- A gdzie teraz jest?

- Tutaj, w Meksyku.

- Żyje?

- Jak najbardziej.

- Jest pan tego pewny?

- Oczywiście. Właśnie niedawno przyplłynąłem tutaj, by zawieść do Europy całe towarzystwo.

Mam czekać na nich w porcie.

- I jest pan pewien, że się nie myli? - spytał rozgorączkowany Robert.

- A czemu miałyby być inaczej, przecież wykonuję tylko polecenia hrabiego Ferdynanda. Co prawda przekazał mi je jakiś czas temu, ale ja zawsze robię co do mnie należy.

- Ach, co za szczęście, że pana spotkaliśmy!

- Przepraszam, że przerwę, ale muszę panom powiedzieć, że do restauracji wszedłem tylko na chwilę, bo właśnie wszędzie szukam dwóch zbirów.

- Zbirów?

- A tak, pan jest przecież synem jednego z nieszczęśników i powinienem pana z wszystkim zaznajomić. Wie pan kogo poszukuję?

- Skąd mam wiedzieć?

- Gasparino Kortejo i Landolę.

Poblady Robert zawołał z największym zdumieniem:

- Landolę i Korteja? Ich pan szuka?

- Właśnie.

- Tutaj, w Meksyku? W Vera Cruz?

- Nie inaczej.

- Oni są tutaj?

- Tak, wiem to z całą pewnością, sam ich przywiozłem na moim parowcu. Jak osioł dałem się im podejść i uwierzyłem w ich sfałszowane dokumenty. Dopiero gdy opuścili statek dowiedziałem się jak brzmi ich prawdziwe nazwiska.

- Czyli, że to naprawdę oni?

- Mogę panu przysiąc.

- Przybyli zapewne po to, aby pokrzyżować nam nasze plany i wszystko zepsuć. Musimy ich jak najprędzej złapać. Jak wyglądali. Kapitan dokładnie opisał ubrania i wygląd swoich pasażerów.

- To wystarczy - zauważył Robert. - Szukał ich pan w całym mieście?

- Szukałem, ale bez skutku.

- Na dworcu kolejowym także? Kapitan zrobił frasobliwą minę.

- Na dworcu? - zapytał. - Niestety, o tym nawet nie pomyślałem.

- Nie? - powiedział Helemer - Ależ to powinno być pana pierwszą myślą.

- Zgadza się, ale nie pomyślałem.

- Zapewne opowiedział im pan, że całe towarzystwo powróciło z wyspy i jak ich znam będą robili wszystko, aby pozacierać ślady swych zbrodni.

- Tak opowiedziałem im wszystko.

- Także to, że tamci już od trzech miesięcy przebywają w Meksyku?

- To także.

- Będą się więc bardzo spieszyli. Zapewne swe pierwsze kroki skierowali na dworzec. Kto wie czy się nam już nie wymknęli. Teraz nie mamy czasu na dalsze rozmowy. Musimy się spieszyć, natychmiast wyruszamy na dworzec.

Zapłacili i szybko udali się na stację.

Robert się nie pomylił. Jak już wiemy, Kortejo i Landola spotkali się na dworcu z myśliwym Grandepriem. Nie tracąc czasu spytali o pierwszy odjeżdżający pociąg:

- Za dziesięć minut - odparł konduktor. - Chcecie nim panowie jechać?

- Tak - odpowiedział Kortejo.

- Bardzo mi przykro, ale to niemożliwe.

- Dlaczego?

- Ponieważ jadą nim tylko żołnierze i urzędnicy państwowi.

- To przykre.

- Panowie bardzo się spieszą?

- Ogromnie.

- My dwaj jesteśmy Hiszpanami, a ten pan jest amerykańskim myśliwym.

- To fatalnie. Hiszpanów przewozić nam nie wolno, a tym bardziej Amerykanów. Grandepriem sięgnął do kieszeni i wyjął skórzany portfel. Wyciągając z niego dwudziestodolarówkę, rzekł z uśmiechem:

- Oto moja legitymacja.

Kortejo i Landola poszli za jego przykładem. Twarz urzędnika rozjaśniła się.

- Ha! - zawołał. - Ta legitymacja całkowicie wystarczy, proszę tylko wymienić swoje nazwiska i podać mi paszporty do przejrzenia, a z wielką przyjemnością zajmę się resztą.

- Ja jestem adwokatem z Barcelony, a nazywam się Antonio Veridante - odparł Kortejo.

- A ten drugi pan?

- To mój sekretarz.

- Mają panowie paszporty?

- Tak, oto one.

Przejrzał papiery, po czym sam otworzył im drzwi do wagonu mówiąc:

- Proszę wsiadać, ale prędko bo pociąg zaraz rusza. Rzeczywiście za pół minuty usłyszeli gwizd lokomotywy i pociąg zaczął się zwolna toczyć po szynach.

W Lamoto stały dyliżanse, więc cała trójka kupiła sobie natychmiast bilety. Kortejo i Landola wsiedli do środka, a Grandepriem ulokował się na dachu, bo w środku dla niego było zbyt mało powietrza. Można powiedzieć, że było to na rękę dwójce łotrów, gdyż bez żenady zaczęli ze sobą rozmawiać:

- Wierzy pan w to opowiadanie i historię o ojcu Hilario z Santa Jaga? - spytał Landolę Kortejo.

- Wierzę, mój brat w życiu nie skłamał.

- W takim razie u tego zakonnika znajdziemy mego brata.

- Prawdopodobnie - odparł Landola.

- Ale musimy się spieszyć. Żeby w stolicy wszystko poszło dobrze i po naszej myśli.

- Chodzi tylko o ten cmentarz.

- Mam jeszcze coś innego do zrobienia.

- Co takiego?

- Przecież wiecie, że dobra Rodrigandów nie mają obecnie właściciela?

- Ten zapewne już się musiał zjawić. Myślicie, że Francuzi wypuszczą z rąk taką dojną krowę?

- Przecież te dobra należą do hrabiego?

- Tak, toteż oni na pewno nie zabrali ich na swą własność, tylko pod zarząd.

- To niemożliwe.
- Przekonacie się.
- W każdym razie muszę się udać do zamku i na miejscu sprawdzić jak sprawy stoją.
- Narażacie się tylko na niepotrzebne ryzyko.
- O nie. Moje papiery są w porządku, mnie także nikt nie rozpozna.
- Róbcie jak chcecie, ja umyвам ręce i na ten czas ukryję się w gospodzie.

Przybywszy do stolicy, Kortejo udał się do pałacu, podczas gdy Landola zamieszkał w gospodzie.

- Gdzie mieszka administrator zaniku? - spytał pilnującego posesji.
- Parter, drugie drzwi na prawo.

Zapukał do wskazanych drzwi i wszedł do jakiegoś pokoju pełnego biurka, regałów i książek. Natychmiast zjawił się lokaj i niezbyt grzecznym tonem zapytał:

- Pan sobie życzy?
- Czy administrator jest w domu?
- Tak, ale zajęty.

- Proszę mnie zameldować, oto moja wizytówka. Został wprowadzony do jakiegoś eleganckiego saloniku. Niedługo zjawił się gruby jegomość, Francuz i mierząc go od stóp do głowy spytał obojętnie:

- Czym mogę służyć?
- Jestem adwokatem z Barcelony i plenipotentem hrabiego Alfonso de Rodrigandy.
- Tak? Ma pan na to jakieś dokumenty?
- Oczywiście, proszę.

Francuz spokojnie przeglądał papiery i powiedział:

- Bardzo to pięknie i ładnie, ale za mało.
- Co? Dlaczego?
- Papiery nie są ważne, gdyż nie zostały potwierdzone przez odpowiednich ambasadorów.
- To nie jest konieczne.

- Przeciwnie, w czasie wojny konieczna jest akredytacja od ambasadora francuskiego w Madrycie i hiszpańskiego w Paryżu. To chyba oczywiste.

- O niczym takim nie słyszałem, sprawdzę to.
- Bardzo proszę - odparł Francuz z szyderczym, uśmiechem.
- Poskarżę się mojemu ambasadorowi.
- Nie mam nic przeciwko temu.
- W razie konieczności udam się do samego cesarza.
- Powiem panu, że cesarz nie zajmuje się takimi drobnostkami.
- Udam się do Bazaine.
- To pana zamkną.
- Do diabła! - zaklął Kortejo.
- Proszę stąd wyjść, kłąć może pan za drzwiami, a nie tutaj. Do widzenia!

Ogłupiały Kortejo nawet nie zauważył, gdy lokaj grzecznie wyprowadził go za drzwi. Gdy znalazł się na ulicy, zapytał o drogę do ambasady hiszpańskiej i natychmiast skierował się we wskazanym kierunku. Niestety po długim oczekiwaniu dowiedział się tylko tyle, że obecny administrator majątku Rodrigandów miał rację i papiery jego, z powodu braku potwierdzenia dwóch ambasadorów nic nie znaczą. Ze złością wrócił do Landoli. Ten oczekiwał na niego z widoczną niecierpliwością, gdy tylko go zobaczył zawołał:

- Już myślałem, że pana zamknęli.

- Mało brakowało.

Po krótko opowiedział mu o tym co zaszło.

- Przeczuwałem to, a więc ta sprawa jest załatwiona. Pozostaje nam jeszcze...

- Wypełnić grobowiec.

- A potem?

- Już tylko do klasztoru.

- Jak zabierzemy się do tej cmentarnej sprawy?

- Zwyczajnie. Wyszukamy trupa, który umarł w tym samym czasie co hrabia. To łatwo znaleźć, po napisach na grobowcach. W nocy go wykopiemy i ubierzemy w podobne do hrabiego szmaty...

- Ubranie może nas zdradzić.

- Dlaczego?

- Bo to ubranie musi być spróchniałe.

- Mówiłem już, że tego dokonają, chemikalia.

- To co, dzisiejszej nocy?

- Inaczej być nie może.

- A skąd weźmiemy odpowiednie narzędzia? Łopaty, drabinę sznury?

- To znajdziemy u stróża cmentarza. Zapewne gdzieś trzyma takie rzeczy.

- Musimy się najpierw przekonać, gdzie.

- Tak, ale jeszcze jedna, o wiele ważniejsza rzecz jest teraz do załatwienia.

- Co takiego?

- Musimy mieć kogoś, kto nas będzie pilnował i ostrzeże w razie niebezpieczeństwa.

- Tego już mamy.

- Kogo?

- Mego brata.

- Jesteś pewny, że się zgodzi?

- Musi.

- Ale nie możemy go wtajemniczać.

- Oczywiście, że nie. Proszę to zostawić mnie. Już ja go nakłonię.

- Gdzie on teraz jest?

- Śpi na podwórzu.

- Dlaczego nie w pokoju?

- On w pokoju? Pan widocznie nie zna tych ludzi prerii. Oni w zamkniętych pomieszczeniach nie potrafią wytrzymać nawet godziny. Niech śpi, my tymczasem pójdziemy obejrzeć teren działania.

- Dobrze, chodźmy.

Wyszli z gospody i pytając się tu i ówdzie o drogę dostali się wreszcie na cmentarz, którego brama była otwarta. Było samo południe i słońce paliło tak silnie, że wszystkie żywe istoty chowały się do cienia. Na cmentarzu nie było żywej duszy, więc spokojnie mogli stężając swoim zadaniem. Najpierw odszukali grobowiec rodziny Rodrigandów, po czym poszli w dwie różne strony sprawdzając napisy na grobowcach. Nagle Kortejo wyprostował się i zawołał:

- Proszę tutaj panie sekretarzu, coś znalazłem.

Landola podszedł pod zakratowane drzwi i począł czytać napisy:

- Ma pan na myśli ten górny? - spytał.

- Tak.

- Hm, tam spoczywa jakiś bankier. I to wszystko?

- Pięćdziesiąt sześć lat.
- No tak i co z tego.
- Pogrzebano go przed osiemnastu laty.
- Znakomicie, czyli że wszystko się zgadza, prawda?
- To jedno już mamy z głowy. Tylko czy potrafi pan o północy, w grobowcu zachować zimną krew.

- A co myślicie może, że jestem tchórzem?

- Nie, ale co innego z bronią w ręku stanąć przed żyjącym człowiekiem, a co innego mieć do czynienia z trupem i to w nocy. Spojrzeć na jego przegniłe oblicza, dotykać go i przebierać...

- Mnie to nie przeraża. Lepiej niech pan uważa, aby sam jak przyjdzie co do czego nie dał drapaką - odparł lekceważąco Landola.

- Za siebie rękę, ale co z waszym bratem.

- Ten nic nie będzie wiedział. Będzie stał przy bramie jako wartownik, reszta nie będzie go interesowała.

Poszli szukać narzędzi, które znaleźli w schowku, w rogu cmentarza, a w końcu powrócili do gospody. Obiad zamówili na górę, zaprosili na niego także myśliwego. Zjawił się, ale widać było, że nie jest w najlepszym humorze. Spytany przez Landolę o powód odpowiedział:

- Niech diabeł porwie to przeklęte miasto, co ja mam tu do roboty? Cały czas spać?

- A nudzi się pan?

- Jak najbardziej.

- To niech pan wyjdzie na spacer, zwiedź miasto.

- Ja je znam. Muszę wracać do Santa Jaga.

- My także musimy tam jechać.

- Ale kiedy?

- Jak tylko załatwimy nasze interesy.

- A kiedy to nastąpi?

- Tego niestety nie wiem. Właściwie mamy do załatwienia tylko jedną sprawę. Ale tutaj piętrzą się trudności. Gdyby nie to, moglibyśmy wyruszać już jutro.

- Trudności? Jakie? Może uda je pokonać.

- Spodziewam się, mam nadzieję... że uda nam się znaleźć człowieka, któremu moglibyśmy zaufać.

Grandeprise popatrzył na niego i odpowiedział:

- A ja kim jestem? Do mnie nie macie zaufania?

- No cóż - mruknął Landola.

- O co się rozchodzi, zapewne o jakąś tajemnicę.

- Tak.

- A ja nie mógłbym wam w tym pomóc? Landola potrząsnął głową odpowiadając:

- Zmusza mnie pan, do wtajemniczenia w nasze sprawy. Gdyby chciał pan nam zagwarantować, że dochowasz tajemnicy i chcesz nam pomóc, wówczas...

- Ależ naturalnie, proszę mi tylko powiedzieć o co się rozchodzi.

- To zawiła sprawa. Całe przedsięwzięcie skierowane jest przeciw Landoli, a pan zapewne jest jego przyjacielem i możesz nas zdradzić.

- Ja jego przyjacielem? - odrzekł myśliwy ze złością. - Co za bzdura!

- Ale, przecież pan go szuka?

- Tak, ale dlatego, że muszę z nim porozmawiać, jednak tak, że krew mu w żyłach skrzepnie,

- Czyli, że pan ma z nim jakieś rachunki do wyrównania?

- Oczywiście. Od lat gonię za nim jak pies, ale jak go złapię to nie wiem, czy ten łotr nie wolałby znajdować się w szponach diabła, niż w moich rękach.

Landola widząc przed sobą tę twarz wykrzywioną zaciętością mimo woli zadrżał, jednak nie dał tego po sobie poznać i z udaną radością zawołał:

- Co za szczęście, mamy więc w panu doskonałego sprzymierzeńca i współnika.

- Więc panowie też są przeciwko niemu?

- Jak najbardziej.

- Nie oszukujecie mnie?

- Nawet by nam to do głowy nie przyszło.

- W takim razie z chęcią wam pomogę i to w każdej sprawie. Proszę powiedzieć co mam robić?

- Możemy mu zaufać? - spytał Landola zwracając się do adwokata.

- Ja mu ufam - odparł Kortejo.

- Proszę mi tylko zaufać a znajdziecie we mnie dzielnego pomocnika - odezwał się myśliwy. - O co wam chodzi?

- O mały spacer.

- Dokąd?

- Na cmentarz.

- Dobrze, pójdę.

- W nocy także?

- Mnie jest wszystko jedno, a czego tam szukacie.

- Musimy wykryć jedno z draństw Landoli.

- Zaczynam rozumieć.

- Wie pan, że on tu kiedyś przebywał w rezydencji Rodrigandów?

- Możliwe.

- Miał kochankę.

- Biedna dziewczyna.

- Chciała by się z nią ożenił.

- Lepiej by zrobiła gdyby wyszła za diabła.

- Nie wyszła ani za Landolę, ani za diabła, dostała innego oblubieńca, równie straszego.

- Kogo?

- Śmierć.

- O Boże? Zmarła?

- Tak.

- Zapewne do tej śmierci coś ją zmusiło.

- Tak przypuszczamy.

- Czyli, że on ją zamordował?

- Nie inaczej. Poinformowałem o tym wprawdzie lekarzy, ale ci durnie nic nie odkryli.

- Żadnej rany? A truciznę?

- Także nie.

- Ale umarła nagle.

- W ciągu godziny.

- A dlaczego pan zajął się właśnie tą dziewczyną?

- Nie powiedziałem tego panu? Byłem jej stryjem.

- A tak. I nic pan nie wykrył? Nie zaskarżył go pan?

- Kazałem go aresztować, ale wskutek braku dowodów wypuścili go. Od tego czasu nieustannie mnie prześladował. Popadłem w biedę, dzieci mi zmarły, żona też, nieszczęście mnie nie opuszczało, a wszystkiemu winien jest Landola.

- Tak, to prawdziwy drań.

- Szukałem go dzień i noc, by się zemścić. Dopiero niedawno udało mi się odkryć jego współnika, który będąc bliskim śmierci, przyznał się do winy. Od niego dowiedziałem się o agencie Gansalve Verdillo w Vera Cruz oraz, że Landola najprawdopodobniej niedługo zjawi się w Santa Jaga.

- Czy to tylko prawda?

- Ja w to wierzę.

- A co jeśli można wiedzieć, ma to wspólnego z waszą bratanicą?

- Dowiedziałem się, że był on jednak sprawcą jej śmierci.

- W jaki sposób?

- Podobno wbił jej gwóźdź bez nasady w głowę, a że miała bardzo bujne włosy, to one wszystko przykryły zacierając ślady zbrodni.

- Okropność! Chcecie się więc na cmentarzu przekonać, czy to prawda?

- Tak.

- Oczywiście w tajemnicy.

- Nie inaczej.

- Dlaczego nie zrobicie tego oficjalnie.

- Bo jeżeli by to nie była prawda, to znowu by mnie zamknęli. Najlepiej jest się o tym przekonać samemu.

- Tak, ale to i tak nic panu nie pomoże, nawet jeżeli znajdziecie ten gwóźdź.

- O nie, będziemy mieli dowód zbrodni.

- Ale nie zbrodniarza.

- Jego znajdę w Santa Jaga.

- Chcecie wyjąć trupa?

- Potrzebuję tylko w bocznej krypcie otworzyć jej trumnę.

- To nie powinno być trudne.

- Chce nam pan w tym pomóc?

- Owszem, w jaki sposób?

- Będzie pan pilnował, aby nikt nas nie podszedł, pilnował pan będzie bramy.

- Jeżeli nic innego panowie ode mnie nie chcą, to jest to drobnostka.

- Nie wszyscy chętnie przebywają na cmentarzu, zwłaszcza w nocy.

- Ja nie jestem tchórzem.

- A czy dzisiaj w nocy będzie pan mógł pomóc?

- Czym prędzej tym lepiej.

- O dwunastej.

Kortejo poszedł do miasta, aby zakupić potrzebne narzędzia. Kiedy późnym wieczorem ruszyli w stronę cmentarza zastali bramę zamkniętą.

- Musimy przejść przez mur - powiedział Grandeprise.

- O nie, najpierw musimy sprawdzić, czy przypadkiem kogoś nie ma w środku - rozkazał Kortejo. Rozdzielili się i poszli w różne strony. Kiedy ponownie przyszedli pod bramę, mieli już pewność, że są sami.

- Teraz na mur - szepnął Landola.

Gdy dostali się do środka, myśliwego zostawili przy bramie na straży.

- Jaki znak mam wam dać, jeżeli by ktoś nadszedł? - spytał.

- Umie pan naśladować krzyk puszczyka?

- Bardzo dobrze.

- Niech więc to będzie znakiem.

- Gdzie jest ten wasz grobowiec?

- Tam na lewo, ten długi krużganek. Grandepriśe usiadł na trawie, Kortejo i Landola udali się we wskazanym kierunku.

- Przynieść drabinę? - spytał pirat. - Zaraz, najpierw spróbujmy, czy nie da się otworzyć kluczem.

I rzeczywiście, niedługo zdołał otworzyć ciężkie zakratowane drzwi prowadzące do grobowca.

Landola tymczasem przyniósł drabinę pytając:

- Czy w głąb prowadzą jakieś schodki?

- Nie.

- A jaka jest posadzka?

- Kamienna.

Zaświecił latarką i zeszli w dół. Niedługo szukali trumny bankiera, otwarli ją i dziwny dreszcz przeszedł im po plecach. Zmarły prawie nienaruszony leżał na przegnitej poduszce. Woskowa twarz był podobna do pergaminu, reszta przypominała czaszkę obciągniętą skórą.

Wprawdzie z trudem ale udało im się w końcu przebrać zwłoki w inne ubranie.

- To ubranie jest zbyt dobre jak na tak długi czas - odezwał się w końcu Kortejo.

- Nie martwcie się tym - rzekł Kortejo. - Oto lekarstwo na to.

Pokazał mu małą flaszeczkę pełną jakiejś ciecchy.

- Pokropicie go? Tutaj?

- Naturalnie.

- To czysta głupota.

- Dlaczego?

- Bo się na szmaty w rękach rozpadną.

- Racja, teraz więc musimy iść z nim do grobowca Rodrigandów.

W ciągu dwóch minut wywlekli trupa na górę, zamknęli drzwi i odnieśli drabinę, potem poszli do celu swej wyprawy.

Tutaj jednak Kortejo nie mógł otworzyć drzwi przy pomocy swych kluczy. Chciał wyjąć piłkę, aby przeciąć żelazo, gdy chwyciwszy bezwiednie za kłamekę odskoczył przerażony.

- Co się stało? - spytał Landola.

- Drzwi są otwarte.

- Niemożliwe.

- To sami spróbujcie.

Landola podszedł bliżej, gdy tylko nacisnął kłamekę drzwi się otwały.

- Do diabła! - zawołał. - Czy przypadkiem tam w środku nikt się nie schował?

- To byłaby ładna historia.

- Zapewne grabarz zapomniał zamknąć, ktoby tu miał w nocy coś do roboty?

Uchylił drzwi i począł nasłuchiwać, w końcu wyszeptał:

- Nawet mysz się nie rusza, może któryś klucz przekręcił zamek, tylko pan tego nie zauważył?

- O nie, musiałbym przecieź słyszeć.

- To posłuchajmy jeszcze raz. Włożyli głowy za drzwi.

- Nie słyhać nawet szmeru, nikogo nie ma, nie traćmy więc czasu, tylko schodźmy na dół.

Landola poszedł pierwszy, a za nim Kortejo z latarką. Do głębi prowadziły kamienne schody, oświecili trumnę i sarkofag, ale nie zauważyli niczego podejrzanego.

- Gdzie trumna hrabiego Ferdynanda? - spytał Kortejo.

- Tutaj - odparł Landola, wskazując na trumnę, na której z daleka błyszczały złote litery.

- Na pewno jest pusta?

- Niestety.

- Dlaczego Niestety?

- Bo wolałbym, aby rzeczywiście leżał w niej hrabia.

- Drobiazg, dostaniemy go prędzej czy później.

- No to do roboty.

Podsunęli pod wieko barki chcąc je wyrwać siłą, tymczasem przyszło im to bez żadnego trudu.

Wieko z hukiem potoczyło się na ziemię, równocześnie z ust obojga wydarł się krzyk przerażenia. W trumnie leżała jakaś długa postać z nosem wielkim i zakrzywionym jak hak. O mało nie umarli z przerażenia.

Aby to zrozumieć musimy powrócić do Vera Cruz, do chwili kiedy kapitan Wagner razem z Robertem, Sępiem Dziobem i Petersem wybiegli z restauracji na dworzec, by złapać zbiegów.

Przy pomocy pięciocentówki dowiedzieli się, że przed godziną trzech cywilów pojechało pociągiem przeznaczonym dla wojska do Lomalto. Trzeci podróżny stał się zagadką.

- Kiedy odjeżdża najbliższy pociąg? - spytał Robert.

- Dopiero za trzy godziny - usłyszeli.

- No to mamy jeszcze dosyć czasu.

Odeszli na bok.

- Uciekli! - zawołał kapitan Wagner. - I temu wszystkiemu jestem winien ja. Co teraz robić?

- Musimy cierpliwie czekać, przyjacielu - odparł Robert. - Następnym pociągiem pojedę za nimi.

Może uda mi się złapać ich w stolicy.

- A ja muszę wysłać kogoś - powiedział kapitan - aby zawiadomił hrabiego o moim przybyciu.

Może pozwoli panowie na to, aby się do was przyłączył.

- Jak najbardziej, tylko żeby nam nie przeszkadzał - powiedział Helmer.

- Co to, to nie. Czy wyrażą panowie zgodę na to, aby był nim Peters.

- Oczywiście, nawet się dobrze składa, bo on ich zna.

- Lepiej nawet niż ja.

Twarz majtka rozjaśniła się.

- Chodź chłopcze teraz na statek, tam dam ci konieczne instrukcje, a potem w drogę. Gdzie się spotkamy później?

- Najlepiej w tej restauracyjce, w której się spotkaliśmy - odparł Robert.

- Dobrze, do zobaczenia.

Kapitan z Petersem poszli na statek, a Robert ze swoim towarzyszem udali się do naczelnika stacji.

- Wolno zapytać kiedy odchodzi najbliższy pociąg? - spytali.

Urzędnik popatrzył na zegar i odwracając się odrzekł:

- Za dwie i pół godziny.

Robert już wprawdzie wiedział, ale chciał się upewnić i dowiedzieć, czy będą dla nich miejsca.

- Chcą nim może panowie jechać? - spytał kolejarz wpatrując się w nich badawczo.

- Naturalnie - odparł Robert.

- Bardzo mi przykro, ale cywili nie wolno nam przewozić.

- Proszę pozwolić, że się przedstawię - wyjął z kieszeni paszport i podał naczelnikowi.

- Do usług panie kapitanie - powiedział, gdy uważnie zapoznał się dokumentami. - Ile miejsc pan potrzebuje?

- Trzy.

- Proszę bardzo, czy w pierwszej klasie będzie dobrze?

- Tak, bardzo dziękuję. Czy w Lomalto będziemy mieli sposobność do dalszej podróży, do stolicy?

- Teraz nie, jest dyliżans, ale kursuje jeden raz dziennie.

- To jaka jest możliwość dalszej podróży.

- Radziłbym panu kupić konie. Ja sam mam kilka dzielnych rumaków, które panowie wyjeżdżając z Meksyku będziemy mogli swobodnie sprzedać. W razie kupna, przetransportuję je panu do Lomalto

bezpłatnie.

- Proszę je pokazać.

Niedługo kupno doszło do skutku, Robert wybrał trzy znakomite wierzchowce.

- Bogu dzięki! - zawołał Sępi Dziób. - Znowu będę mógł nogi włożyć w strzemiona, już się tak za tym stęskniłem, że z rozpaczy chciało mi się już nieraz wsiąść na swój własny nos i pogalopować na prerię.

Może godzinę przed odjazdem pociągu zjawił się Wagner z majtkiem. Usiedli z Robertem i Sępiem Dziobem w restauracji, po czym Wagner opowiedział im pokrótce, w jaki sposób wyratował z opresji hrabiego Ferdynanda i pozostałych, a Robert przekazał mu sprawozdanie z ostatnich wypadków.

- To znaczy, że oni znowu zniknęli? - zawołał kapitan przerażony.

- Niestety. Ale spodziewam się, że uda mi się odnaleźć ich ślady, wówczas zemsta będzie okropna.

- Może już gonimy ich śladem? - odezwał się Sępi Dziób.

- W jaki sposób? - spytał Robert.

- Bo gonimy za Landolą i Kortejem, a ci niezawodnie udadzą się tam, gdzie znajdują się zbrodniarze, a więc i nasi przyjaciele.

- To prawda, dlatego musimy dołożyć wszelkich starań, by ich złapać.

- Jednak to może potrwać zbyt długo, - dodał kapitan - a ja tu, w tym klimacie żółtej febry nie mogę tak długo cumować, inaczej ludzie na statku wszyscy mogą się pochorować.

- To niech pan popłynie do innego, zdrowego portu.

- Dobrze, będę czekał w zatoce Bermeja.

Właśnie dał się słyszeć gwizd lokomotywy. Pożegnali się więc z Wagnerem serdecznie, wsiedli do wagonu i za dwie godziny dojechali do Lomalto. Tam dowiedzieli się, że cywile, którzy przybyli poprzednim pociągiem pojechali dyliżansem do stolicy. Nie namyślając się długo wsiedli na swoje konie i popędzili we wskazanym kierunku. Za przewodnika służył oczywiście Sępi Dziób. Do Meksyku dotarli w tym samym dniu co i Kortejo z towarzyszami.

- Gdzie można tych łotrów szukać? - spytał Sępi Dziób. - Gdyby to było na prerii, to dla mnie drobnostka, ale w tym morzu budynków.

- Ja znam dwie drogi, na których możemy ich złapać - powiedział Robert.

- Naprawdę? Jakie, jeśli wolno spytać?

- Według mnie na pewno zjawią się w rezydencji hrabiego.

- Tak, to prawda. Musimy odszukać ten dom. A ta druga?

- Przecież pan wie, że trumna hrabiego jest pusta.

- Naturalnie, przecież widziałem go żywego.

- Kortejo i Landolą natychmiast domyśla się, że naszą pierwszą czynnością, będzie udowodnienie przed władzami, że trumna jest pusta, będą się więc starali wypełnić ją.

- Naturalnie. Do licha panie kapitanie, moje uznanie. Byłby pan znakomitym detektywem.

- Musimy ich więc za wszelką cenę wyprzedzić.

- Tak, prędko! Do roboty!

Zatrzymali się w pierwszym hotelu na jaki trafili, po czym Robert wyszedł, by odnaleźć rezydencję hrabiego Rodrigandy. Nie musiał szukać długo. Po zameldowaniu się i podaniu przez służącego wizytówki, został wprowadzony do salonu, gdzie oczekiwał go administrator.

- Czym mogę służyć, panie kapitanie? - spytał grzecznie urzędnik.

- Przepraszam, że przeszkadzam, ale mam sprawę prywatną, chciałem pana o coś zapytać...

- Bardzo proszę.

- Czy był może dzisiaj u pana ktoś, kto podawał się za plenipotentą hrabiego Alfonso Rodriganda?

- Był, przed południem.

- Zapewne, chciał zasięgnąć informacji co do stanu dóbr?

- Tak, ale odprawiłem go z kwitkiem.

- Nie wie pan przypadkiem, gdzie on mieszka?

- Nie, tego nie powiedział.

- Bardzo chciałbym się tego dowiedzieć. Muszę panu wyjaśnić, że to bardzo podejrzane indywiduum, oszust, który...

- Właśnie takie wrażenie odniosłem - przerwał mu zarządca.

- Możliwe, że się jeszcze raz zjawi u pana. W takim przypadku, proszę go natychmiast aresztować i donieść o tym do ambasadora Prus, pana Magnusa.

- Aresztować? Będę to mógł później jakoś usprawiedliwić?

- Najzupełniej. Ten drab nazywa się Gaspariono Kortejo, to brat owego Pabla, o którym pan zapewne słyszał?

- Tak, tak, wyrzucono go ze stolicy.

- Posiada fałszywe dokumenty, zmienił również powierzchowność. Ścigam go i jego towarzysza aż od Vera Cruz.

- Pańskie zdanie zupełnie mi wystarcza, jak się tylko tu zjawi karzę go uwięzić.

Z rezydencji Robert udał się wprost do ambasadora i oddał mu tajną korespondencję, przy okazji wyjaśnił również swoje prywatne zamiary. Ambasador przysłuchiwał się temu z zainteresowaniem, wreszcie powiedział:

- Na miłość boską, ta cała historia jest bardzo zawiła. Na moją pomoc może pan liczyć, uczynię wszystko co w mojej mocy. Rozumiem, że chce pan szukać przede wszystkim na cmentarzu?

- Myślę, że tam najprędzej go złapię.

- Jestem tego samego zdania. Musicie najpierw, po cichu stwierdzić, w obecności wiarygodnych świadków, że trumna hrabiego Ferdynanda jest pusta.

- Tak właśnie zamierzam uczynić, łaskawy panie.

- Proszę więc poszukać świadka, którego słowu będzie można zaufać. W obecnej sytuacji radzę panu udać się do tutejszego sędziego.

- Zrobi to dla mnie? - spytał Robert.

- Najprawdopodobniej. Jest moim dobrym znajomym, mogę więc polecić mu pana.

- Bardzo o to proszę, łaskawy panie.

Po kwadransie udał się Robert z listem polecającym do sędziego. Ten przeczytawszy wizytówkę i list, uściśnął kapitanowi Helmerowi rękę i powiedział:

- Pan Magnus poleca mi pana i prosi, służył panu pomocą w jakiejś sprawie. Wolno zapytać co to za interes?

- To prywatna sprawa - odparł Robert. - Jednak przy okazji sprawa natury kryminalnej.

- Czyli, że to przede wszystkim moje forum. Czy chodzi o jakąś zbrodnię?

- O cały szereg zbrodni.

- Zaciekawia mnie pan, proszę powiedzieć, co to takiego.

- Chodzi o stosunki rodzinne hrabiego Ferdynanda Rodriganda.

- Znałem go.

- A czy znał pan jego pełnomocnika i zarazem administratora?

- Pablo Korteja?

- Właśnie.

- Znałem. Sam nawet wręczyłem jemu i jego córce nakaz opuszczenia Meksyku.

- Otóż don Ferdynand i Kortejo to osoby, o które rozchodzi się w pierwszym rzędzie.

- Chce pan powiedzieć Kortejo, bo hrabia przecież dawno temu zmarł,

Robert pokręcił przecząco głową.

- Mam na myśli obu, bo hrabia nie umarł, żyje.

- Myli się, hrabia umarł, byłem przecież na jego pogrzebie.

- Wierzę, ale mimo to twierdzą, że hrabia żyje. Jeżeli pan pozwoli, to opowiem pokrótce o wszystkim co mi w tej sprawie wiadomo.

Sędzia usiadł wygodnie i zapaliwszy papierosa przysłuchiwał się z uwagą. Dopiero, gdy Robert skończył, zerwał się i dużymi krokami zaczął przemierzać pokój, mrużąc do siebie pod nosem:

- To jakaś nieprawdopodobna historia, wprost nie do uwierzenia.

Przystanął, rzucił badawczy wzrok na twarz Roberta i spytał:

- Myśli pan, że w grobowcu hrabiego będzie można złapać obu tych opryszków?

- Jestem tego pewny - odparł Robert.

- Jednak przede wszystkim musimy się przekonać, czy trumna rzeczywiście jest pusta. Będzie mi pan towarzyszył?

- Właśnie chciałem prosić o to samo.

- Dobrze, zaraz poślę po klucz do grobowca, do pałacu Rodrigandów.

- Może jednak zaniecha pan tego?

- Dlaczego?

- Bo nie chciałbym w te sprawy wtajemniczać zbyt wiele osób.

- Tak, ma pan rację. Pan spodziewa się, że na pewno zastaniemy trumnę pustą?

- Jeżeli się pospieszymy, inaczej tym opryszkom może się udać zatrzeć ślady zbrodni.

- Tak, musimy więc się posłużyć zapasowym kluczem, który i tak znajduje się u mnie. Wyszli razem i udali się wprost do hotelu, gdzie mieszkał Robert z towarzyszami. Sędzia porozmawiał z Sępi Dziobem, który w swój dziwaczny sposób opowiedział mu o swych przygodach.

- To wszystko jest tak nieprawdopodobne, jak Baśnie z tysiąca i jednej nocy - powiedział urzędnik na koniec opowiadania.

- Do diabła! - zawołał Sępi Dziób wypluwając resztki tytoniu wprost na ścianę.

- Dlaczego pan klnie? - spytał zdziwiony sędzia.

- Dlaczego? Pan myśli, że ja dla jakiś bajek tłukłem się aż do Prus?

- Tego nie powiedziałem - odparł sędzia z uśmiechem.

- Ha! Bajki! Powiadam panu, senior, że jeżeli ten mężczyzna w Guadaloupe nie jest hrabią Ferdynandem, to mój nos nie jest moim nosem tylko pańskim.

- To brzmi bardzo przekonująco - zaśmiał się śledczy. - Ale teraz bardzo proszę panowie, byście udali się ze mną na cmentarz.

Bocznymi uliczkami dotarli na miejsce przeznaczenia, gdzie zastali już paru policjantów, którzy oczekiwali na rozkazy sędziego. Pojedynczo, aby nie zwracać uwagi innych ludzi doszli do grobowca hrabiego. Otworzyli bramę i przy świetle latarek udali się do wnętrza. Po otwarciu trumna rzeczywiście okazała się pusta.

- Santa Madonna! - zawołał sędzia. - Naprawdę jest pusta!

Robert zbadał poduszki i wskazując na nie powiedział do urzędnika:

- Prawie zupełnie nowe. To znak, że żadne zwłoki nie mogły tu leżeć.

- Oczywiście - potwierdził śledczy. - O Boże! To straszne. Pochowali go żywcem.

- Niestety tak.

- Nie spocznę, dopóki wszystkich sprawców nie złapię. Cały cmentarz, a szczególnie ten grobowiec każe strzec dzień i noc.

- To nie jest najlepszy pomysł - powiedział Robert.

- Dlaczego?

- Bo ci, których chcemy złapać są bardzo ostrożni, gdy tylko zauważą, że nad wszystkim czuwa policja, umkną nam.

- To w jaki sposób ich złapię?

- Według mnie, podkradną się tutaj dopiero w nocy.

- Logiczne, ale skąd wezmą zwłoki?

- O, dla Korteja i Landoli to żaden problem. Już oni coś znajdą.

- Gdzie?

- Tu, na cmentarzu.

- Myśli pan, że wykopią je z ziemi?

- Nie, to kosztowałoby za dużo zachodu. Ukradną z innego grobowca.

- Słusznie, młody człowieku,

- Moim zdaniem, najlepiej wieczorem przygotować na nich zasadzkę, jestem pewny, że w ciągu dnia nic pokażą się tutaj.

- Tak i dlatego teraz rozejdziemy się, ale zaraz o zmierzchu spotkamy się tutaj. Każdy poszedł w swoim kierunku. Robert nie mógł się doczekać wieczora. Sępi Dziób zaś spokojnie położył się spać ale zaraz z zapadnięciem zmierzchu wstał i zaczął swoich towarzyszy poganiać do pośpiechu. Przy cmentarzu czekał już na nich policjant i wpuścił do środka, a po chwili przyszedł sędzia i dwóch następnych przedstawicieli porządku.

- Trzeba to wszystko sprytnie urządzić - powiedział sędzia do obecnych. - Przy bramie pozostawię dwóch policjantów.

- To nie jest słuszne posunięcie - zauważył Sępi Dziób.

- A to dlaczego?

- Bo te łotry nie są takie głupie, aby wchodzić przez bramę. Niezawodnie przeleżą przez mur.

- To ogromnie utrudni nam zadanie - rzekł ponuro urzędnik.

- Dlaczego? - spytał myśliwy.

- Bo będę musiał zwołać cały oddział policjantów i poustawiać ich wokół całego muru.

- To zbyt ciężkie. Pan zostanie tu, w grobowcu, a ja sam obsadzę cmentarz.

- Jak to? Sam jeden? To niemożliwe.

- A to dlaczego nie? - spytał Sępi Dziób potężnie spluwając.

- Bo sam pan nic nie wskóra.

- Oho, to pan nie wie, że ja jestem traperem.

- Nic o tym nie wiedziałem.

- No to niech pan posłucha, dwoje uszu wytrawnego myśliwego więcej znaczy, niż uszy setki policjantów.

Sędzia wiedział, że Sępi Dziób nie kłamie, dodał więc spokojnie:

- Ma pan rację. Umieszczę moich ludzi tutaj, w grobowcu, a pan będzie czuwał na górze. Sępi Dziób oddalił się natychmiast biorąc ze sobą jednego policjanta. Cierpliwość ich była wyznaczona na ciężką próbę. Dopiero po pomocy zjawił się policjant oznajmiając, że trzech mężczyzn przeszło przez mur.

- W końcu! - zawołał ucieszony sędzia. - Co robią?
- Jednego postawili przy bramie na straży, a dwóch poszło do grobowców, tych z prawej strony.
- A co robi ten myśliwy?
- Cały czas ich podsłuchuje, prosił, aby panowie pogasili latarki, bo światło mogłoby was zdradzić.

W wyjątkowym skupieniu oczekiwali w grobowcu na dalszy rozwój wypadków. Niedługo zjawił się sam Sępi Dziób. Ponieważ na dole było ciemno, to dla bezpieczeństwa wymienił swoje nazwisko.

- Gdzie teraz są? Co robią? - posypały się pytania.
- Z całą pewnością ich złapiemy. Zaraz przyniosą hrabiego Ferdynanda.
- Kogo? Hrabiego? - spytał sędzia. - Przecież on podobno zaginął.
- Tak, ale zaraz się zjawi.
- Co? Tutaj?
- Naturalnie,
- Jak to, co to ma znaczyć?
- O rany, mam na myśli fałszywego hrabiego. Przyniosą jakieś zwłoki.
- A, o to chodzi.
- Właśnie go wyciągają?
- Skąd?

- Z jakiegoś grobowca, po prawej stronie cmentarza. Koło bramy postawili jednego na straży. Proszę tam posłać dwóch policjantów, muszą go ująć, gdy tylko ci dwaj wejdą tutaj, do grobowca.

Ponownie wyszedł, by mieć na wszystko baczenie. Dopiero po pół godzinie wrócił meldując z pośpiechem:

- Nadchodzą!
- Tylko ci dwaj, czy ten ich strażnik także? - spytał Robert.
- Sami, strażnika przy nich nie ma.
- A niosą zwłoki?
- Tak, panie kapitanie.

- Nie mamy więc dużo czasu, musimy się ukryć. Prędko, za trumny i sarkofag. Jeden z policjantów zaświecił latarkę, aby ułatwić im zadanie. Kiedy się wszyscy schowali. Sępi Dziób powiedział do niego:

- Niech pan poczeka, musimy coś załatwić.
- Co takiego? - spytał policjant.
- Proszę zdjąć wieko z trumny hrabiego.
- Z trumny hrabiego Ferdynanda?
- Przecież mówię.
- Po co?
- Zaraz pan zobaczy.

Podnieśli wieko i przerażony policjant zobaczył, jak traper z zimną krwią kładzie się do środka.

- Na Boga! - zawołał. - Co to ma znaczyć?
- Zamknij pan trumnę - odparł Sępi Dziób wyciągając się wygodnie.
- Ale ja nie pojmuję, co...

- Skoro pan nie pojmujesz, lo lepiej milcz i rób co ci każe. Popatrz na mój nos i wyobraź sobie miny tych łotrów, kiedy otworzą trumnę i zobaczą mnie. No, zamykaj pan! Policjant nie był przekonany, a i Robert chciał protestować, jednak usłyszeli szmery dochodzące z zewnątrz.

- Do diabła, zamykaj! Inaczej nas zobaczą! - zawołał Sępi Dziób krzyżując ręce na piersiach.

Policjantowi nie pozostało nic innego, jak szybko przymknąć wieko i schować się za najbliższy sarkofag. Na dole zapanowała całkowita cisza, tylko z góry dochodził dźwięk kręcenia w zamku kluczami. Niedługo potem usłyszeli na schodach kroki. Przy blasku latarki zobaczyli Korteja i Landolę.

- Czy to oni? - spytał Robert szeptem Petcrsa, który stał tuż obok niego.

Majtek tylko kiwnął głową.

- Niech pan poświeci dokoła? - rzekł Landola.

Kortejo podniósł latarnię do góry oświecając całe wnętrze. Trumnę hrabiego znaleźli bez trudu. Jak już powiedzieliśmy, podparli wieko, które z łoskotem spadło na podłogę, a oni zobaczyli człowieka z ogromnym nosem patrzącego na nich wielkimi oczami.

Krzyknęli z przerażenia, nie byli zdolni do zrobienia nawet kroku, stali jak wmurowane w ziemię posągi. Dopiero po minucie wróciła im mowa.

- Na Boga? Kto to? - wrzasnęli równocześnie.

- Dla was wszystko co najgorsze - zawołał Sępi Dziób wyskakując przy tym z trumny. - Zabiorę was ze sobą.

W mgnieniu oka wymierzył jednemu i drugiemu potężne policzki, tak że zaskoczeni i nieprzygotowani na coś takiego, padli na ziemię.

Przy upadku z rąk Korteja wypadła latarnia. Sępi Dziób podniósł ją i ze zwinnością lamparta stanął tuż przy schodach prowadzących na górę.

- Do stu diabłów! - zaklął Landola.

- Do wszystkich diabłów! - wrzeszczał Kortejo. - To człowiek! To jakiś drab! Który odważył się nas pobić.

- Draniu, czego tu chcesz? - spytał Landola zaciskając pięści.

- Co ja tu robię? Rozdaję policzki, jak mieliście panowie okazję się przekonać.

- Odzyskasz je z nawiązką. Kim jesteś?

- Diabłem.

Landola podszedł bliżej i przybierając groźną postawę zawołał:

- Nie żartuj z nami, tylko odpowiadaj kim jesteś?

- A jak nie będę miał na to ochoty?

- To cię zmusimy.

- Nie ośmieszaj się, durniu. Pierwszego, który do mnie podejdzie palnę w łeb latarnią tak, że mu się w głowie tysiąc gwiazd ukaże w momencie. Chyba nie przypuszczacie abym uciekał przed Landolą i Kortejo.

- Co, ty nas znasz, skąd? - zawołał przerażony Kortejo.

- Znam i to znakomicie.

- Aleja ciebie nie znam.

- To nic nie szkodzi, wkrótce mnie panowie poznacie.

- Kto ci powiedział kim jesteście?

- Policja.

- Policja? Gdzie?

- Tu, niedaleko.

Nic wiedzieli, czy żartuje, czy też mówi serio. Siłąc się na spokój Kortejo zawołał:

- Człowieku, ty chyba zwariowałeś. Nie pozwalaj sobie na takie żarty, gdyż nas jest dwóch!

- Mimo to aresztuję was! - odparł Sępi Dziób ze spokojem.

Landola mimo woli spojrzął na swój pistolet, cofnął się o krok i powiedział:

- Z ciebie człowieku rzeczywiście jest niebezpieczny wariat. W jaki to sposób sam jeden chcesz nas aresztować?

- Tak zupełnie sam jeden to nie, popatrzcie panowie do tyłu. Wskazał ręką na prawo, gdzie stali już pozostali członkowie zasadzki z latarkami w ręku. Blask światła oświetlił ich postacie; Landola i Kortejo zrozumieli, że wpadli w pułapkę.

- Do diabła! Mnie nie dostaniecie! - krzyknął Landola.

- Mnie też nie - wrzasnął Kortejo.

Obaj rzucili się na Sępiego Dzioba, ten jednak był na to przygotowany.

Nie wyjmując nawet noża, z taką siłą uderzył Landolę latarką, że tylko szkło się rozsypało, a Korteję kopnął. W tej samej minucie, pozostali podbiegli do złoczyńców i powiązali ich sznurami.

- Nareszcie ich mamy - zawołał sędzia. - Może przesłuchamy ich od razu, tutaj - spytał zwracając się do Helmera.

- Przede wszystkim musimy złapać tego trzeciego - powiedział Robert.

- Tego złapali już moi policjanci - odparł sędzia.

Jednak co do tego, to sędzia się bardzo pomylił. Grandepriase był zbyt doświadczonego myśliwym. Jak tylko usłyszał ciche, skradające się kroki, rzucił się na ziemię i czołgając dotarł do krzaków, obok których przechodzili właśnie, mający go złapać policjanci.

- Ja go nie widzę - wyszeptał jeden.

- Ja także nie.

- Może go tu nie ma.

- Szukajmy.

Grandepriase poznał, że byli to policjanci.

- Do diabła, szukają mnie. Muszę ostrzec moich. Poczłgał się ostrożnie w kierunku bocznych grobowców, ale nie znalazł tam nikogo. Wędrując dalej, przy grobowcu Rodrigandów usłyszał jakieś głosy i zobaczył blask latarki. Podeszedł jak tylko mógł najbliżej.

- Tu coś leży - usłyszał męski głos.

- Dobrze, musimy się dowiedzieć od więźniów, co chcieli zrobić z tymi zwłokami. Muszą się przyznać.

- Na Boga! Uwięzili ich - pomyślał. - Paskudna sprawa. Wprawdzie nic złego nie zrobili, ale ci Francuzi nie zwykli żartować... a co z Landolą? Od kogo się dowiem gdzie go szukać?

Muszę ich uwolnić, inaczej wszystko przepadnie. Schował się za pomnik, zza którego nikt nie mógł go widzieć, on natomiast doskonale obserwował całą sytuację.

Niedługo wyprowadzili dwójkę opryszków z grobowca.

- Skąd wyjęliście te zwłoki - spytał sędzia.

Żaden z nich nie odpowiedział.

- Pytam skąd je wzięliście - powtórzył pytanie urzędnik.

Ponownie odpowiedziało mu milczenie.

- Proszę tego zaniechać - wmieszał się Robert. - Od tak zatwardziałych opryszków niczego się nie dowiemy. Jutro, w ciągu dnia sami się przekonamy.

- To prawda - rzekł sędzia. - Zostawię tu kilku moich ludzi, aby nikt nie zatarł śladów przestępstwa. Tymczasem tych ptaszków przetransportujemy do więzienia.

Sędzia śledczy, Robert, Sępi Dziób i Peters sami udali się z uwięzionymi, nie zauważyli jednak, że tuż za nimi skradał się jakiś mężczyzna. Dotarłszy do więzienia, jeszcze raz ponowili próbę śledztwa, jednak daremnie. Ponieważ tylko jedna cela była wolna, więc obu opryszków umieszczono

w niej stawiając pod drzwiami uzbrojonego strażnika. Robert wszedł do nich i zwracając się do Korteja rzekł:

- Senior Gasparino, to milczenie i tak wam nic nie pomoże. Ja o wszystkim wiem i dokładnie znam wasze tajemnice.

Kortejo popatrzył z pogardą na młodego mężczyznę i powiedział:

- O co panu chodzi? Co za tajemnice? Kim pan w ogóle jest?

- Nazywam się Robert Helmer i jestem synem owego marynarza, którego ten oto Landolą raczył wysadzić na bezludnej wyspie.

- Ciekawe, co pan takiego wie o naszych tajemnicach?

- Co? Wszystko.

- Proszę powiedzieć co? To zaczyna być bardzo interesujące.

- Nawet mi to nie przyszło do głowy. Nie przyszedłem tu po to, aby zabawiać panów rozmową. Chciałem, abyście szczerze przyznali się do wszystkich waszych zbrodni. Przegraliście, żadne wykręty was nie uratują.

Tymczasem Grandepriise błąkał się koło więzienia. Po grubych murach poznał, że ratunek dla uwięzionych jest niemożliwy. Nagle, Jakieś małe okienko o potężnych kratkach zajaśniało światłem.

- Aha - mruknął. - Tam ich wsadzili. A może zamkną ich osobno.

Począł jeszcze chwilę, ale w żadnym oknie nie pojawiło się nowe światło.

- To znaczy, że zamknięto ich razem. Paradnie. Teraz muszę się przekonać, kiedy oddalą się policjanci.

Podszedł w pobliże bramy i ukrył się za pierwszym domem, nie czekał długo. Ciężka brama otwarła się i wyszli przez nią eskortujący.

- To oni, to ta sama czwórka. Odchodzą, ale co ja mam teraz zrobić. Muszę działać i to jak najprędzej, jutro może być za późno.

Spacerował zamyślony po pustej ulicy. Różne plany przelatywały mu po głowie. Wtem usłyszał brzęk ostróg, jakiś francuski oficer wracał do domu.

- Do stu diabłów! To znakomity pomysł! - mruczał pod nosem - Ten hultaj jest tego samego wzrostu co ja i budowy podobnej. Do dzieła więc! Nie mam chwili do stracenia.

Pobiegł za oficerem wołając:

- Monsieur, monsieur!

- Co takiego? - spytał oficer przystając.

- Czy to pan jest kapitanem Mangart de Ventier? - spytał i zbliżył się do Francuza.

- Nie. Nie znam żadnego kapitana o takim nazwisku.

- Nie, to szkoda, bo ja także nie znam - odparł myśliwy śmiejąc się.

W tej samej chwili złapał oficera lewą ręką za gardło, prawą zaś wymierzył mu silny cios w głowę, taki jakie znają tylko traperzy. Trafiony upadł bez przytomności.

- Ha! Mam go. A teraz w bezpieczne miejsce.

Podniósł go i zaniósł w ciemny kąt między dwoma murami. Rozebrał, po czym skrupował i zatkał mu usta chustką. Po minucie przebrał się w jego mundur pozostawiając swe ubranie przy nieprzytomnym.

- Jestem gotów, teraz jednak potrzeba mi wielkiej odwagi, ha... może jednak się uda, do dzieła!

Brzęcząc ostrogami udał się wprost do gmachu więziennego i zadzwonił do bramy.

- Kto tam? - spytał żołnierz stojący na posterunku.

- Adiutant gubernatora! Otwierać! - powiedział groźnie.

Klucz zazgrzytał w zamku. Ciężka brama otwarła się. Przy słabym blasku latarni wartownik

poznał po mundurze francuskiego oficera, więc zasalutował służbowo.

- Naczelnik więzienia śpi? - spytał Grandeprise.

- Zapewne tak, panie kapitanie. Niedawno przyprowadzili dwóch więźniów, więc był tutaj, ale zaraz ponownie udał się na spoczynek.

- Kto go zastępuje?

- Klucznik.

- Na parterze?

- Tak jest.

- To dobrze.

Przeszedł przez dziedziniec i zadzwonił do właściwej bramy więziennej. Otworzył mu klucznik. Grandeprise doskonale wiedział, że Francuzi robili w tym czasie w Meksyku co tylko chcieli, dlatego przybierając surową minę zawołał:

- Inspektor śpi?

- Tak, mam go zbudzić? - spytał klucznik.

- To nie jest konieczne. Dużo żołnierzy przebywa w strażnicy.

- Ośmiu.

- Jestem ordynansem gubernatora. Potrzebuję na jakiś czas dwóch z nich. Mogą pójść?

- Naturalnie.

- Proszę ich przyprowadzić, ale szybko!

Podczas, gdy klucznik oddalił się, aby wykonać polecenie, myśliwy rozglądał się zuchwale po pokoju. Na tablicy, na której zawieszony był spis więźniów, przy numerze 32 widniał napis "adwokat Antonio Veridante, z sekretarzem". Na stole leżały formularze przyjęć lub wydania więźniów. Był to wyjątkowo szczęśliwy zbieg okoliczności. Nie namyślając się wiele wziął pióro i wypełnił jeden z nich podpisując nazwiskiem gubernatora. Pismo schował do kieszeni. Właśnie wrócił klucznik z dwoma żołnierzami uzbrojonymi w karabiny.

- Panie kapitanie, oto żołnierze,

- Dobrze, gdzie są klucze od więzień?

- Wiszą przy wejściu.

- Do wszystkich cel?

- Do wszystkich.

- Za mną!

Już stojąc na ulicy poznał, że cela w której zamknęli jego dwóch znajomych mieściła się na pierwszym piętrze. Poszedł więc na górę, a klucznika za nim z całym pękiem kluczy. Idąc wzdłuż korytarza doszedł wreszcie do celi z numerem 32.

- Otworzyć! - rozkazał postępującemu tuż za nim klucznikowi.

Ten natychmiast wykonał rozkaz, a stojący przy drzwiach żołnierz ustąpił wpuszczając kapitana do środka.

- Pan jest adwokatem Antonio Verdante? - spytał Korteja.

- Tak jest - odparł.

- A ten drugi, to pański sekretarz?

- Tak.

- Podać latarnię!

Klucznik natychmiast wręczył ją, a kapitan niby to chcąc oświetlić celę podniósł ją tak, że uwięzieni mogli zobaczyć jego twarz. Natychmiast go poznali i zrozumieli, jaki śmiały plan wymyślił.

- Tak, to ci sami! - powiedział Grandeprise. - Gubernator dowiedział się jakich to ptaszków złapaliście. Chce ich natychmiast przesłuchać, gdyż doniesiono mu, że to poplecznicy Juareza. Wyprowadzić ich.

Zwracając się do klucznika dodał stanowczym tonem:

- Oto poświadczenie wydania obu uwięzionych, podpisane przez gubernatora. Za godzinę odprowadzę ich, a wtedy pan wyda mi to poświadczenie - mówiąc to podał mu wypełniony i podpisany formularz.

Przy pomocy żołnierzy wyprowadził obu więźniów, klucznik mając przez oczami urzędowo wypełniony formularz nie śmiał przeciwstawić się decyzji kapitana. Na ulicy było zupełnie ciemno. Żołnierze asystujący więźniom musieli ich wziąć za ręce, prowadząc w kierunku gmachu gubernatora. Myśliwy odetchnął spokojniej widząc nad sobą niebo usłane gwiazdami. Zrozumiał, że wygrał i podstęp udał mu się całkowicie. Kiedy przeszli spory kawałek drogi wyciągnął swój nóż myśliwski i chowając go starannie w rękawie zwrócił się do żołnierzy z pytaniem:

- Czy ci więźniowie są dobrze zabezpieczeni?

- Pewnie - odparł jeden z nich - przecież prowadzimy ich pod ręce.

- A czy więzy dobrze trzymają?

- Tak, to silne rzemienie.

- Jednak lepiej je sprawdzić.

Zbliżył się do więźniów niby to sprawdzając rzemienie krępujące ręce z tyłu, w rzeczywistości jednak poprzecinał je ostrym nożem. Poczuli, że ramiona mają wolne, ale nie dali tego po sobie poznać nawet najmniejszym ruchem.

- Dobrze, postronki są silne, naprzód z nimi! Znowu przeszli kawałek, gdy na zakręcie jeden z żołnierzy krzyknął i upadł na ziemię.

- Co takiego? - spytał Grandeprise.

- Do diabła! Mój więzień palnął mnie pięścią w głowę i uciekł - krzyczał żołnierz podnosząc się z trudem.

- O Boże! Gdzie on jest?

- Uciekł tam, w lewą stronę.

- Za nim!

Żołnierz złapał za karabin i pobiegł w lewą stronę. Na skutek panujących ciemności nie mógł strzelać, zwłaszcza, że i tak nie widział uciekającego.

- Przynajmniej ty trzymaj mocno swego więźnia. Ładna historia! Co to będzie, jak naprawdę nam ucieknie?!

- Mój nie ucieknie, ręczę za to! - powiedział drugi żołnierz. Jeszcze nie skończył mówić, kiedy w nocnej ciszy rozległ się jego krzyk.

- Co się znowu stało? - spytał myśliwy. Podobnie jak jego towarzysz podnosił się z ziemi i z trudem powiedział:

- Mój więzień powalił mnie na ziemię!

- Do diabła! Co z was za gamonie! Pierwszy lepszy drab potrafi was powalić na ziemię. Gdzie on jest?

- Uciekł, tam na prawo.

- Do stu diabłów! Uciekł! Goń za nim, inaczej pomogę ci szpada!

Przestraszony żołnierz pobiegł na prawo co tchu w płucach. Ledwie ucichły jego kroki, gdy Grandeprise udał się w kierunku, z którego dopiero co przyszedli.

- Muszę przyznać, że bardzo dobrze to zrobili - mrucał sam do siebie. - Zapewne zaraz ich

spotkam.

Rzeczywiście nie uszedł daleko, kiedy pierwszy z więźniów przystąpił do niego mówiąc z uśmiechem:

- Jestem, panie kapitanie!

W tej samej chwili, z drugiej strony odezwał się drugi głos:

- Ja także staję na usługi. Byli to Landola i Kortejo.

- Gdzie są żołnierze? - spytał myśliwy.

- Szukają gdzieś nas. Ja przykucnąłem w kącie i dopiero jak przebiegł koło mnie począłem ostrożnie się cofać.

- Ja tak samo - odezwał się Kortejo. - Ale jak panu udało zdobyć się ten mundur?

- Prosta sprawa, powaliłem na ziemię jednego oficera i zabrałem mu go.

- Do diabła, to nie lada odwaga.

- Nie tak wielka, jak się wydaje.

- Jesteśmy panu bardzo wdzięczni, ale w jaki sposób dostał się pan do więzienia?

- Przez bramę.

- To wiem! - zaśmiał się Landola - Ale, że też pana wpuścili.

- Przedstawiłem się jako adiutant gubernatora.

- A skąd pan wziął potwierdzenie wydania nas?

- Sam sobie wypisałem, w czasie, gdy klucznik poszedł po żołnierzy.

- Znakomicie, genialnie obmyślany plan.

- Wymyśliłem go naprędce, gdy zobaczyłem na ulicy tego francuskiego kapitana.

- A co się z nim stało?

- Leży gdzieś skrzepowany i zakneblowany w kącie, między murami.

- Włożył mu pan swoje ubranie?

- Nie, nie miałem na to czasu. Zostawiłem swoje rzeczy koło niego. Myślę, że w samych kalesonach i koszuli nie przeziębą się. Chodźmy tam!

Tymczasem Robert, Sępi Dziób i Peters pożegnali się ze śledczym i powrócili do hotelu. Robert i Peters zaraz położyli się spać, ale Sępi dziób, który wyspał się w ciągu dnia, wyszedł na dziedziniec. Zupełnie jakby przecucie nie dawało mu spokoju. Myślał, czy więźniowie są bezpiecznie, czy aby nie potrafią się wydostać. Tutejsza władza wydawała mu się ogromnie niepewna. Dręczony obawą postanowił pójść na czaty w poblizze więzienia. Kiedy przechodził wąską uliczką wydało mu się, że w ciemnym kącie coś się poruszyło.

Przystanął nasłuchując. Rzeczywiście można było rozróżnić jakiś szelest. Złapał do ręki nóż i podszedł bliżej. Jego bystre oko ujrzało jakąś ciemną, poruszającą się masę. Czyżby to jakaś para kochanków? O tej porze? W takim miejscu? Powoli przysunął się jeszcze bliżej i ujrzał prawie nagiego mężczyznę związanego i zakneblowanego, a obok niego leżące ubranie. Wyjął mu z ust chustkę i spytał:

- Kim jesteś?

- Mon dieu! - wyrzęził skrupowany człowiek. - Co za szczęście, mogę przynajmniej swobodnie oddychać!

- Co mnie obchodzi wasze oddychanie! Chcę wiedzieć coście za jeden!

- Jestem francuskim oficerem i nazywam się kapitan Durand.

- Niech pan nie opowiada bzdur!

- Mówię prawdę!

- Czy francuski oficer tak łatwo daje się skrupować i powalić na ziemię?

- Niespodziewanie uderzono mnie w głowę, tak że straciłem przytomność.

- Bywa, gdy ktoś ma za mało siły w pięściach, udało się pana nawet rozebrać. Dlaczego?

- Tego nie wiem. Proszę mnie uwolnić z więzów.

- Spokojnie, mój kochany. Na to przyjdzie czas później. Przede wszystkim chciałbym się dowiedzieć, co to wszystko ma znaczyć. Co to za ubranie? - wskazał na leżące obok ciuchy.

- Pewnie mój mundur.

- Ładny mundur. Miał pan szpadę?

- Naturalnie.

- Czapkę?

- Też.

- A tu leży stary kapelusz, powykrzywiane buty i znoszone cywilne ubranie.

- Do diabła! To nie moje.

- Tak, a czyje?

- Pewnie tego, który mnie napadł.

- Czyli, że on ubrał pański mundur.

- Najprawdopodobniej.

- Niech pan nie zmyśla.

- Mogę przysiąc, że to prawda.

- Proszę opowiedzieć, jak to się stało.

- Wracałem z restauracji, kiedy spotkałem tego człowieka.

- Czego chciał od pana?

- Spytał mnie, czy nie jestem kapitanem, jakimś tam... nie pamiętam nazwiska.

- I co dalej?

- Powiedziałem, że nie znam nikogo, o takim nazwisku.

- A co on na to?

- Podszedł bliżej i uderzył mnie w głowę, tak że straciłem przytomność.

- Do diabła! Taki cios potrafią zadać tych prawdziwi ludzie prerii, a i ubiór wygląda znajomo.

- Nie wiem o czym pan mówi, proszę mnie rozwiązać.

Sępi Dziób jakby nie słyszał, zaczął się głęboko nad czymś zastanawiać, nagle zawołał:

- Do diabła! A to dopiero może być historia.

- Co takiego?

- Gdzie pana napadł? Może w pobliżu więzienia?

- Tak.

- Masz babo placek. To musi być ten sam. Co za głupota, że nie potrafiliśmy go złapać!

Poleż sobie tu jeszcze kochasiu ja zaraz wrócę. Pobiegł w kierunku więzienia, przy bramie gwałtownie zadzwonił.

- Kto tam?

- Sępi Dziób.

- Nie znam nikogo takiego!

- Nie szkodzi, otwórz tylko.

- Nie wolno mi.

- Dlaczego?

- W nocy mogę do środka wpuścić tylko urzędników.

- Ale ja już tu dziś byłem.

- Kiedy?

- Przyprowaździłem dwóch więźniów.

- Tak, razem z sędzią śledczym.

- A mnie samego nie wpuścicie?

- Nie.

- Na pewno?

- Oczywiście.

- Niech to diabeł porwie. Nawet nie mogę opluć tego draba, bo brama przeszkadza. A czy ci dwaj więźniowie, których przyprowaździliśmy, są tutaj jeszcze?

- Nie.

- Do stu piorunów! Masz babo placek! A gdzie są?

- U gubernatora.

- Co tam robią?

- Tego nie wiem.

- Czy przyszedł po nich jakiś oficer?

- Tak.

- Francuski kapitan?

- Tak.

- A jego wpuściliście?

- Jak najbardziej.

- Ha! To drabów wpuszczacie do więzienia, a porządných ludzi nie. Ten łotr nie był oficerem, to zwyczajny oszust. Twoja głupota sięga najwyższych gór. Widać nie wiedzieli, co z takim kretynem zrobić i dlatego pilnujesz więzienia.

- Stać! - zawołał wartownik i zaczął przekręcać w zamku klucz. - Stać, teraz może pan wejść!

Proszę do środka.

- O serdeczne dzięki! Dlatego, że powiedziałem panu parę słów prawdy to chce mnie pan wpuścić, pewnie po to aby mnie aresztować. Dziękuję za taką łaskę. Teraz ja nie chcę. Do widzenia, ośle!

Zniknął w bocznej uliczce i powrócił do obrabowanego oficera.

- Nareszcie pan wrócił - zawołał ten z niecierpliwością. - Myślałem, że pan zupełnie mnie już opuścił.

- Co to, to nie. Chciałem się tylko dowiedzieć, czy mówił pan prawdę.

- No i co?

- Dowiedziałem się, że rzeczywiście jest pan francuskim oficerem.

- Proszę więc, aby w końcu uwolnił mnie pan z tych więzów.

- Chętnie, ale nie w tej chwili.

- A Boże! A to dlaczego?

- Bo inaczej nie złapaliśmy tego łotra.

- Jakiego łotra.

- Tego, który pana obrabował.

- Jeżeli pan wie gdzie on jest, to proszę mnie rozwiązać, we dwójkę łatwiej go schwyta.

- O nie. Ja przecież nie wiem, gdzie on jest, ale jestem święcie przekonany, że tu powróci.

- Naprawdę? W takim razie musi mnie pan uwolnić.

- Przeciwnie, muszę raczej z powrotem pana zakneblować.

- Po co?

- Aby miał wrażenie, że tutaj nic się nie zmieniło. Musi mieć wrażenie, że nikt pana nie widział.

- Nie rozumiem.

- Wystarczy, że ja rozumiem. Dobrze znam traperów i wiem jak postępują.

- A jeżeli mnie jeszcze raz uderzy?

- Tego nie robi, pan mu przecież nic nie zawinił. Potrzebował tylko pańskiego munduru, dlatego pana uderzył, niedługo przyniesie go z powrotem.

- To niech pan zawoła policję, łatwiej go pan schwyta.

- Tego nie mogę zrobić, gdyż nie wiem jeszcze co to za ptaszek. Może jeszcze zostaniemy przyjaciółmi.

- Co, z takim rzezimieszkiem?

- A dlaczego nie?

- Bo ten łotr musi zostać ukarany.

- Zobaczymy... cicho, słychać jakieś kroki.

- Gdzie?

- Tam, w tej ciemnej uliczce. Dwóch, nie trzech idzie. Prędko, chustkę do ust. Udawaj pan, że nadal jesteś nieprzytomny.

Zanim oficer spostrzegł co się dzieje, Sępi Dziób z powrotem go zakneblował i szybko zniknął za wystającym murem.

Niedługo zza zakrętu wyłoniły się jakieś trzy postacie, jedna z nich podeszła bliżej i schyliła się nad leżącym.

- Do pioruna! To musiał być wyjątkowo silny cios! - wyszeptał Grandepriise po obejrzeniu oficera.

- Dlaczego? - spytał Kortejo.

- Bo dotychczas leży nieprzytomny.

- Może go pan zabił?
- Nie, oddycha.
- Zostawi go pan tak skrępowanego?
- Nie. Zdejmę mu więzy. Będzie mógł się ubrać i oddalić, jak tylko wróci do siebie.
- My tymczasem pójdziemy.
- Gdzie?
- Do hotelu.
- Nie zaczekają panowie na mnie?
- Nie, musimy jeszcze coś załatwić. Za godzinę będziemy z powrotem.
- Dobrze, zobaczymy się więc w hotelu.
- Tak, do zobaczenia.

Kortejo i Landola oddalili się, gdy byli dość daleko Kortejo zapytał:

- Chciał się go pan pozbyć?
- Naturalnie.
- Dlaczego?

- Bo zrobił już swoje. Teraz nie jest nam już potrzebny. Gdyby nie to, że wyciągnął nas z więzienia, dawno posłałbym mu kulkę w łeb.

- Ale po co?
- Bo nigdy nic nie wiadomo, a jeżeli dowiedział się już czegoś od policjantów na cmentarzu?
- Prawda, czyli, że musimy się z nim rozstać?
- Tak, nie zobaczy nas już więcej.
- Przecież ma przyjść do hotelu?
- Wcześniej musimy zniknąć.
- W jaki sposób?
- Opuścimy miasto.
- Nie da rady.
- Dlaczego?
- Bo nie wykonaliśmy jeszcze naszego zadania.

- Zadanie diabli wzięli. Napad na oficera i ucieczka z więzienia uniemożliwiają nam dalszy pobyt tutaj.

- Racja, uciekajmy!

- I to natychmiast. Ale mój brat nic nie może o tym wiedzieć. Teraz wrócimy do hotelu, zabierzemy co najważniejsze i nie mówiąc nic nikomu uciekniemy. Możemy zostawić parę drobiazgów, jak powróci będzie widział nasze rzeczy i poczeka co najmniej trzy dni na nasz powrót, my tymczasem w Santa Jaga załatwimy wszystkie sprawy.

- Ale jak się tam dostaniemy?
- Na świeżo kupionych koniach, bo nasze dla niepoznaki zostawimy w hotelu.
- Gdzieje kupimy?
- Gdzie? U pierwszego lepszego handlarza. Jednego widziałem po drodze.
- Może lepiej zrobimy wypożyczając je tylko?

- O nie, wtedy musielibyśmy podać cel naszej podróży. Przybywszy do gospody w wielkiej tajemnicy załatwili wszystko i zabrawszy najpotrzebniejsze rzeczy, boczną bramą przekradli się na ulicę.

Handlarza końmi budzili dość długo, po czym poinformowali go, że w pilnej, państwowej sprawie jeszcze w nocy muszą wybrać się do Puebla, więc bez zbędnych targów kupili konie i

wyjechali.

Tymczasem Grandeprise uporał się z oficerem i zdołał włożyć już swoje ubranie, po czym rozciął leżącemu więzy i w ciszy oddalił się. Sępi Dziób nie spuszczał go z oka ani na chwilę. Za jakieś pół godziny myśliwy dotarł do gospody, a tuż za nim jego "anioł stróż". Kiedy Grandeprise zniknął w środku, Sępi dziób zaczął spacerować tam i z powrotem.

Właśnie zaczynało już świtać, kiedy z niedalekiej bramy wyjechał na koniach dwóch jeźdźców.

- Do widzenia, panowie! - pożegnał ich jakiś głos ze środka.

- Do widzenia - brzmiała odpowiedź. - Myślę, że jest pan zadowolony ze sprzedaży.

- Naturalnie. Szczęśliwej drogi.

Sępi dziób popatrzył za oddalającymi się, twarzy ich nie mógł widzieć, ale coś go jednak zastanowiło.

- Do diabła! - mrucał. - To ten sam głos, który słyszałem przy skrępowanym kapitanie.

Ale może się mylę. Przecież Kortejo i Landola wrócili do hotelu. Chociaż - mówił sam do siebie dalej spacerując - z takimi wyrafinowanymi łotrami należy być bardzo ostrożnym. Sam sobie pogratuluję, jeżeli uda mi się ponownie ich złapać. Muszę się wypytać o wszystko w tej gospodzie.

Aż trzy razy musiał dzwonić zanim jakiś zaspany jegomość raczył mu otworzyć.

- Kto tak alarmuje po nocy? - spytał.

- Ja sam, we własnej osobie.

- Ale co za osobie?

- Obcej.

- Czego pan sobie życzy?

- Porozmawiać z panem.

- Teraz? Po nocy? Rano będę do pana dyspozycji.

Chciał zamknąć bramę, ale Sępi Dziób złapał go za rękę i powiedział:

- Stój kochasiu, nie tak szybko; wiesz może co to jest frank?

Ogłupiały kelner obejrzał go uważnie i odpowiedział:

- Naturalnie, że wiem,

- No, co takiego?

- Francuska moneta, warta jakieś dwadzieścia centów.

- Bardzo pięknie, mój synu, a wiesz co to jest dolar?

- Tyle co pięć franków.

- Znakomicie. Otóż dostaniesz ode mnie dwa dolary, albo dziesięć franków, jeżeli zechcesz odpowiedzieć na kilka pytań.

To kelnerowi wydało się bardzo hojnym datkiem, więc ponownie dokładnie obejrzał nieznanego, pytając:

- Na pewno, senior?

- Naturalnie, masz i to zaraz, abyś nie wątpił w moje słowa.

Rzeczywiście wyjął złote pieniądze o wartości dwóch dolarów i wręczył zdumionemu kelnerowi.

- Pięknie dziękuję, senior. Wprawdzie po nocy nie robię najczęściej nic, ale taka moneta rozwiązuje język o każdej porze. Proszę pytać.

- Wielu obcych mieszka tutaj?

- Może z dziesięciu.

- Są pomiędzy nimi trzej, którzy mieszkają razem?

- Nie, tylko dwóch panów mieszka razem, pozostali w osobnych pokojach.

- Wiesz może, jak się tych dwóch nazywa?
- Jeden to senior Antonio Veridante, a drugi jest jego sekretarzem.
- I nie ma z nimi jeszcze kogoś?
- Przyjechał z nimi jakiś mężczyzna, ale mieszka z pozostałymi.
- Wychodzili wieczorem razem?
- Tak.
- Ale już wrócili?
- Tego nie wiem.
- A jak się nazywa ten trzeci?
- Tego też nie wiem.
- Chciałbym z nim pomówić, czy może mi pan to ułatwić?
- Nie wiem, czy jest w domu?
- Ręczę za to.
- Jak mam pana zameldować?
- Proszę mu powiedzieć, że don Velasquo Aleantaro-Perfedo de Rianza z Hallandi de Salvadocaranna de Vesta-Vista-Vusta życzy sobie z nim mówić.

Sępi Dziób wymienił ten cały szereg nazwisk z taką dumą, że kelner nie wątpił, że ma przed sobą jakąś znakomitą osobistość, więc natychmiast zmienił swoje postępowanie.

- Proszę wybaczyć, senior - zawołał kłaniając się aż do ziemi - że od razu nie poprosiłem pana do środka. Biegnę pana zameldować.

Pobiegł po schodach w stronę pokoi gościnnych i lekko zapukał do drzwi. Grandeprise przyszedł przed chwilą, położył się tylko w hamaku, ale jeszcze nie spał.

- Kto tam? - spytał zdziwiony.
- Kelner, mogę wejść?
- Tak.

Po cichu wszedł do środka, aby nie zbudzić pozostałych gości.

- Senior, jakiś obcy pan, chciałby z panem porozmawiać.
- Kto to taki?
- Jakiś znakomity arystokrata. Don... don... don Alcanto de Velsquo... i jeszcze cała litania dalej.
- Czego on chce?
- Porozmawiać z panem po przyjacielsku.
- Jest z tych stron?
- Nie, to jakiś obcy.

To go trochę uspokoiło, spytał jednak:

- Skąd on wie, że ja tu mieszkam?
- Musi pana znać.

- Bardzo jestem ciekawy skąd? No, niech przyjdzie. Zapalił światło i przygotował rewolwery. Po tym co dzisiaj zaszło musiał się mieć bacności. Obcy wszedł do środka, starannie zamykając za sobą drzwi.

- Do wszystkich diabłów! - zawołał jeden z nich.
- Do pioruna? - powiedział drugi.
- Sępi Dziób?
- Grandeprise, pan tutaj?
- Tak, a wy skąd tutaj, w stolicy? Widziałem was przecież przy Juarezie.
- A ja was nad Rio del Norte. Już wiem, mieszkacie senior, po drugiej stronie rzeki Teksas.

- Tak.
- Nosicie ładne, ale sławne nazwisko.
- Co?
- Tak nazywa się też jeden wielki łotr.
- Znacie go?
- Bardzo dobrze? - odparł Sępi Dziób.
- Osobiście?
- Oczywiście, znam nawet wszystkie jego grzechy.
- Czy to możliwe? A ja tego łotra szukam od tak dawna?

Sępi Dziób spojrział na niego z uwagą.

- Wy go szukacie?
- Naturalnie.
- Dziwne i nie znaleźliście go jeszcze?
- Niestety nie.
- To niemożliwe, przecież myśliwy musi mieć dobre oko.
- O, tego mi nie brakuje.
- Pozwolę sobie w to wątpić.

Twarz Grandeprise zachmurzyła się.

- Chcecie mnie może obrazić? - spytał.

- Nie, ale usiądźcie sobie i pozwólcie, że ja też to zrobię. Potem opowiem wam coś, co was bardzo zainteresuje.

- A tak, proszę siadajcie. Bardzo jestem ciekaw co to takiego. Sępi Dziób usadowił się na krześle i wypluwszy cały zapas tytoniu, odgryzł nowy kawałek i zaczął mówić:

- Muszę wam, mimo całej przyjaźni powiedzieć, że albo jest z was skończony łotr, albo wyjątkowy osioł.

Jak żądłem ukłuty poderwał się Grandeprise z hamaku i złapał za rewolwer:

- Do stu tysięcy diabłów! Czy nie wiecie przypadkiem, jak ja na takie kalumnie odpowiadam.

Sępi Dziób poruszył głową i z wielką flegmą odparł:

- Myśliwy odpowiada na to kulą lub nożem, ale naturalnie tylko wtedy, jeżeli ten co to powiedział nie może swych udowodnić.

- Wątpię, czy wy to potraficie.

- Tylko się nie unoście. Sępi Dziób ma zwyczaj dobrze ważyć swoje słowa. Schowajcie broń i posłuchajcie mnie uważnie. Jeżeli nie mam racji, to pewnie połamiemy sobie karki.

Grandeprise siadł z powrotem mrużąc ponuro:

- Dobrze, mówcie. Ale radzę uważać przez obrażaniem mnie, inaczej zastrzelę, jak mi Bóg miły.

- Myślicie, że ja nie mam broni. Nie wiem czyja kula prędzej by trafiła. Zresztą mogłem was już kilka razy zastrzelić, a nie uczyniłem tego.

- A to w jaki sposób?

- To nie należy teraz do sprawy, najpierw muszę wam udowodnić, że albo jesteście łotrem, albo głupcem.

- To przyjdzie wam trudno.

- Przeciwnie, bardzo łatwo. Byliście w Vera Cruz?

- Byłem.

- Tam poznaliście dwóch mężczyzn, don Antonio Veridante i jego sekretarza.

- Tak.

- Wczoraj przyjechaliście z nimi do stolicy, a wieczorem byliście na cmentarzu w roli strażnika, podczas gdy tamci popełniali kolejną zbrodnię.

Grandeprise popatrzył na niego zdziwiony.

- Skąd o tym wiecie?

- Odpowiedzcie tylko czy to prawda?

- Że stałem na straży to szczerą prawdą, ale o żadnej zbrodni nie ma mowy.

- Jesteście o tym przekonani?

- Naturalnie, mogę na to przysiąc.

- Wierzę wam, ale tym samym przyznaliście, że jesteście głupcem.

Grandeprise chciał znowu wybuchnąć gniewem, ale Sępi Dziób nie dopuścił go do słowa.

- Uspokójcie się! - zawołał. - Zaraz wam dam dowody. Wasi dwaj towarzysze zostali uwięzieni, nieprawda?

- Niestety.

- Aby ich uwolnić złapaliście francuskiego oficera i w jego mundurze weszliście do więzienia, a potem wyprowadziliście ze środka, tych drani.

Grandeprise przeraził się.

- Do wszystkich diabłów! - zawołał. - Skąd wiecie o tym wszystkim.

- Czy to prawda?

- Nie będę przeczył. Myślę, że jako znajomy nie zdradzicie mnie.

- Nie jestem zdrajcą? Powiedzcie mi skąd wy właściwie znacie tego łotra, Grandeprise'a?

- Dlaczego o to pytacie?

- Bo chciałbym wam pomóc w odszukaniu go. Grandeprise spojrzał badawczo na twarz mówiącego i odparł:

- Cały świat wie o tym, że Sępi Dziób jest znakomitym myśliwym i poczciwym człowiekiem. Każdy musi go szanować, dlatego ja, nie zważając na obelgi jakimi mnie potraktował szczerze mu odpowiem. Otóż ten łotr i pirat Grandeprise to mój największy wróg, którego poszukuję już od kilku lat, niestety daremnie.

- Tak - zaśmiał się Sępi Dziób. - To rzeczywiście paradne. Szukacie go, a cały czas macie go pod ręką. Podczas gdy inni z wielkim trudem łapią go i osadzają w więzieniu, wy go wypuszczacie i pozwalacie uciec.

Grandeprise nie wiedział co ma tym myśleć.

- Ja was zupełnie nie rozumiem - powiedział wreszcie.

- Wierzę w to. Kto takie głupstwo palnął nic potrafi zrozumieć rozsądniejszego od siebie. Muszę mieć dla was litość i pomóc wam to zrozumieć. Czy znacie nazwisko, Kortejo?

- Znam - odparł krótko.

- Jest ich dwóch. Jeden w Meksyku, a drugi w Hiszpanii. Obaj są wielkimi łotrami, największymi jakich ziemia nosi. Jako wspólnika dobrali sobie jeszcze większego złoczyńcę.

- Kogo?

- Landolę, którego wy znacie jako Grandeprise.

- O, znacie i drugie jego nazwisko?

- Bardzo dobrze. Czy znana wam jest rodzina Rodrigandów?

- Tak.

- To bardzo bogata rodzina. W niej także byli dwaj bracia. Obaj Kortejo byli zarządcami i pełnomocnikami braci Rodrigandów. Jednego z braci, Emanuela przy pomocy jakiejś trucizny doprowadzili do szaleństwa, a drugiego, też przy pomocy trucizny wprowadzili w letarg. Tego drugiego,

Ferdynanda wyjęli potem z grobu i przekazali w ręce Landoli, który sprzedał go w niewolę. Jeden z tych Kortejów miał syna, którego zamienili z prawdziwym synem Emanuela. W ten sposób zagarnęli cały majątek. Naturalnie morderstwa i inne zbrodnie były przy tym na porządku dziennym. Wszystkie osoby, które stanęły im na drodze znikwały. Pewną grupę wysadził Landola na bezludnej wyspie, gdzie przebywali blisko dwadzieścia lat. Wszystkie te zbrodnie wołały o pomstę do nieba. Kilku odważnych postanowiło wyniszczyć te gady. Ja również przyjąłem sobie ten cel.

Małą pauzę, jaką zrobił wykorzystał Grandeprise mówiąc:

- Landola jest zbrodniarzem pierwszej wody, ale co do tych braci Kortejów, to chyba przesadzacie.

- Każde moje słowo jest szczerą prawdą. Zaraz opowiem wam więcej.

Po krótko przedstawił wszystko, co mu było wiadome. Grandeprise słuchał z największą uwagą, dopiero gdy skończył zawołał:

- O Boże! I ja uratowałem tego Korteja?

- Wy? - spytał Sępi Dziób ze zdumieniem.

- Ja. Teraz wszystko mi się układa mi się w logiczną całość. Beze mnie zupełnie by oślepl i zginął.

- Do licha! To coś nowego? Opowiedzcie.

- Muszę, chociaż tym samym okropnie się blamuję. Zaczynam dochodzić do przekonania, że strasznie głupio postąpiłem.

- O wiele bardziej, niż przypuszczacie, ale opowiedzcie najpierw to wasze zdarzenie.

Grandeprise wtajemniczył go we wszystko od chwili gdy spotkał Korteja, aż do obecnych dni.

Sępi Dziób przysłuchiwał mu się uważnie a w końcu powiedział:

- Widzicie senior, jest jeszcze Bóg na tym świecie. Obecnie przynajmniej wiem, gdzie mam szukać tych łotrów i zaginionych. Teraz zostało wam tylko udowodnienie, że popełniliście ogromne głupstwo. Wiecie, co to za jeden ten adwokat Antonio Veridante?

- Nie.

- Nikt inny, jak Gasparino Kortejo!

- To nieprawdopodobne.

- Ale prawdziwe. Szuka swego brata. Dzisiaj w nocy, chciał do pustej trumny hrabiego Ferdynanda wsadzić inne zwłoki. Udało się nam go złapać, lecz wy wszystko popsuliście i znowu go uwolniliście.

- Powtarzam, że to niemożliwe.

- No cóż, w takiej sytuacji druga wiadomość wyda się wam jeszcze bardziej nieprawdopodobna.

- Co to za wiadomość?

- Wiecie, kto jest sekretarzem tego adwokata?

- Kto?

- Zgadnijcie.

- Niestety, nie potrafię.

- Nikt inny, jak tak długo poszukiwany przez was pirat Landola.

Myśliwy stanął jak wryty. Z otwartymi ustami i oczami utkwionymi w swym rozmówcy zdradzał nadzwyczajne zdziwienie.

- Ten... - zawołał wreszcie. - Ten... to miał być Henryk Landola?

- Tak. Oszukał was i wyśmiał już zapewne. Zawierziliście jego słowu i pomogliście nawet. W końcu palnęliście największe głupstwo uwalniając tę żmiję, aby swobodnie dalej mogła kąsać. Czy to nie jest głupota?

Grandeprise odetchnął głęboko mówiąc:

- Jeżeli wszystko co powiedzieliście może być prawdą, to w to już nie mogę uwierzyć. Przecież dobrze znam swego przyrodniego brata.

- To on jest waszym bratem?

- Tak, to pokrewieństwo to przekleństwo mego życia.

- W takim razie nie potrafię zrozumieć, gdzie mieliście oczy.

- Ale to niemożliwe!

- Ba! Obaj, to jest Kortejo i Landola sami się wygadali w grobowcu i przyznali do tego.

- Naprawdę? Słyszeliście?

- Przysięgam. Nie zauważyliście, że twarze mieli posmarowane jakimś kremem czy maścią i tak się ucharakteryzowali, że trudno było ich poznać?

Grandeprise stracił ostatnią wątpliwość.

- O Boże! - zawołał. - Tak, tak to musi być prawda. Już sam jego głos wydawał mi się znajomy, ale nie mogłem sobie uświadomić, dlaczego wzbudza we mnie taką antypatię. O, jestem osłem nad osłami! Moja głupota jest nieograniczona. Za mało mi nawtykaliście zasługując na wiele więcej.

- No, no - zaśmiał się Sępi Dziób. - Mogłem co prawda nazwać was wołem czy czymś podobnym, ale skoro rozumieliście swój błąd, to znaczy że jeszcze myślicie.

- Ale skutki, skutki!

- Jakie skutki?

- No, stałem na straży pomagając im w zbrodni, napadłem na oficera, wypuściłem ich z więzienia! Jak się pan właściwie o tym wszystkim dowiedział?

Sępi Dziób powiedział pokrótce.

- Hm, co za głupota! A ja byłem przekonany, że ten kapitan naprawdę leży bez przytomności.

Wiecie, że nie pozostaje wam nic innego, jak wydać mnie władzom?

- Hm, jeżeli rzeczywiście we wszystkim przestrzegałbym prawa, to musiałbym to zrobić.

- Uczynicie to?

- To trudna sprawa. Jesteście przecież myśliwym, podobnie jak i ja, a u nas na prerii między towarzyszami funkcjonują całkiem inne prawa. Co nas obchodzi tutejsza władza? Zresztą trzeba także wziąć pod uwagę, że na nic się to nie przyda, nawet gdybym was zaskarżył. Tych uwolnionych i tak nie złapiemy, ale na skutek waszego opowiadania dowiedzieliśmy się wielu nowych rzeczy. Teraz przynajmniej wiemy, gdzie ich mamy szukać i wy możecie nam w tym pomóc.

- Gdzie ich chcecie szukać?

- W klasztorze della Barbara, w Santa Jaga.

Twarcz Grandeprise rozpogodziła się.

- Mylicie się - powiedział szybko. - Mamy ich bardzo blisko, nie uwierzcie nawet, jak łatwo przyjdzie nam ich pojmać.

Sępi Dziób zaśmiał się z politowaniem.

- Rzeczywiście, że nie uwierzę - dodał.

- Zaraz się przekonacie.

- Myślę, że nie. Zapewne sądzicie, że Kortejo i Landola są tutaj, w hotelu?

- Naturalnie.

- Widzieliście ich?

- To nie, ale obiecali, że za godzinę tu będą.

- Ale ich nie ma, zapewne są już daleko.

- Niemożliwe.

- Macie klucze od ich pokoju?
- Mam.
- To dobrze, zaraz przekonamy się, który z nas ma rację.
- Chodźmy, obudzimy ich.
- Ich tu nie ma.
- To niedługo przyjdą.
- Ja jestem innego zdania i wątpię, żebym się mylił.

Wzięli ze sobą światło i ze zwinnością dzikich kotów wkradli się do pokoju obu łotrów, nie był nawet zamknięty. Sępi Dziób miał rację, pokój był pusty.

- Zapewne niedługo wrócą - powiedział Grandepriise.
- Tak senior myślisz? To byłoby kardynalną głupotą z ich strony. O świcie całe miasto będzie wiedziało o napadzie na oficera i uwolnieniu dwóch więźniów. Władza rozpocznie poszukiwania. Bardzo łatwo będzie ich mogła znaleźć, tutaj, w zajezdzie. Oni są za bardzo sprytni, aby narażać się na coś takiego.

- Czyli, że zostawili mnie tutaj samego?
- Naturalnie, mam wam tego dowieść?
- Ciekawy jestem jak?
- Bardzo prosto, spójrzcie na podłogę.

Poświecił na podłogę i podniósł coś z ziemi.

- Co to takiego? - spytał Grandepriise.
- Błoto z drogi.
- Po co je podnosicie?
- Zaraz się dowiecie. Pomacajcie tylko. Jeszcze nic możecie zgadnąć?
- Do stu piorunów, całkiem świeże, jeszcze miękkie.
- A kiedy oni opuścili ten pokój?
- O zmroku.
- Od tej pory błoto wyschłoby na pieprz. Macie dowód, że byli tu całkiem niedawno.
- Znowu mnie oszukali.
- Niestety tak.
- O, ja jeszcze coś muszę sprawdzić. Zanim poszli na cmentarz, za lustrem ukryli swe zegarki.

Zobaczmy, czy tam jeszcze są.

Poszedł w kąt pokoju.

- Nie ma! - zawołał. - Do licha! Uciekli!
- Widzicie, chcieli się was tylko pozbyć.
- Do stu diabłów! To im się nie uda! Na pewno pojechali do Santa Jaga, tam ich złapiemy, jestem o tym przekonany.

- Nic zaprzeczam, ale posłuchajcie mojej rady. Zaraz rano policja rozpocznie poszukiwania i z całą pewnością dowie się, że ci dwaj mieszkali tutaj. Jeżeli was tutaj zastanie to przepadliście.

- Macie rację, muszę uciekać, ale gdzie?
- Pójdziecie ze mną. Musicie panu kapitanowi Helmerowi opowiedzieć wszystko. Zapłaćcie za pokój i chodźcie ze mną.

Po dziesięciu minutach obaj myśliwi opuścili zajazd. Po drodze zapytali jeszcze u handlarza koni, o dwóch jeźdźców, którzy nocą opuszczali jego stajnie i od razu poznali, że byli to poszukiwani niegodziwcy. Robert dowiedziawszy się o wszystkim, udał się z powrotem do ambasadora i po rozmowie z nim cała czwórka wyjechał w kierunku Santa Jaga.

SPISKOWCY

W swoim pokoju, w klasztorze della Barbara, w Santa Jaga siedział ojciec Hilario zajęty studiowaniem księgi o znamienym tytule "Jak można rządzić władcami?" Właśnie w tym momencie, ktoś zapukał do drzwi.

- Proszę - zawołał z niecierpliwością.

W pokoju ukazała się jakaś mała, przysadzista postać, o nalanej twarzy i małych oczkach. Na ten widok oblicze zakonnika rozjaśniło się. Wstał, szybko podszedł do gościa i zawołał: - Powitać! Powitać serdecznie mego kochanego brata! Ucałowali się serdecznie, po czym przybysz powiedział:

- Tak jestem waszym bratem i w wierze i w posłannictwie, a na dodatek przynoszę dobrą nowinę.

- Dobrą? - zawołał uradowany Hilario.

- Nie inaczej.

- Skąd? Z obozu Juareza?

- O nie. Co dobrego może wyjść z jaskini hieny.

- Od francuskiego marszałka?

- Też nie. Francuz zabrał już wszystko co mógł. Nie bracie, od cesarza.

- Od samego Maksymiliana? - zawołał Hilario z radością.

- Właśnie od niego samego. Czy jesteśmy tu bezpieczni?

- Najzupełniej.

- Otóż przybyłem do was z rozkazem.

- Co?

- Znacie stosunki naszego kraju i wiecie, że musimy walczyć przeciw Juarezowi.

- To akurat wiem bardzo dobrze.

- Sądzicie, że powinniśmy połączyć się z Francuzami?

- Ci się długo nie utrzymają.

- Aż cesarzem Maksymilianem?

- Ten też upadnie jak trzcina.

- Całkiem słusznie, a co potem nastąpi?

- Rządy obejmie Juarez.

- I nam będzie wtedy dobrze?

- Przeciwnie, będzie nas gnębił i uciskał do woli.

- Musimy więc temu przeszkodzić.

- Tak, i to ile mamy sił.

- Ale w jaki sposób?

- Najlepiej byłoby sprzątnąć Juareza.

Ironiczny uśmiech pojawił się na twarzy przybysza.

- Myślicie, że to jedyna rada?

- Innej nie wiedzę.

- Żal mi was, ale jesteście bardzo krótkowzroczni. Na szczęście naszym wodzem jest genialny człowiek, któremu nie zbywa na rozumie. Wiecie, że chociaż głowa zginie, inne członki, które dochodzą do steru działają w tym samym duchu.

- Mówicie samymi zagadkami.

- Czy wy naprawdę nie rozumiecie? To źle. Juarez musi żyć, ale musimy sobie z niego ulepić posłuszne narzędzie.

- W jaki sposób?

Gruby zakonnik nie zważając na pytanie ciągnął dalej:

- Maksymilian jest poczciwym, zacnym mężem, który chciał uszczęśliwić swój kraj. Jeżeli zauważy, że te wysiłki są daremne, zechce zapewne podziękować i abdykować. Musimy temu przeszkodzić. Juarez musi zostać mordercą cesarza.

Hilario aż podskoczył na krześle.

- Do diabła! - zaklął. - W takim razie, na zawsze już będzie zgubiony, cały świat będzie go sądził, nie uda mu się podnieść, upadnie na zawsze.

- No tak, a wówczas, ani Napoleon, ani Bazaine, ani Maksymilian, ani Juarez. Wówczas wygrana będzie nasza?

- Czy tylko potrafimy do tego doprowadzić?

- A dlaczego nie?

- Juarez nie zechce go zgładzić.

- Będzie musiał.

- Kto go zmusi?

- Wy! Hilario z Santa Jaga!

Z przestraszoną i bezgranicznie zdziwioną twarzą spojrzął na swego małego kolegę.

- Do diabła! Co ja mogę? Ja miałbym go do tego zmusić? Jak?

- Nie domyślacie się?

- Czy mam zastrzelić cesarza, a winę zwalić na Juareza?

- Też nie.

- No to co?

- Nie znacie osławionego dekretu cesarza, na mocy którego każdego patriotę można bez sądu wieszać lub rozstrzelać, jak zwykłego bandytę?

- Znam.

- Ale nie wiecie, że właśnie ten dekret będzie jego zgubą?

- To akurat wiem; naturalnie wtedy, kiedy wpadnie w ręce republikanów.

- No nareszcie pojęliście. Otóż chodzi właśnie o to, aby cesarz Maksymilian wpadł w ręce republikanów.

- A jak zechce odejść razem z Francuzami.

- Właśnie wy macie temu przeszkodzić.

- Ja? Ja tego nie potrafię.

- Pomożemy wam, damy do rąk wszelkie środki.

- Czyli, że mam opuścić Santa Jaga i udać się do stolicy.

- W samej rzeczy.

- To niemożliwe. Zatrzymują mnie tu bardzo ważne sprawy.

- Ta sprawa jest ważniejsza. Za dziesięć dni macie się stawić na miejscu, tak brzmi rozkaz.

- W stolicy?

- Tak.

- Jakkolwiek misja ta bardzo mi pochlebia, to jestem zmuszony odrzucić ją.

Mały zakonnik podniósł się zwolna i kierując swój ostry, przenikliwy wzrok na Hilario rzekł:

- Naprawdę chcecie odrzucić tę propozycję?

- Tak.

- Pomimo, że jest to rozkaz naszej najwyższej władzy?

- Jestem zmuszony sprzeciwić się.

- Wiecie co was za to czeka?

- Kara.

- Tak kara, ale jaka?

- Zapewne pieniężna.

- Ha, ha, ha - zaśmiał się grubas. - Żeby tylko pieniężna. Takie nieposłuszeństwo bywa karane śmiercią.

- To straszne, to niesprawiedliwe!

- Okrutniku! Nie nazywaj tego niesprawiedliwością, bo sam jesteś do gruntu zepsutym i niesprawiedliwym.

Hilario cofnął się o krok wołając z trwogą i zdziwieniem:

- Ja? Co wiecie o mnie?

- Więcej niż się domyślacie. Sądzicie może, że nasze tajne towarzystwo nie obserwuje bacznie swoich członków?

- Ja występuję z tego związku!

- Ha, ha, ha! Diabeł nie puszcza tak łatwo swojej ofiary. Tylko śmierć zwalnia od obowiązków.

- O tym powinienem był przedtem wiedzieć.

- No to pytam was po raz ostatni, chcecie wykonać rozkaz stowarzyszenia, czy nie?

Zakonnik zaczął się pocić. Z jednej strony chciał koniecznie zostać w Santa Jaga, ale obawa o to, iż związek jest wtajemniczony w jego zbrodnie i że może mu nawet publicznie wytoczyć proces, nie pozwala mu się sprzeciwić. Zachrypniętym głosem odrzekł:

- Jeżeli tak, to jednak będę musiał posłuchać.

- Nareszcie nabraliście rozumu. Zupełnie inna rozmowa. Zadanie wasze pobieżnie już znacie, szczegółowe instrukcje i dalsze informacje otrzymacie na miejscu. Teraz powiem wam tylko, że Juarez chce uratować Maksymiliana i że wysłał tam nawet swoją popieczniczkę, pewną damę, bardzo piękną Emilię, która ma cesarza nakłonić do odwrotu.

- Do diabła! - zawołał zdumiony Hilario. - Seniorita Emilia, ona była już kiedyś u mnie.

Znam ją. To znaczy, że ona jest teraz u cesarza?

- Tak jest, to wasza najgroźniejsza rywalka!

Myśl, że może spotkać się z Emilią pogodziła Hilario z losem. Kiedy dwaj spiskowcy rozstawali się, to znowu serdecznie się uścisnęli. Tajemniczy grubasek wsiadł na konia, którego zostawił na podwórcu i bez pośpiechu udał się drogą prowadzącą na dół w kierunku miasteczka.

Tuż u podnóża natrafił na dwóch jeźdźców, którzy siedzieli na bardzo zmęczonych koniach. Jeden z nich zapytał:

- Senior, czy to miasteczko, to Santa Jaga?

- Tak.

- Czyli, że te zabudowania na górze to klasztor della Barbara?

- Tak.

- A nie zna senior tam kogoś?

- Znam.

- Wspaniale, a czy znacie może ojca Hilario?

- Znam - odpowiedział grubas rzucając na obcych badawcze spojrzenie.

- Czy jest może w klasztorze?

- Jest. Spytajcie tylko o niego, a zaraz zaprowadzą was do jego pokoju. Odjechał mruczając pod nosem:

- Bardzo jestem ciekaw co to za indywidua, jeżeli się nie mylę, to twarze mają polepione jakimiś

maskami. Hm, co oni mogą mieć wspólnego z Hilario. Trzeba będzie go baczniej obserwować, bo to chyba dość niebezpieczny ptaszek.

Hilario siedział właśnie w swoim pokoju rozmyślając nad poleceniem, kiedy bratanek jego wprowadził jakiś dwóch nieznanym i zaraz potem oddalił się. Przypatrzył się im z uwagą i zapytał:

- Kim panowie jesteście? Kortejo zabrał głos.

- Niedługo się tego dowiedziecie, ale najpierw pozwólcie ojczyźnie, że o coś zapytam.

- Pytajcie.

- Czy znane jest wam nazwisko Kortejo? Zakonnik wstał z krzesła i zdziwiony zapytał:

- Dlaczego?

- Bo nas to bardzo interesuje.

- Hm, nazwisko jest mi znane, ale osoba niestety nie.

- Naprawdę? Nie widzieliście go jeszcze?

- Nie.

- I nie rozmawialiście z nim?

- Nie.

- Wybaczcie, ale pozwolę sobie wątpić w wasze słowa. Może przypomnicie sobie, gdy wymienię wam drugie nazwisko?

- Jakie?

- Grandepriese.

- Co to ma mieć wspólnego?

- Znać go?

- Znam.

- Skąd?

- To przecież osławiony pirat, powszechnie znany.

- Ja nie to miałem na myśli. Chciałem wiedzieć, czy nie znacie myśliwego o tym samym nazwisku?

- Myśliwego? Ach, tak, przypominam sobie.

- Co?

- Ja jestem lekarzem. Przed wielu laty leczyłem z ran jednego myśliwego o takim nazwisku.

- Nie widzieliście go później?

- Nie.

- Pomyślcie chwilę senior, ja jestem przekonany, że go jednak widzieliście i to całkiem niedawno.

Zakonnik przybrał surową minę i odrzekł:

- Chcecie mi może wmówić, że kłamię?

Kortejo spojrzał mu prosto w oczy i odparł stanowczo:

- Tak, coś takiego.

- A jakie macie do tego prawo?

- Gdyż sam Grandepriese powiedział nam o tym.

- To znaczy, że on skłamał, nie ja.

Słowa te wypowiedział tak stanowczo, że zbity z pantofelów Kortejo spojrzał na swego towarzysza i powiedział:

- Co pan na to powie?

Landola sam był skonsternowany, więc odpowiedział niepewnie:

- To całkiem możliwe. Paskudna historia.

- Jeżeli ten człowiek nas oszukał!

- A my mu uwierzyliśmy i tyle cennego czasu straciliśmy na próżno!

Hilario przysłuchiwał się im z największą uwagą. Co to za jedni? Zapewne z Vera Cruz, przyjaciele Korteja i Landoli, a może to sam Landola? Z miną obojętną zapytał:

- Spotkaliście go zapewne w Durango, przy Juarezie?

- O nie, w Vera Cruz.

- I on miałby być u mnie?

- Tak nam przynajmniej powiedział.

- Hm, już tyle czasu upłynęło, od czasu kiedy go leczyłem, że kto wie, czy bym go nawet poznał.

- Powiedziałby przecież jak się nazywa.

- Może miał powód by to przemilczeć.

- Przeprowadził ze sobą mężczyznę chorego na oczy.

- Chorego na oczy? O takim nic nie wiem. Kto to miał być? Kortejo popatrzył na Landolę i kiedy ten skinął głową odparł:

- To był Kortejo.

- Kortejo? Naprawdę?

- Tak.

- Ten sam, który spiskował przeciw cesarzowi i Juarezowi?

- Tak, ten sam.

- I powiedział wam o tym, ten Grandeprise?

- Właśnie on.

- W takim razie okłamał was okrutnie.

- To łotr! Miał podobno także przeprowadzić tu córkę Korteja!

- Bzdura.

- To łotr, gdybym go miał pod ręką. Skoro tak się rzeczy mają, nie pozostaje nam nic innego jak oddalić się i przeprosić ojca, że na próżno zabraliśmy wam czas.

- Drobiazg. Przyjemnie mi było panów przyjąć, chciałbym się jednak dowiedzieć, z kim miałem przyjemność?

Pytanie to było wyjątkowo nie na rękę przybyszom. Kortejo kręcił się jak piskorz. Pot wystąpił mu na czoło i zupełnie bezwiednie zaczął wycierać twarz, tak, że przy pomocy chustki stał całą maskę.

Zakonnik zauważył to natychmiast, zawołał więc:

- Ha, tak się rzeczy mają. Twarz macie pokrytą maską, by was nikt nie poznał?

Szybko podbiegł do biurka, wyjął rewolwer i kierując go w stronę przybyszów zawołał:

- Nadal nie chcecie zdradzić mi swoich nazwisk. Może więc zechcecie się umyć. Tam stoi miednica z wodą. Bardzo proszę! Zrobił zapraszający gest. Kortejo i Landola stanęli jak wryci, po chwili Landola zawołał:

- Mylicie się, nie mamy przy sobie broni.

Zrobił ruch ręką, gdyż chciał wyjąć zza pasa ukryty tam pistolet, lecz w tej chwili zakonnik krzyknął:

- Stać! Nie ruszać się! Inaczej strzelam i dzwonię na służbę!

Landola mimo woli opuścił rękę.

- Macie się natychmiast umyć! - zawołał ponownie zakonnik stanowczym głosem.

- Ale po co wam to? - ośmielił się wtrącić Kortejo.

- Po co? Po prostu chcę zobaczyć wasze prawdziwe oblicza. Tylko Bóg może wiedzieć, jaki zamiar mieliście zakradając się do mnie.

- Chcielibyśmy tylko...

- Dość tej próżnej gadaniny - przerwał zakonnik. - Ostatni raz powtarzam, myć się! Wiedzieli, że nie pozostało im nic innego, jak uczynić zadość tej dziwnej zachciance zakonnika. Z wielką niechęcią uczynili co kazał.

Tak, a teraz proszę o wymienienie waszych nazwisk! - zawołał Hilario patrząc na nich przenikliwymi oczami.

- Co wam z tego przyjdzie? Możemy podać pierwsze lepsze.

- Tego wam nie radzę. Potrafię zgadnąć nazwisko człowieka z jego ręki.

- Ha, ha, ha! - zaśmiał się Landola.

- Nie wierzycie mi może?

- Naturalnie, kto by uwierzył w takie bajki.

- Mam was przekonać? Proszę mi podać rękę.

Landola zawahał się, lecz zakonnik załapał jego rękę i otwierając dłoń zaczął z wielkim zainteresowaniem studiować linie.

- Na imię macie Henryk! - powiedział po jakimś czasie. Landola wyrwał rękę i mimo woli cofnął się o krok.

- Czyżbym się pomylił? - spytał z ironią Hilario.

- Do diabła! Jak to możliwe? - zawołał błędnie.

- Czyli, że to prawda - odrzekł Hilario. - A teraz imię waszego kolegi.

Chwycił silnie za rękę wzbraniającego się Korteja i otworzywszy ją powiedział po chwili:

- Wasze imię brzmi Gasparino?

- Niestychane! - zawołał Kortejo.

- Dobrze, czyli, że zgadłem! A teraz nazwiska.

Złapał za ich ręce.

- No cóż, panowie Kortejo i Landola.

Trudno opisać, jakie wrażenie na nich to wywarło. Stali jak wykluci z kamienia, nie będąc w stanie odpowiedzieć. Zastanawiali się, czy zakonnik nie jest jakimś szarlatanem, który musiał ich kiedyś gdzieś widzieć i teraz tylko używał swoich sztuczek. W każdym razie położenie ich było nie do pozazdroszczenia.

- Wasze zakłopotanie wyraźnie pokazuje mi, że się nie pomyliłem - powiedział zakonnik.

- Nie grajcie więc przede mną komedii, tylko powiedzcie szczerze, co was do mnie sprowadza?

- Skąd nas ojciec zna? - zawołali obaj na raz.

- To nie należy do rzeczy. Znam wiele tajemnic, o których wam się nawet nie śniło.

Chcicie się przyznać to dobrze, jeżeli nie to żegnam! Skończyłem!

Obrócił się chcąc wyjść.

- Senior! - zawołał Kortejo.

- Co takiego?

- Czy ojciec jest przyjaźnie do nas nastawiony?

- Naturalnie.

- W takim razie będę z ojcem szczerzy. Ja rzeczywiście jestem Gasparino Kortejo.

- A wasz towarzysz?

- To Henryk Landola.

- Czego chcecie tu, w Meksyku?

- Zapewne wiesz i to ty czarowniku - zawołał Landola ze złością waląc pięścią w stół. Zakonnik spojrział na niego i powiedział:

- Krzykiem mnie i tak nie przestraszycie, nie pozwolę w moim domu na awantury i takie postępowanie. Lepiej zrobicie, jeżeli się do wszystkiego przyznacie i wyjawicie mi swoje plany. W niejednym mogę wam pomóc. Powtarzam, że nie jestem waszym wrogiem.

- Ale my was nie znamy.

- Nazywam się Hilario i jestem zakonnikiem, co więcej, powiem, że dałem schronienie u siebie waszemu bratu i jego córce, gdy wszyscy ich ścigali.

- Co? To prawda? - zawołał zdumiony Kortejo. - Są jeszcze tutaj?

- Tak, są.

- Prędko! Przyprawdźcie ich tutaj!

- Nie tak gorączkowo. Wiecie przecież, że klasztor nie należy do mnie i że nie mogę we wszystkim rozporządzać. Czy chcecie, aby ktoś się dowiedział o waszym pobycie tutaj?

- Co was skłoniło, aby udzielić Pablowi pomocy? - spytał Landola z niedowierzaniem.

- Powiem wam, nie ma potrzeby abym to przed wami ukrywał. Prosta rzecz, nienawiść do rodziny Rodriganda. Dawne rachunki, które muszę wyrównać z hrabią.

- Czyli, że mój brat powiedział wam, że hrabia żyje?

- Wasz brat wtajemniczył mnie we wszystko, bo znalazł we mnie współnika nie do pogardzenia.

- W takim razie i my możemy otwarcie z ojcem pomówić.

- Właśnie do tego cały czas zmierzam.

- Kto ścigał Pabla? - spytał Landola.

- Kto? Cesarz, Juarez i jego osobiści nieprzyjaciele.

- Jacy nieprzyjaciele?

- Sternau, Mariano, Bawole Czoło, Niedźwiedzie Serce i inni.

- Gonili za nim?

- Naturalnie.

- A gdzie oni teraz są?

- Kto?

- Sternau ze swoim towarzystwem.

- Niedaleko stąd - odparł Hilario z uśmiechem.

- Zapewne przy Juarezie?

- O nie. Przy mnie.

- Przy was? Czyli, że są w klasztorze?

- Tak.

- Do diabła! Co oni tu robią?

- Siedzą w ciemnej norze i wzdychają do wolności.

- Złapaliście ich?

- Tak.

- Wszystkich?

- Oczywiście.

- Sternaua też?

- Naturalnie,

- Wspaniały z was człowiek. Oto moja ręka! - zawołał uradowany Kortejo. - Teraz rzeczywiście wierzę, że nam sprzyjacie.

- Ojczy, mnie też wyświadczyłeś wielką przysługę. Pozwólcie sobie podziękować i wybaczyć

moje dotychczasowe niedowierzanie - odezwał się Landola.

- Ale jak się wam to udało? - spytał Kortejo. - Opowiadajcie!

Opowiedział mi po krótko całą historię od napadu Misteków na hacjendę aż do porwania hrabiego Ferdynanda. Słuchali z wielkim skupieniem. Kortejo natomiast powiedział o wszystkim, co ich spotkało od chwili przybycia do Meksyku. Postanowili wspólnie pozbyć się wszystkich, którzy cokolwiek wiedzą o tajemnicach rodziny Rodriganda, a przede wszystkim mieszkańców hacjendy. Najlepsza do tego wydawała się im trucizna, którą ojciec Hilario miał wsypać do zbiornika z wodą pitną.

- A teraz przyjdźmy do terażniejszości - odezwał się zakonnik. - Przyjechaliście tutaj konno, nieprawdaż?

- Tak.

- Gdzie zostawiliście konie.

- Na dole.

- Naturalnie musicie zatrzeć wszelkie ślady, aby nikt się nie domyślał, że tu jesteście.

- Dacie nam mieszkanie u siebie?

- Bardzo chętnie.

- Zobaczę brata i jego córkę?

- Możecie nawet z nimi mieszkać. Ale powiedzcie mi, nikt was przypadkiem nie widział, jak jechaliście tutaj?

- U podnóża góry spotkaliśmy jakiegoś małego grubasa. Spytaliśmy go o drogę.

Hilario lekko zbladł.

- To fatalnie, ten człowiek wcześniej był u mnie.

- Kto to taki?

- Tajniak.

- Do diabła! Na czyich usługach?

- Służy każdemu, kto stoi u steru.

- Wyglądał bardziej na jakiegoś mnicha, niż policjanta.

Hilario zamyślił się głęboko, wreszcie powiedział:

- Tego nie możemy tak zostawić. Zapewne czeka na wasz powrót w gospodzie.

- To co mamy robić?

- Musicie tam pojechać.

- Ale my przecież zmyliśmy maski.

- To nic nie szkodzi, dam wam dwie blachy -

wyjął z biurka dwie odznaki i podał je Kortejowi.

- Ho, ho! To odznaki policyjne z tutejszego restryktu.

- Tak.

- Skąd je wzięliście?

- Ha, w niejedno musiałem się zaopatrzyć, aby dojść do czegoś.

- Rzeczywiście genialny z was człowiek.

- Ale na takiego nie wyglądam - zaśmiał się Hilario.

- Jaki jest wasz plan? - spytał Kortejo. - Po części domyślam się już.

- Bo to nie jest trudne. Gdy tylko zjedziecie z góry, to skierujecie się na lewo. Tam płynie mała rzeczka, w której się umyjecie. Z okna gospody będzie można to zobaczyć. Potem pojedziecie do venty, no a reszty możecie się domyślić.

- Mamy mu pokazać odznaki?

- Tylko w razie konieczności.

- A to, że byliśmy u was?

- Naturalnie, szukaliście jednego podejrzanego, który jak wam doniesiono, jako chory ukrywa się w klasztorze.

- I oczywiście nie znaleźliśmy go.

- Oczywiście.

- A jeżeli ten drab ma także odznakę?

Hilario odparł spokojnie:

- O to się nie obawiajcie. Zapewne nie ma jej przy sobie.

- A co potem?

- Nie śmiecie opuścić venty dopóki on nie odjedzie. Wieczorem wrócić do mnie, ale tak, aby was nikt nie widział. Konie uwiążecie przy tylnym murze, a jeden z was niech podkradnie się pod moje okno i zapuka. Przyślę do was moją bratanek, a resztą sam się zajmę. Teraz jednak jedźcie już, panowie.

Posłuchali go, niedługo potem zjawił się u zakonnika jego zdziwiony bratanek.

- Stryju! Nie wiem, czy się nie mylę, ale ci dwaj mieli zupełnie inne twarze jak tutaj wchodzili?

- Dobrze zauważyłeś. Myślę, że ich nikt tutaj nie widział?

- Nie, na dziedzińcu nie było nikogo, sam ich obsługiwałem.

- To dobrze. Posłuchaj mnie, bo chciałbym z tobą pomówić poważnie i przy okazji donieść ci coś niezmiernie wesołego.

- Słucham stryju.

- Chciałbyś zostać hrabią?

- Hrabią? - zapytał młody z ogromnym zdziwieniem.

- Tak, hrabią!

- Stryju, ty chyba żartujesz!

- Nie, mówię całkiem serio.

- A jakim hrabią chcesz mnie zrobić?

- Hrabią Rodriganda.

- Czy to możliwe?

- Naturalnie. Zgadnij jakich gości miałem dzisiaj u siebie.

- A niby skąd miałbym wiedzieć.

- Kortejo i Landolę.

- Co? Naprawdę?

- Naprawdę.

Opowiedział pokrótce swoją rozmowę z nimi.

- To rzeczywiście szczególne - zawołał Manfredo. - Jak rozumiem ich także chcesz zamknąć?

- Oczywiście.

- Ci akurat zasłużyli na to.

- I poniosą karę. Ale od jutra ty obejmujesz straż nad wszystkimi, zastawiam ich na twojej głowie.

- Dlaczego?

- Bo wyjeżdżam.

- Dokąd?

- Do hacjendy del Erina.

- Po co?

- Później się dowiesz, jadę w naszych sprawach.
- Jak długo się tam zatrzymasz?
- Cztery do pięciu dni.
- No, to nie tak długo.
- Ale jak wrócę, zaraz znowu będę musiał wyruszyć w dalszą podróż.
- Dokąd?
- Do stolicy.
- Do stolicy? Po co?
- Mam do spełnienia ważne zadanie polityczne. Jak mi się uda, w co nie wątpię, zostanę co najmniej ministrem, a ty hrabią Rodriganda. Prawda, że wspaniale?
- Stryju, zaczynam wierzyć, że mówisz serio.
- Naturalnie, że tak.
- Ale jak chcesz mnie zrobić hrabią?
- Bardzo łatwo, zastąpisz prawdziwego.
- Aha, Mariano.
- Jego po prostu usuniemy.
- Właściwie to jesteście nawet podobni, a i wiek mamy prawie taki sam. Ale dowody, skąd je weźmiemy?
- Te wymusimy na naszych więźniach, potem sprzątniemy wszystkich, którzy są wtajemniczeni. Ale to pozostaw już na mojej głowie. Jeżeli ta sztuczka udała się Pablowi Kortejo to i mnie musi się udać. Ale co do więźniów, to muszę ci jeszcze ułatwić ich pielęgnowanie.
- Jak to?
- Wyprowadzimy ich z pojedynczych celi i zamkniemy razem w pokoju wykutym w skale.
- Będzie im lżej, przynajmniej będą mogli ze sobą rozmawiać. Pabla Kortejo i Józefę także wyprowadzimy?
- Nie, ci zostaną tam gdzie są. Drugiego Korteję z Landolą także tam zamkniemy. To pierwsze możemy załatwić zaraz. Chodź ze mną! Zeszli po schodach do piwnic.

Tymczasem Kortejo i Landolą zjechali z góry klasztornej i umywszy się przy strumyku skierowali konie wprost do venty. Przed gospodą stał jeszcze wierzchowiec małego grubasa. Weszli do środka, przy stole siedział tylko jeden gość, poszukiwany przez nich nieznajomy. Gdy tylko właściciel venty oddalił się, grubas nie mógł wytrzymać z ciekawości i kierując się do nowoprzybyłych rzekł:

- Panowie, wydaje mi się, że już gdzieś widziałem wasze konie.

- Hm - mruknął Landola.

- Ale was nie przypominam sobie, te twarze...

- Co za twarze? - spytał Landola opryskliwie.

- Są zupełnie inne.

- Jak to?

- Przedtem byliście młodszy.

- To chyba naturalne, że ludzie się starzeją.

- Ja was chyba spotkałem u podnóża góry klasztornej?

- Całkiem możliwe.

- Nawet pytaliście mnie o ojca Hilario.

- No i co z tego?

- Twarze mieliście ucharakteryzowane.

- Możliwe.

- Dlaczego?

- Bo nie chcieliśmy, by nas ktoś poznał.

- Ojciec Hilario?

- Nie, ale jeden gałgan, który udając chorego miał się podobno ukryć w klasztorze, jednak nie znaleźliśmy go tam.

- Szukaliście kogoś?

- Naturalnie. Znacie tę odznakę?

Obaj pokazali odznaki otrzymane od ojca Hilario.

- Znam - powiedział i nieco poblądł.

Nie uszło to baczemu spojrzeniu Landoli. Poznał, że grubas nie miał czystego sumienia, więc postanowił pożartować sobie trochę z niego i ukarać go za ciekawość.

- Szukamy - odezwał się - jednego zuchwałego łotra, burzyciela, spiskowca. Dobrze znacie klasztor i ojca Hilario?

- Tak, nieźle.

- Nie wiecie przypadkiem, czy on nie ukrywa u siebie spiskowców?

- Myślę, że nie.

- Hm, a może pan będzie go znał. Mam tu dokładny opis - otworzył notes i udał, że czyta:

- Wiek około czterdzieści lat. Ile macie lat, senior?

- Czterdzieści dwa.

- Hm - mruknął Kortejo, który natychmiast odgadł zamiar Landoli i wlepił wzrok w oblicze grubasa.

- Imię i wyznanie, no to akurat jest mniej ważne - ciągnął dalej Landola - ale o, niski wzrost.

- Hm - mruknął Kortejo oglądając zakonnika.

- Bardzo gruby. Drobne oczy, nos krótki i okrągły. Z prawej strony uzębienia brakuje jednego

zęba.

- Do stu piorunów! To by się zgadzało! - zawołał Kortejo.

Mały grubas zaczął się kręcić na krześle, jakby go mrówki oblażyły i rzucał niespokojne spojrzenia to na drzwi to na okno.

- Usta mięsiste i grube, brak zarostu. Włosy ciemne z widoczną już łysiną.

- O do diabła! - zawołał Kortejo podnosząc się, aby lepiej widzieć głowę grubaska.

- A na koniec, ten szczególny znak; na lewej ręce przy średnim palcu zakrzywiony paznokieć.

- No cóż, senior, proszę mi pokazać lewą rękę.

Ten szybko schował rękę pod stół mówiąc:

- Senior, przecież mnie chyba nie posądzacie...

- Akurat, wszystko się zgadza, jak pan myśli, panie kolego, zabierzemy go ze sobą do stolicy?

- Naturalnie - odparł Landola, badając obcego swym ostrym wzrokiem.

- Ależ ja niczemu nie jestem winien.

- To się dopiero okaże.

- Aleja przysięgam, na wszystko co święte.

- Powiecie to w stolicy.

Mały pocił się jak mysz. Sto tysięcy kłamstw przelatywało mu po głowie, wreszcie z wypogodzoną twarzą zawołał:

- Panowie pozwolicie, że o coś zapytam?

- Co takiego?

- Ja wiem, że ojciec Hilario nie należy do bardzo gościnnych. Zapewne nawet nie zaprosił was na kolację?

- Nie.

- A po tak męczącej podróży jesteście głodni.

- Nawet bardzo.

- Pozwolą więc panowie, że zamówię dla nich kolację i wino?

- Niestety nie mamy pieniędzy.

- To nic nie szkodzi, ja pozwolę sobie zaprosić panów.

- I chce senior za nas zapłacić?

- Naturalnie. Zaraz zawołam gospodarza. Chciał podejść do drzwi, lecz w tej chwili Landola złapał go za rękę i zawołał:

- Stać! Sami to załatwimy.

Przywołali gospodarza. Grubas zamówił kolację dla trzech osób i kazał podać sześć butelek wina, gdy gospodarz chciał się ponownie oddalić, Landola zawołał:

- Ten senior chce najpierw zapłacić za posiłek.

- Tak, oczywiście - przytaknął mały zakonnik.

Wyjął pulares i zapłacił. Nastąpiła cisza, tylko zakonnik kręcił się nerwowo. Po chwili zawołał:

- Panowie wybaczą, ale chciałbym zajrzeć do kuchni, czy pieczeń dobrze jest przygotowywana.

- Znacie się na tym?

- Doskonale, sam zawsze ją piekę.

- Myo nię, że nie chcecie nam uciec?

- Ani mi to w głowie. Mogę przysiąc...

- Już dobrze, wierzymy wam.

Wyszedł.

- Ciekawy jestem czy ucieknie? - odezwał się Kortejo.

- Naturalnie, od razu da drapaką - powiedział Landola. - Zapewne tylnym wyjściem pobiegnie do konia.

- Zatrzymamy go?

- Ależ skądże. Dla pozorów oddamy kilka strzałów w powietrze, ale to wszystko.

- Może otworzymy okno?

Rzeczywiście spostrzegli jak grubas zręcznie podkradł się do konia i wspiąwszy się na siodło co tchu popędził naprzód.

- Stać! - krzyknął za nim Landola.

- Stój! - wrzeszczał Kortejo.

- Stój, bo strzelamy!

Grubas położył się na koniu i popędził jak wiatr. Oddali za nim parę strzałów, po czym wrócili do stołu.

Właściciel gospody przybiegł z przerażoną twarzą pytając:

- Panowie, co się stało? Dlaczego panowie strzelali? To nie uchodzi.

- Dlaczego? Uciekł nam!

- Kto?

- Ten mały grubas.

- Ten? Czyżby był panów więźniem?

- Naturalnie.

- Tak? A panowie kim jesteście?

- Tajna policja, ze stolicy.

- Naprawdę? Pozwólcie mu panowie uciec. Przecież zapłacił za kolację.

- Myślicie, że to tyle warte?

- A czy on wart więcej?

- Tego nie wiemy.

- Znacie go, panowie?

- Nie, ale wy go znacie.

- Ja, skąd? A dlaczego go aresztowaliście?

- Aby zapłacił za nas kolację, a wy żebyście zarobili na winie.

Popatrzył na nich wielkimi oczami z ogromnym zdziwieniem, a w końcu wybuchnął śmiechem wołając:

- Jak babkę kocham, nie widziałem jeszcze tak mądrych i sprytnych ludzi, jak wy. On zapłacił za kolację dla trzech, a was jest tylko dwóch, otóż jeżeli chcecie dodać do waszego sprytu jeszcze koronę, to zaproszcie do stołu mnie.

- Jak najbardziej, prosimy - zaśmiali się obaj. Kiedy później opuszczali ventę mały zakonnik był już daleko za miastem. Bez przeszkód udali się do klasztoru, nic potrzebując się niczego obawiać.

Za murem rosły ogromne krzaki, tam uwiązali konie, po czym Kortejo podszedł do okna i zapukał w umówiony sposób. Niedługo zjawił się Manfredo.

- Proszę za mną, panowie - powiedział.

Poprowadził ich przez dziedziniec, schodami na dół piwnicy. Tam oczekiwał na nich Hilario z tatką w rękę. Wypytał o zdarzenia z venty a zarazem obiecał pokazać uwięzionych.

Sprowadził ich do dolnych więzień. W jednej z celi obrócił się i zapaliwszy szybko kartonową tutkę w kształcie lejka, dmuchnął wydobywający się z niej gaz wprost w twarze Korteja i Landoli.

Chcieli krzyczeć i bronić się, jednak zabójczy zaduch krztusił mocno. Po minucie leżeli nieprzytomni na ziemi. Kiedy Kortejo przyszedł do siebie poczuł straszny ból głowy. Ku własnemu

przerażeniu spostrzegł, że znajduje się jakimś pomieszczeniu wykutym w skale, a łańcuchem przymocowany jest do ściany.

- O Boże! - zawołał mimo woli.

- O, jeden raczył się już przebudzić - usłyszał jakiś ponury męski głos.

- Kto tu jest? - spytał zdziwiony Kortejo.

- Więźniowie, współtowarzysze niedoli - zabrzmiał głos kobiecy.

- Słyszałem dwa głosy.

- Dobrze słyszałeś, mówiłem ja i moja córka.

- Kim jesteś?

- Nieszczęśnikiem. Więcej nie mogę powiedzieć, gdyż cię nie znam.

Kortejo nie mógł się zorientować w sytuacji.

- Do diabła! Gdzie ja jestem? Po co tu leżę? - spytał.

- Uwięzili cię.

- Uwięzili? Bzdura! To niemożliwe!

- Niemożliwe? To dotknij ścian i łańcuchów, które cię krępują.

Kortejo zadzwonił łańcuchami, pomacał wilgotną ścianę. Rozpoznał przed sobą dzbanek z wodą i kawałek suchego chleba.

- O Boże! To musi być jakiś głupi żart.

- Żart! Nie licz na to. To smutna rzeczywistość. My też tak z początku myśleliśmy.

Zamknęli nas podstępem. Potem dali nam lepsze pomieszczenie, ale dzisiaj znowu wrzucili tutaj. Nasz kat powiedział nam, że w rekompensacie za pogorszenie warunków dostaniemy towarzystwo, z którego będziemy zadowoleni. Co to ma znaczyć, nie wiem.

- Kim jest wasz kat?

- Ojciec Hilario, ten sam co uwięził i was.

- Hilario? Niemożliwe. On jest przecież moim przyjacielem.

- Przyjacielem! Widocznie oszukał cię tak samo jak nas. Czy nie dmuchnął ci w oczy trującym gazem, który pozbawił cię przytomności?

- Tak, oczywiście.

Kortejo wracał powoli do siebie. Wszystko wydawało mu się złym snem. Ten grobowy głos, który do niego teraz mówił, ta ciemność i potworny zaduch!

- Nie miał ze sobą światła, więc nie mogłem was zobaczyć - odezwał się znowu ten męski głos. -

Poznałem tylko jego i jego bratanka. Kim jesteście?

- Ja też nie mogę tego zdradzić, gdyż nie wiem kim wy jesteście. Ale ciągle mówisz o nas dwóch, kto to jest?

- Jakiś drugi mężczyzna, którego przywlekli razem z tobą i przykuli do ściany z twojej prawej strony.

- Boże! To znaczy, że Lan...

W odpowiednim momencie przypomniał sobie, że nie może zdradzić swego kamrata, dlatego poprawił się i zapytał:

- Czyżby to był mój towarzysz?

- Zapewne. Jesteście, tak jak i my, skazani na dożgonne więzienie, bo stąd nie ma wyjścia. Grób i ciemność ze wszystkich stron. Przy życiu trzyma człowieka tylko chęć zemsty.

- Jak długo was tu więzi?

- Nie wiemy. Nie widzimy ani słońca, ani księżyca. Tu panuje tylko noc. Kortejo podniósł się energicznie wołając:

- To jakiś absurd. Mnie nie mogą tu więzić, to pomyłka, ja nie mogę być więźniem!

- Szaleńcze! Przecież nim już jesteś!

- Nie, to niemożliwe, żeby ów zakonnik chciał mnie oszukać!

- On nas wszystkich oszukał.

- Zaraz sprawdzę czy to nie żart. Zaczął targać kajdanami z największym wysiłkiem, ale daremnie.

Zmęczony i zziębnięty zawołał:

- Na Boga! Czyżby senior mówił prawdę?

- Naturalnie, nie łudź się, że jest inaczej.

- Czyli, że mnie zamknął, a inni zapewne są wolni?

- Jacy inni?

- Powiedział mi, że uwięził moich nieprzyjaciół.

- Mnie też to kiedyś powiedział, nawet ich pokazał, ale wątpię, aby ich uwolnił. Kto tu się raz znajdzie, nie ma dla niego ratunku. Jacy pańscy wrogowie mają być tu uwięzieni?

- Nie mogę tego powiedzieć, a kogo ty widziałeś.

- Ja też nie mogę zdradzać swoich spraw.

- Kto ci tego zabrania?

- Nikt, ja sam nie mogę, nie mogę bowiem zdradzić siebie samego.

Nagle dał się słyszeć jakiś głuchy jęk, to Landola zaczął dochodzić do siebie. Zadzwoił łańcuchami. Wyprostował się i powtórnie zabręczały kajdany.

- Co... co... co to takiego? - spytał.

- Henryk, Henryk? Pan jest tutaj - rzekł cicho Gasparino Kortejo.

- Henryk - spytał z wolna zdziwiony Landola. - Tak, właśnie Henryk mi na imię, przecież wyczytał to z mojej ręki.

- Na Boga! Henryk, pan przecież jest tutaj, obok mnie.

- Henryk? - jęczał ciągle Landola - Kto... kto to mówi? Gdzie, ach gdzie ja jestem?

- Uwięzili mnie i pana, tak przynajmniej twierdzą, aleja im nie wierzę.

- Uwięzili? - jęczał, brzęcząc głucho łańcuchami. - Co to tak dzwoni? Gdzie ja jestem? Co mnie trzyma?

- To kajdany.

- Kajdany? kajdany? Aha, zakonnik chciał nam pokazać uwięzionych, Ster...

- Cicho! - przerwał mu Kortejo. - Proszę nie wymieniać żadnych nazwisk.

Landola nie mógł ciągle powrócić do równowagi, tonem człowieka będącego wciąż pod wpływem trucizny powtórzył:

- Żadnych nazwisk? Żadnych nazwisk? A to dlaczego, Kortejo?

Nazwisko to wymówił mimo zakazu.

- Cicho! Milcz pan! - zawołał Kortejo.

Ale z drugiej strony natychmiast dał się słyszeć jakiś głos:

- Co? Kto mnie wołał? Gasparino wyteżył słuch.

- Ciebie? Ciebie nikt nie wołał.

- Przeciwnie, wołał! Wymienił moje nazwisko.

- Co? Twoje? Ty nazywasz się Kortejo?

- Tak.

- A jak masz na imię?

- Jedno zostało już zdradzone, więc mogę powiedzieć i drugie. Nazywam się Pablo Kortejo.

- O Boże! - krzyknął Gasparino. - Czyżby to było możliwe? Powiedziałeś przedtem, że jest tu także twoja córka?

- Bo jest.

- Czy jej imię to Józefa?

- Co? Znasz nas?

Gasparino natężył mięśnie, łańcuchy zadźwięczały i zawołał:

- O Boże! Do wszystkich diabłów! Czyli, że to prawda! Ten łotr zakonnik oszukał mnie i uwięził tutaj! Potrzebuję siły, aby móc wyrwać te łańcuchy.

Na nowo zaczął się mocować, wszystko jednak daremnie.

- Nie wysilaj się - zabrzmiał ten sarni głuchy głos. - To daremne. Powiedz nam lepiej skąd nas znasz.

- Skąd znam? Chciałbym aby całe to sklepienie razem z klasztorem zapadło się i razem nas pogrzebało. Wiesz może kim jest mój towarzysz, który niedawno się obudził i wymienił twoje nazwisko?

- Skąd mam wiedzieć?

- To Henryk Landola.

Po przeciwnej stronie zadźwięczały łańcuchy.

- Henryk Landola? - zawołał ponury głos,

- Tak jest.

- Kapitan okrętu?

- Tak - odparł Gasparino.

- Tak jest, ja jestem Henryk Landola, kapitan - dodał zagadnięty.

- Czy to możliwe, a więc na dodatek i on złością - zawołał Pablo ze złością. - A ty kim jesteś?

- Ja? Posłuchaj i przeklnij tę ziemię i wszystko co na niej żyje! Moje nazwisko jest twoim.

- Moim?

- Tak, bo ja jestem Gasparino Kortejo, twój brat.

Dwa równoczesne jęki przeszły powietrze, męski i kobiecy. Po chwili zapadła cisza. Pablo i jego córka usłyszawszy tę wiadomość stracili przytomność.

Czasem człowiek ma wrażenie, że niebo samo sprzyja opryszkom a wszystkie dobre uczynki i plany sprawiedliwych obraca w niwecz. Ale boskie drogi nie są drogami ludzkimi. Rober Helmer załatwiwszy swoje interesy w stolicy, udał się razem z majtkiem Petersem, Sępiem Dziobem i Grandepriem w dalszą drogę. Zaopatrzony w odpowiednie pisma od władz, które mogły mu otworzyć wszelkie drzwi, a na dodatek posiadając tak znakomitych przewodników jak Sępiego Dzioba i Grandepri'a, mógł się spodziewać, że dogoni Korteja z Landola, a może nawet uda mu się przed nim dotrzeć do Santa Jaga.

Niestety los nie był tak łaskawy. Drugiego dnia wieczorem przybyli do miasteczka Zimpam. Wszystkie uliczki i place pełne były żołnierzy francuskich, którzy w prowincji Queretaro rozpoczynali koncentrację. Wszystkie gospody były tak przepełnione, że nie mogli otrzymać ani jednego łóżka. Nie namyślali się wiele i pojechali poza mury miasta, w stronę niewielkiego strumyka, tam postanawiając spędzić noc, lecz i tam zastali całą rzeszę żołnierzy, że z dala, na małym kawałku trawy usiedli by odpocząć.

Ale to także nie podobało się to Francuzom. Po długich naradach postanowili wysłać jednego ze swych podoficerów, aby tych meksykańskich cywilów nauczył rozumu. Razem z nim podążył jeden ze starszych żołnierzy, który wślawił się w walkach w północnym Meksyku. Na widok obcych, żołnierz ten przybrał ogromnie zdziwioną minę. Odprowadził podoficera na stronę i powiedział cichu:

- Jednego z nich już gdzieś widziałem. Jeżeli się nie mylę to walczył po stronie Juareza, przeciw naszym wojskom. Tak, to rzeczywiście on, przypomina sobie, nazywa się Sępi Dziób.

- Nie mylisz się?

- Nie, zresztą jest tu jeszcze dwóch, którzy byli wtedy ze mną, mogą więc potwierdzić moje słowa.

Podoficer kazał ich przywołać, jak tylko zobaczyli Sępiego Dzioba, natychmiast potwierdzili słowa swego kamrata. Oficer kazał im bacznie obserwować nieznajomych, sam zaś udał się do generała i zameldował o zaistniałej sytuacji. Nasi znajomi zostali jako podejrzani zaprowadzeni do komendy. Po długich badawczych rozmowach generał rozkazał zatrzymać ich tak długo, dopóki ostatni żołnierz nie opuści Zimapam.

Udało im się to dopiero po paru dniach. Można sobie wyobrazić, co Robert i jego towarzysze przeżywali przez ten czas. Co prawda postanowili wnieść skargę na takie samowolne postępowanie generała i jego podwładnych, lecz straconego czasu nikt im nie mógł zwrócić.

Musieli przyznać, że Kortejo i Landola zdołali uciec i kto wie, czy uda się ich na nowo odnaleźć. Na nowych koniach pognali w kierunku Santa Jaga.

WYMARZONY ZIĘĆ

Kto wierzy w Boga i Jego opatrzność, ten wie, że właśnie w chwili, kiedy wszystkie nici się rwą i kiedy wedle rozumu ludzkiego nadzieja całkiem znika, wszechmocna Jego ręka tak układa zdarzenia, że ów tak długo upragniony cel jednym zamachem przyprowadza do skutku. W forcie Guadaloupe panował smutek. Komancze po tylu nieudanych napadach cofnęli się i nie nękali więcej mieszkańców miasteczka. Paru myśliwych, którzy mieli za zadanie strzec fortecy rozlokowali się w pobliżu pastwisk Apaczów. Nikt obcy nie przybywał w te strony, nic więc dziwnego, że całe miasteczko osamotniało i nie było w nim widać żadnego życia. Pewnego dnia venta starego Pirnero była całkowicie pusta. Resedilla siedziała przy jednym oknie, a jej ojciec przy drugim. Na twarzy młodej dziewczyny, która była zajęta jakąś robótką widać było spokój i rezygnację, natomiast jej ojciec patrzył ponurym wzrokiem w dal. Wkoło panowała cisza. Wreszcie zniecierpliwiony ojciec chcąc przerwać ten nieznośny spokój pokaszlując zawołał:

- Szkaradna pogoda!

- Co ojciec?

- Powiadam, że szkaradna pogoda!

- Co ty mówisz, przecież słońce pięknie świeci.

- Co? Słońce świeci? No tak, rzeczywiście, ale mimo to pogoda jest ohydna.

- Jak to możliwe?

- Wyjrzyj przez okno i powiedz co tam widzisz, drzewa, wodę, domy, ptaki, ale ludzi ani na lekarstwo!

- Ale co to wszystkiego ma wspólnego z pogodą?

- Hm, głupie pytanie. Od rana nikt do nas nie zajrzał. Mój julep mi zwietrzeje, towary się popsują, czy to nie ohydne?

- No tak, racja - odparła córka spuszczać ze smutkiem głowę.

- Żeby przynajmniej zięć mógł człowieka rozweselić, to prędzej dałoby się to znieść.

Po tych słowach baczniej spojrzał na twarz córki; nie odpowiadała.

- Co ty na to? - powtórnie spytał.

- Na co?

- No, na zięcia.

- Hm, wola boska - odrzekła z głębokim westchnieniem.

- A co ja się nastarałem i namartwiłem, a kto jest winien temu wszystkiemu? Pamiętasz jeszcze tego małego André?

- Pamiętam.

- To był wspaniały, zuchwały chłopak. Miał worek pełen nugetów. Potem przyszedł następny, wiesz o kim myślę?

- Nie.

- No tak, człowiek poci się, aby tylko mógł złowić kogoś na zięcia, a ona nawet nie wie, a co gorsza zapomina o kim mówię. Mam na myśli tego Amerykanina.

- Którego?

- Tego co w kanoe przyplął do naszego fortu.

- Mówisz o Sęsim Dziobie?

- Tak.

- Pfuj!

- Tak, spluwaj sobie, a na bezrybiu i rak rybą, a on byłby całkiem dobry. Nie wiesz, że go sam lord wysłał z misją do Juareza. To sławny traper. Na koniec wreszcie zjawił się trzeci. Spuściła głowę jeszcze niżej.

- No? - spytał.

- Co takiego?

- O tym też zapomniałaś?

- Masz na myśli Gerarda - spytała prawie szeptem.

- Naturalnie, ten był najlepszy i miły, a co ty o tym sądzisz?

- Też tak myślę ojciec - odparła jeszcze ciszej

- A jaki to sławny mąż, nieprawdaż?

- Tak, masz rację.

- Silny i dzielny!

- Tak.

- I bogaty! całą kolbę miał ze złota!

- Tak jest.

- Z niego byłby wspaniały zięć. Ale gdzie on pojechał, nie powiedział ci przypadkiem?

- Powiedział.

- A mnie nie? Do diabła, dlaczego mi tego zaraz nie powiedziałaś?

- Bo to miało zostać tajemnicą.

- Co tajemnicą?! Na wszystkich świętych, tajemnicę mają ze sobą, a ojcu nic o tym nie powiedzieli.

- To tylko jedna tajemnica ojciec - odpowiedziała słodko.

- Chodźby i tak było, nie zgadzam się nawet na jedną. Przede mną nie śmiecie mieć żadnych tajemnic, a więc co to za tajemnica?

- Nie miałam go zdradzić, ale tak długo nie wraca, że rzeczywiście owładnęła mną trwoga.

- Trwoga? A to co znów takiego? Czy to nie straszne?

- Jak wyjeżdżał był jeszcze bardzo słaby.

- Fakt, ale opowiadaj, co to za tajemnica.

- On chciał, on... o Boże!

Przerwała i patrząc przez okno zbladła i złapała się za serca. Pirnero zauważył to i także skierował swój wzrok w stronę okna. W kierunku jego venty jechał jakiś jeździec, zanim kilkanaście obładowanych jucznych mułów, za nimi jakiś drugi jeździec i jakaś kobieta.

- Do stu tysięcy bomb i kartaczy, toż to on! - zawołał Pirnero i podbiegł do drzwi.

- On, on! - załkała Resedilla. - Dzięki Bogu! Dzięki!

Strumień łez spłynął po jej policzkach, wybiegła z izby biesiadnej i ukryła się w swoim pokoiku. Pirnero stanął w drzwiach i rozkładając ramiona wołał z daleka:

- Witaj, witaj kochany Gerardzie! Gdzie tak długo senior przebywałeś?

- Zaraz się dowiecie wszystkiego, kochany senior Pirnero. Pozwólcie mi tylko najpierw zsiąść z konia.

Zeskoczył z siodła i biorąc starego w swe silne ramiona uścisnął go serdecznie.

- Gdzie Resedilla? - spytał.

- W środku.

- Pozwólcie, że się najpierw z nią przywitam. Jednym skokiem znalazł się w drzwiach.

- Nie ma jej tutaj! - zawołał rozglądając się dokoła.

Pirnero stanął za nim.

- Do stu diabłów! Naprawdę uciekła! Co to za głupie maniery. Powiedzcie mi co zrobiliście tej dziewczynie, że tak was unika?

- Tego sam nie potrafię sobie wytłumaczyć. Powiedzcie mi, senior Pirnero, czy mogę u was zostawić konie, muły i cały ładunek?

- Naturalnie.

- Ale chciałbym, aby cały transport znalazł się w bezpiecznym miejscu i pod kluczem.

- Taki kosztowny?

- No, trochę.

- A co to takiego?

- Ołów.

- Ołów? No tak, obecnie to bardzo poszukiwany towar. Gdzie go transportujecie?

- Chciałem wam sprzedać.

- Wspaniale, ale skąd wzięliście taką ogromną ilość?

- Napotkałem w Sierra na żyłę, a że potrzebuję teraz pieniędzy, więc zebrałem ile mi było potrzeba.

- Jeżeli nie podacie zbyt wygórowanej ceny. Ale po co wam teraz potrzebne pieniądze?

- Bo chcę się żenić.

Stary aż podskoczył z wrażenia.

- Żenić? - zawołał.

- Tak jest - odrzekł Gerard.

- Kiedy?

- Jak najprędzej.

- Z kim?

- Z tą seniorita, która ze mną przyjechała - tu wskazał na zbliżającą się zawoalowaną damę.

Pirnero spojrzał badawczo, jednak nie mógł ujrzeć jej twarzy. Nie potrafiąc ukryć swej złości zawołał:

- Czy pan zwariował, czy dopiero zamierza?

- A to dlaczego?

- Dlatego, że tak nagle wpadła wam do głowy żeniaczka?

- No cóż, ja też chciałbym, jak i inni, być szczęśliwym człowiekiem.

- A myślicie, że żeniaczka przysporzy wam szczęścia?

- Jak najbardziej.

- Głupota. Czysta głupota. Człowiek zakłada sobie więzy, traci pomału energię, wolę i spada do takiej niziny, że żona może z nim zrobić co zechce. Ja wam tego nie radzę.

- Już za późno.

- Co to znaczy za późno. Wygońcie ją i po sprawie.

- Teraz nie mogę.

- To później. Witajcie państwo - ostatnie słowa skierował do damy i mężczyzny, którzy właśnie weszli.

- Co z transportem? - spytał Gerard. - Będziemy go mogli schować w waszym magazynie?

- Dobrze, zaraz zawołam ludzi. Ale też z was ostrożniś, nawet worki zaplombowaliście.

- Ostrożności nigdy dosyć. Proszę, aby wasi ludzie nie uszkodzili plomb i proszę zamówcie dla nas jakąś kolację. Pirnero odszedł mruczając pod nosem:

- Kolację ci zamówię, ale jaką? Nie będziesz jej wstanie przełknąć! Co za osioł! Chce się żenić z jakąś przybłądą. Hm! Jak się zezłoszczę, to wszystko sprzedam i wyjadę z Meksyku. Ta dziewczyna,

moja ukochana Resedilla, ma jednak rozum, żetak nie znosi tego gamonia. Jemu jej nie dam, choćby sam był ze złota. Jednak moje przecucie i antypatia do tego człowieka nie omyliła mnie.

Poszedł do kuchni, chcąc całą złość wyładować w rozmowie z Resedilla, ale jej tam nie było, więc kucharce wydał polecenie. Gerard tymczasem zostawił damę i swego towarzysza w izbie, sam zaś pobiegł po schodach na górę.

Lekko zapukał do drzwi pokoju Resedilli, w którym już tyle szczęśliwych chwil go spotkało.

- Proszę - dało się słyszeć ze środka.

Szybko wszedł do środka i zapytał:

- Seniorita może się gniewać na moją śmiałość, że nie proszony wchodzę do jej pokoju?

- Ależ skąd - szepnęła.

- Pani płakała?

- Trochę.

- Czy mogę wiedzieć dlaczego? Nie odpowiedziała, więc pytał dalej:

- Była pani na dole, gdy przyjechałem, nieprawdaż?

- Tak.

- I na mój widok, seniorita uciekła. Teraz także, nawet ręki na powitanie mi nie podałaś, czy aż tak jestem ci wstrętny?

Powiedział to tak smutnym głosem, że podeszła do niego i podając obie ręce powiedziała:

- Wprost przeciwnie, jesteście bardzo pożądanym gościem.

- Naprawdę? - spytał cicho.

- Tak i bardzo oczekiwanym.

- Tak? To dlaczego seniorita uciekła przede mną?

- Bo musiałam.

- Ale dlaczego?

- Bo... bo... bo ja nie mogę tego powiedzieć.

Patrzył badawczo w jej w oczy.

- A gdybym was o to poprosił? - spytał.

- Nie byłam sama - brzmiała odpowiedź.

Przysunął bliżej głowę i jakby przeczuwając co odpowie spytał:

- Nie chcieliście, aby wasz ojciec był przy tym?

- Tak.

- Dlaczego?

Zamiast odpowiedzi objęła go i wyszeptała:

- Nie chciałam, by mój ojciec widział jak cię kocham i z jakim niepokojem na ciebie czekam.

Gerardowi o mało serce nie wyskoczyło z piersi, tak był szczęśliwy. Powstrzymał się jednak, objął dziewczynę mocniej i przycisnął do siebie.

- Czy to prawda? - spytał szeptem.

- Prawda.

- O moja kochana Resedillo.

Nie był w stanie nic więcej powiedzieć. Lekko podniósł jej główkę i złożył na jej rozchylnych ustach gorący pocałunek.

- Naprawdę mnie kochasz, moja najdroższa, moja jedyna? - szeptał jej do ucha.

- Gorąco! - usłyszał ledwo co, słabą odpowiedź.

- I obawiałaś się o mnie?

- Bardzo.

- Troszczyłaś się o obcego myśliwego, nicponia, który w swej ojczyźnie był niczym więcej jak...
- Pst! - szepnęła, zamykając mu usta pocałunkiem. - Nie mów więcej o tym.
- Dlaczego?
- Bo Bóg ci już przebaczył i teraz cię uszczęśliwi.
- Tylko dzięki tobie, mój skarbie! - zawołał z uniesieniem. - Ach, czy takie szczęście jest możliwe? Naprawdę chcesz należeć do mnie?
- Tylko do ciebie, jestem twoja.
- Tak moja, ale co powie ojciec?
- Boisz się go może? - spytała z zalotną minką.
- Trochę.
- Myśliwy boi się staruszka.
- A jak on się na to nie zgodzi?
- Będę przy tobie.
- Mam mu to powiedzieć dzisiaj?
- Naturalnie. Ale najpierw mi powiedz, kim są ci państwo, którzy z tobą przyjechali?
- Mój przyjaciel i moja narzeczona. Popatrzyła na niego dziwnie.
- Narzeczona? - spytała przerażona.
- Tak - zaśmiał się.
- Nic z tego nie rozumiem.
- Muszę ci to wyjaśnić, moja kochana. Twój ojciec był bardzo ciekawy i koniecznie chciał się dowiedzieć, kim są moi towarzysze, więc zażartowałem sobie i przedstawiłem mu tę damę jako moją narzeczoną.

Resedilla zaśmiała się, ale zaraz złapała za głowę.

- Ależ to straszne!
 - Dlaczego?
 - Będzie w fatalnym humorze, gdzie on teraz może być?
 - W kuchni, bo zamówiłem kolację.
 - No to przygotuj ci kolację, ale jaką, to dopiero zobaczysz!
- Mieszkać będziesz tutaj na górze, w swoim pokoju?

- Tak.
- To pozwól, że wejdę i zaproszę ich na górę. Jednak dotychczas nie wiem kim są twoi znajomi?
- Zostań kochanie, ja sam ich zawołam. Powiem ci tylko, że to małżeństwo.

Zszedł po swoich przyjaciół, a Resedilla tymczasem zajęła się przygotowaniem ich pokoi. Jak tylko weszli, grzecznie się z nimi przywitała mówiąc:

- Witam państwa serdecznie. Spodziewam się, że będziecie zadowoleni z mieszkania ale... ach! - krzyknęła nagle i cofnęła się o krok obserwując nieznaną kobietę.
- Co się stało Resedillo? - spytał Gerard.
- O Boże, co za podobieństwo! - zawołała i śmiejąc się dodała: - Mam może zgadywać, kogo tu Gerardzie przyprowadziłeś?
- Bardzo proszę.
- Ta seniorita, to twoja siostra.

Skinął głową i dodał:

- Tak, to moja siostra Anneta, ta sama, którą Sternau wyratował w Paryżu, jak topiła się w Sekwanie.
- Co za radość! Witam serdecznie. Tego się rzeczywiście nie spodziewałam.

Uścisnęła i serdecznie ucałowała Annetę.

- Dziękuję pani - powiedziała Anneta - za to serdeczne przyjęcie. Bardzo się cieszę razem z moim bratem, że taki klejnot znalazł i pokochał.

Kiedy po chwili Resedilla zeszła na dół i zastała tam ojca przy kucharskich czynnościach.

- Gdzie byłaś? - spytał zły.

- W moim pokoju.

- To idź tam z powrotem.

- Dlaczego?

- Bo tu nie jesteś potrzebna.

- Ale muszę się zająć kolacją.

- Zbyteczne. Dam sobie radę bez ciebie. Ten Gerard nie zasługuje na specjalne przysmaki.

Wiedziała dlaczego jest w tak złym humorze, więc szybko się odwróciła, aby nie widział jej śmiechu, a po chwili powiedziała:

- A ja myślałam, że ty go wysoko cenisz!

- Tereferę! Te czasy minęły bezpowrotnie.

- A to dlaczego?

- To akurat nic cię nie obchodzi. Gdzie ten dureń?

- W swoim pokoju.

- Mógłby spać na sianie razem z vaqueros, to miejsce odpowiednie dla niego. A gdzie ci drudzy?

- Też na górze.

- Widziałaś ich?

- Naturalnie.

- Czy ty wiesz, co to za dziewczyna?

- A niby skąd?

- To jego narzeczona.

Resedilla przybrała bardzo zdziwioną minę.

- Jego narzeczona? - spytała. - Niemożliwe. Ja w to nie wierzę.

- Rób co chcesz, on sam mi to powiedział. Spotka go jednak kara. To jedzenie będzie mu smakowało. Zamiast masła wzięłem łoju, zamiast cukru pieprzu, zamiast mleka octu a zamiast cielęciny starą wołowiną. A teraz na dodatek wszystko to przypalę, niech sobie zęby połamie a język spali od pieprzu.

- Ależ ojczel!

- Cicho, ani słowa! Kto jest taki głupi, że chce się żenić niech zjada takie właśnie przysmaki. A teraz idź stąd, już przecież powiedziałem, że cię tu nie potrzebujemy.

- To nie uchodzi. Ty się w ogóle nie znasz na kuchni, co to będzie za pieczeń! - odparła ze śmiechem.

- Właśnie dlatego ją dla niego piekę. Do diabła! Będę się mógł przynajmniej nacieszyć widokiem tych powykrzywianych twarzy, gdy spróbują mych przysmaków. A teraz idź precz! Wziął ją za ramię i wyprowadził z kuchni. Śmiejąc się poszła do Gerarda, aby go ostrzec przed pieczenia, po czym zeszła do izby gościnnej i usiadła przy oknie.

Po jakimś czasie weszła służąca i zaczęła nakrywać stół. Pirnero pomagał jej w tym, a w końcu kazał służącej iść na górę i zawołać gości. Sam swym zwyczajem usiadł przy oknie, ale tym razem nie wyglądał przez nie, ale bacznie obserwował salę. Cieszył się na samą myśl katuszy jakie przejdą jego goście przy specjalnym jedzeniu.

Wszyscy troje zeszli na dół i z wielką powagą usadowili się przy stole. Pirnero patrzył na twarz

Annety.

- Pfuj, co za koczkodan - mrucał pod nosem. - Taką starą dryndę wybrać sobie za żonę, to sztuka.

Ale cóż, przecież innej i tak by nie dostał.

Gerard złapał za widelec i z wielkim wysiłkiem wbił go w pieczeń.

- Wspaniałość! - zawołał mlaskając językiem. - Co za wyśmienita pieczeń, a jaka krucha. Co to za pieczeń, senior Pirnero?

- Cielęca.

- To moja ulubiona.

- Ja także za nią przepadam, kochany Gerardzie - powiedziała towarzysząca mu dama - ale moim zdaniem powinno się ją jeść na zimno.

- To prawda - odparł Gerard. - Na zimno jest o wiele lepsza. Odłożymy ją sobie na kolację, a teraz poprosimy senioritę Resedillę, aby była tak dobra i upiekła nam kawałek piersi bawolej, którą przywieźliśmy.

Pirnero zaczął potrząsać głową jakby chciał dać córce znak, żeby odmówiła, ona jednak tego nie widziała lub nie chciała widzieć, bo wstała i powiedziała:

- Ależ oczywiście, nie mogę odmówić waszej prośbie, choć szkoda tak dobrej pieczeni.

- Naturalnie - mrucał Pirnero. - Co to za nonsens, aby pieczeń cielącą jeść na zimno.

- Moglibyśmy dostać tymczasem po kieliszku julepu, senior - zagadał go Gerard.

- Dwa kieliszki?

- Nie, trzy.

- Co? Dla tej damy także?

- Oczywiście.

- Hm, to potrafi tylko Indianka.

- Długi czas mieszkała wśród Indian.

Pirnero poszedł po wódkę i nalawszy trzy kieliszki postawił je przed gośćmi, sam zaś ponownie poszedł pod okno. Gerard wiedział, że Pirnero nie potrafi długo wytrzymać bez gadania, więc sam nic nie mówił. I rzeczywiście po niedługiej chwili od strony okna dało się słyszeć:

- Paskudna pogoda.

Nikt mu nie odpowiedział.

- Na zewnątrz jest szkaradnie.

Ponieważ nadal nikt nic nie mówił obrócił się i nerwowo spytał:

- I co państwo na to?

- Na co?

- No, na tę pogodę.

- Bardzo ładna.

- Co? Ładna? Ta susza, ten skwar ma być ładną pogodą? Ale ja tu długo już nie zabawię.

- Dlaczego? - spytał Gerard.

- Wyjadę stąd.

- A dokąd?

- Do Pirna, do Saksonii.

- Aż tam?

- Tak, aż tam, bo stamtąd pochodzę.

- Ale czemu tak nagle?

- Czemu? Właściwie to tajemnica, ale nie mam powodów aby wam o tym nie powiedzieć.

Jeden z moich przyjaciół przysłał mi list, w którym prosi o rękę mojej córki dla swego syna.

- I pan chce mu ją oddać?
- Naturalnie.
- Tak bez zastanowienia, nie znając go?
- Hm, znam ojca i to mi zupełnie wystarcza.
- Tak? No to gratuluję.
- Dziękuję - odparł stary z dumą i łaskawie skinął głową.
- Ale co zrobicie z waszą posiadłością? - spytał Gerard.
- Sprzedam.
- To nie będzie łatwe.
- Dlaczego? Taki świetny interes niejednego zwabi, a na tych kilka folwarków także znajdzie się kupiec.

- Macie już jakiegoś?

- Mam.

Ciągle opowiadał niestworzone rzeczy, gdyż chciał solidnie zdenerwować Gerarda.

- To szkoda, wielka szkoda.

- A to dlaczego?

- Bo ja chciałem to wszystko od was kupić.

- Co? Wy?

- Tak.

- A skąd wy możecie mieć pieniądze, wiecie ile to wszystko jest warte.

- Wątpicie w to co mówię?

- Naturalnie. Macie co prawda kolbę ze złota i tych parę worków ołowiu i myślicie może, że to wystarczy.

- A ile byście chcieli za tę posiadłość?

- Powiedzmy sto sześćdziesiąt tysięcy dolarów.

- I za tę kwotę odstąpicie wszystko?

- Wszystko: sklep, magazyny, budynki i ziemię.

Gerard pokiwał głową w zamyśleniu.

- Hm, - powiedział po chwili. - To nie byłoby źle, ale takiej sumy nie mam przy sobie.

- Tak też sobie myślałem - odparł Pirnero. - Zresztą po co wy mielibyście to kupować?

- Chciałbym to później komuś podarować?

- Podarować? Zwariowaliście?

- Możliwe.

- Pewnie, że zwariowaliście. Taki majątek darować to czyste wariactwo. Komu to chcieliście darować?

- Temu mężczyźnie, co tu ze mną siedzi.

- A kto to taki?

- Mój szwagier.

- Aha, brat waszej narzeczonej! No, nie łamcie sobie głowy, bo i tak nie jesteście w stanie kupić tego, choćbyście i parę setek dolarów za ten wasz ołów dostali.

- Niestety, ale powiedzcie mi, ile płacicie za ołów?

- To zależy od gatunku towaru.

- Chciałbym jednak wiedzieć?

- To go pokażcie.

Nie mówiąc ani słowa Gerard oddalił się, a po chwili zjawił się z jednym ciężkim workiem.

- Po co przyszliście z tym tutaj - spytał Pirnero. - Mogliśmy to załatwić w sklepie.

- To i tak wszystko jedno, ani tu ani w sklepie nie odkupicie tego ode mnie - i postawił worek tuż obok nóg Pirnera.

- Dlaczego nie mam tego kupić?

- Bo nie będziecie mieli aż tyle pieniędzy.

Stary zaśmiał się w głos.

- Ja nie mam tyle pieniędzy, aby kupić parę worków ołowiu? Ha, ha, ha, to paradne! Mogę wam zapłacić i to zaraz za pięćdziesiąt takich worków.

- No zobaczymy, otwórzcie tylko.

Podał mu nóż, którym Pirnero odciął plombę i przeciął skórę spoglądając ciekawie do środka.

- O Boże? Czy to możliwe? - zawołał i spojrzał zdumiony na Gerarda.

- Co takiego? - spytał ten naiwnie.

Pirnero schylił się jeszcze raz, aby przekonać się, czy go aby wzrok nie myli.

- Wy to nazywacie ołowiem? - zawołał powtórnie.

- A za co mam to uważać?

Pirnero zaczął obiema rękami grzebać w worku wołając:

- Ołów? Toż to złoto, czyste złoto! Nugety wielkości laskowego orzecha!

Wyjął z worka całą garść i patrzył wielkimi oczami z miną zupełnie nie pojmującą sytuacji. Resedllia usłyszała w kuchni, że coś się dzieje i szybko wybiegła do izby biesiadnej.

- Do diabła! Musiałem się pomylić i zamiast ołowiu zapakować do worków złoto - powiedział Gerard z uśmiechem.

- Pomylić? - spytał stary. - Na Boga! Ile ten worek może ważyć?

- Jakieś sześćdziesiąt funtów - odparł myśliwy.

- I każdy muł dźwigał dwa takie worki?

- Tak.

- Czyje to wszystko jest.

- Moje.

- Wasze? Wyłącznie wasze? Człowieku, z was jest prawdziwy bogacz!

- Możliwe.

- Jesteście bogatsi ode mnie jakieś dziesięć razy.

- Prawdopodobnie.

- Ale powiedzcie mi, skąd to wzięliście.

- Z gór. Tam leży jeszcze dosyć tego towaru.

- Jeszcze dosyć? Znacie to miejsce?

- Naturalnie.

- Człowieku! Gerardzie! Senior! I mówicie to z taką flegmą, jakby chodziło o orzechy.

- Cóż! Złoto człowieka nie uszczęśliwia. Trochę zabrałem ze sobą, bo jest mi teraz potrzebne, chciałbym się ożenić.

- Niestety, Niestety - rzekł Pirnero i nie zwracając uwagi na obecność kobiety ciągnął dalej: - Nie szkoda to was?

- Dlaczego?

- Z takim majątkiem moglibyście dostać całkiem inną dziewczynę.

- Tak, a jaką?

- Taką, która by wam do domu i teścia sprowadziła, bo co jest warta żeniaczka bez teścia?

- To prawda - zaśmiał się z lekka Gerard. - Przedtem miałem inne zamiary, ale teraz już niestety

za późno.

- Co? Późno? Dlaczego?
- Bo jej ojciec przyrzekł ją innemu.
- To musiał być jakiś skończony osioł. Takiego zięcia odrzucać.
- Hm, nie mnie to osądzać. Wydał ją za syna swego przyjaciela z Pirna.
- Co? Jak? Macie może mnie na myśli?
- Tak jakby.
- Chcecie mnie wprowadzić w zakłopotanie. Przecież wasza narzeczona stoi tutaj.
- To akurat był taki niewinny żarcik, to jest moja siostra, a ten senior jest jej mężem.
- Żarcik. Co to za brednie! Takim żartem można najmądrzejszego człowieka wprowadzić w błąd.

Zresztą moja Resedilla was nie znosi.

- Jesteście tego pewni? - z żalem w głosie spytał Gerard.
- Jak najbardziej. Gdy tylko zobaczyła, że jedziecie, to uciekła.
- To niczego nie dowodzi. Ja poszedłem za nią, aż do jej pokoju.
- Naprawdę?
- Tak i na dodatek spytałem ją czy to przypadkiem miłość do mnie, nie kazała jej uciekać.
- Nonsens! Z miłości żadna nie ucieka.
- A jednak tak, bo powiedziała mi, że mnie kocha i gotowa jest wyjść za mnie.

Stary Pirnero zwrócił się w stronę córki:

- Czy to prawda? - spytał.
- Tak, kochany ojciec - odparła rumieniąc się.

Założył ręce i powiedział groźnie:

- To jakiś dziki zwyczaj, niby go kocha a ucieka przed nim. Czyli, że wy się kochacie?
- Tak - odparli oboje.

Nagle twarz starego rozjaśniła się uśmiechem.

- No to się pobierzcie, nie mam nic przeciwko temu.

Chciał połączyć ich ręce, ale Gerard wyrwał się i powiedział:

- Dziękuję senior, ale nic z tego.
- Nic? Do stu piorunów! A to dlaczego?
- Przecież musicie dotrzymać słowa, jakie daliście przyjacielowi w Pirna.
- Nonsens. Ja nie mam tam żadnego przyjaciela w Pirna.
- Jak to? Przecież sami mówiliście.
- Chciałem was tylko ukarać, dlatego wymyśliłem tę bajkę.
- Czyli, że naprawdę chcecie mnie na zięcia, senior?

Stary wyciągnął obie ręce wołając:

- A czy możesz w to wątpić? Naprawdę chcesz tę dziewczynę poślubić?
- Z całego serca.
- A ty także go kochasz?
- Tak - odparła roześmiana Resedilla.
- To chodź tutaj, niech cię uścisknę. Wreszcie, wreszcie znalazłem zięcia! I co za zięcia!

Uściskał oboje, po czym połączył ich razem mówiąc:

- A teraz obejmijcie się i ucałujcie jak należy, abym się przekonał, że to nie sen.

Nie dali sobie tego dwa razy powtarzać. Gerard objął Resedillę i gorąco ucałował.

- Naprawdę, całują się! No to wszelka wątpliwość już zniknęła. Ja też was muszę ucałować dzieci moje kochane. No i wszystkich i twego szwagra i twoją siostrę.

- Może też i kucharkę, która tak znakomicie przypiekła naszą pieczeń cielecą? - spytał Gerard ze śmiechem.

- Dzieci zapomnijcie o tym. Ta pieczeń przygotowana była ze złością. W nagrodę za to dostaniecie zupełnie innego, coś nadzwyczajnego.

Zaczął ponownie ścisnąć i całować każdego z osobna. Był tak uszczęśliwiony, że zapomniał nawet o złocie, dopiero gdy się potknął o worek to powiedział:

- A co zrobimy z tymi nugetami?

- Zapłacę nimi - rzekł Gerard.

- Za co?

- Cóż to kochany ojczu, zapomniałeś już naszym interesie?

- Nazwał mnie kochanym ojcem, jak Boga kocham.

Z radości aż podskoczył.

- Do diabła! Co to za radość jak się jest teściem. A co do tego interesu, rzeczywiście mam wszystko sprzedać?

- Myślałem, że ojciec był zdecydowany - powiedział Gerard.

- Tak byłem, ale ze złości.

- Szkoda.

- Dlaczego?

Bo kupiłbym to i podarował mojej siostrze.

- Człowieku to czyste szaleństwo?

- O nie. Moja siostra i szwagier marzą o takim miejscu, gdzie mogliby osiąść na stałe. Oboje nie są zbyt bogaci, a ja mam pieniądze, dlatego przyszło mi to do głowy. Byłoby wspaniale, gdybyśmy, ty i ja ojczu odstąpili im tę posiadłość a sami przenieśli się gdzieś indziej.

- Hm - zamruczał Pirnero. - Może i to nie byłoby złe, ale gdzie się przeniesiemy?

- Do Nowego Jorku, do Londynu, Paryża albo Drezna...

- Albo do Pima - przerwał mu stary z radością. - Dzieci to wspaniały pomysł. Hurra! Co powiedzą w Pirna, jak mnie zobaczą - przybrał zamyśloną minę. - Ale jak ja się tam pokażę, jako kto? W tym problem!

- Przecież jesteście kupcem, drogi ojczu.

- Kupcem? Kupcem może być każdy, to nic szczególnego.

- No to hacjendero.

- Nie będą mieli pojęcia, kto to taki.

- Posiadacz plantacji.

- Nie, to do niczego. Ach, mam już!

- Co takiego?

- Przecież tu w forcie była walka...

- Była.

- I ja także walczyłem.

- Hm - mruknął Gerard.

- I to dzielnie.

- Hm.

- Jakbym chciał dobrze poszukać to znalazłbym parę zabliznionych ran.

- Hm!

- Odszukam Juareza i... i...

- Czego ty chcesz od Juareza? - spytała zdziwiona Resedilla.

- Juarez jest przecież prezydentem, więc może nadawać szarże i honory według upodobania.

- I ty chciałbyś...?

- Naturalnie.

- A jaki chcesz stopień

- No mógłbym mnie mianować porucznikiem.

- Chyba ojciec żartujesz?

- Żartuję? No, porucznikiem w tym wieku to może rzeczywiście nie jest stosowne, ale kapitanem, majorem albo pułkownikiem. Do diabła! Ale miny zrobiliby w Pirna, jakby z powozu wysiadł meksykański pułkownik i do tego przyznał, że przed laty był uczniem szewca Wernpfenniga. Pewnie wystawiliby mi pomnik, albo na murze domu, w którym mieszkałem wmurowanoby tablicę pamiątkową. Dzieci, ja jadę do Juareza. Sprzedam wszystko, absolutnie wszystko i zostanę pułkownikiem. Juarez ma mi tyle do zawdzięczenia, że nie odmówi mojej prośbie.

POSZUKIWANIA

Jakieś dwa tygodnie później poczciwy hacjendero Pedro Arbellez siedział w swoim pokoju i wyglądał przez okno. Postarzał się mocno, ale zdrowie wróciło mu i mógł uchodzić jeszcze za całkiem dziarskiego człowieka, gdyby nie smutek malujący się na jego twarzy. Tęsknota córki za narzeczonym nie dawała mu spokoju i spalała jego siły. W tej chwili ujrzał kilku jeźdźców, którzy od północy zbliżali się do hacjendy. Na przedzie jechało dwóch mężczyzn z jakąś kobietą, a w tyle za nimi dwanaście jucznych koni z trzema poganiaczami.

- Kto to może być? - spytał Arbellez Marię Hermoyes, która nie opuszczała go ani na chwilę.

- Niedługo się przekonamy - odparła wyglądając przez okno. - Jadą naszą drogą, więc na pewno wstąpią do nas.

Jeźdźcy, gdy tylko się zbliżyli, dali koniom ostrogi i galopem wjechali na dziedziniec. Można sobie wyobrazić zdziwienie hacjendero i radość Emmy, gdy w nadjeżdżających rozpoznali Pirnera, Resedillę i Gerarda.

Zapanowało powszechne zamieszanie, powitaniom, pytaniom i odpowiedziom nie było końca. Tylko Czarny Gerard stał całkiem spokojnie. Po przedstawieniu go przez Pirnera z powrotem wyszedł na dziedziniec, gdyż nie mógł wytrzymać w zamkniętym pomieszczeniu. Przed drzwiami spotkał doktora Bertolda, który jeszcze ciągle razem ze swym kolegą Wilmanem i z siostrami Pepi i Zilli mieszkali w hacjendzie.

- Ach, co za spotkanie - zawołał lekarz. - Monsieur Manso, jak widzę całkowicie już pan wyzdrowiał.

- Tak - odparł Gerard. - Właśnie razem z Pirnero i Resedillą przyjechaliśmy.

- To oni też są tutaj? - spytał zdziwiony lekarz.

- Tak.

- Przyjechaliście w jakimś konkretnym celu?

- Nie, to raczej wizyta. Pirnero jest spokrewniony z Arbellezem. Właśnie teraz rozmawiają na górze i zadają tak szczegółowe pytania, że musiałem uciec na świeże powietrze, bo aż mi w głowie szumi. Ale co i pozostałymi? Są tu jeszcze jacyś nasi znajomi?

- Kogo ma pan na myśli?

- Sternaua?

- Zaginął.

- Zaginął? Jak to?

- Musiało mu się przytrafić jakieś nieszczęście.

- To niemożliwe, musi się pan mylić!

- Niestety nie. Sternau i jego towarzysze zaginęli. Nie mamy pojęcia co się z nimi stało.

- Którzy jego towarzysze?

Lekarz wymienił pozostałe nazwiska.

- Do diabła, znowu jakaś awantura. Proszę za mną, chodźmy do ogrodu, może będzie pan tak łaskaw i opowie mi wszystko dokładnie.

Poszli do ogrodu i lekarz opowiedział mu co się stało przed przybyciem Piorunowego Grota aż do owego tajemniczego zniknięcia, starego hrabiego. Gerard słuchał w milczeniu. Dopiero gdy lekarz skończył zapytał:

- Szukano hrabiego?

- Naturalnie.

- I z jakim skutkiem?
- Żadnym.
- Nieprawdopodobne! Nie odkryto jakiś śladów?
- Żadnych.
- Musiano przecież coś zauważyć, bodaj odcisk kopyt końskich lub ludzkich stóp.
- Ach, na to nikt specjalnie nie zważał.
- Przecież hrabia nie wyskoczył oknem.
- Okno było zamknięte.
- A drzwi?
- Drzwi? O ile pamiętam były otwarte.
- Dziwne i nie było z pobliżu żadnego trapera, który mógłby zbadać ślady.
- Nie. Wszyscy potracili głowy wobec tak niezwykłego zdarzenia.
- A może dzień wcześniej kręcił się tutaj jakiś podejrzany osobnik?
- Nie.
- Nie było nikogo obcego?
- Był.
- Kto taki?
- Syna alkada, wysłany przez Mariano do hrabiego Ferdynanda.
- No, zaczyna się coś rozjaśniać.
- O nie, wprost przeciwnie. Ten poseł także jest zagadką.
- Doskonale rozumiem - odparł Gerard z uśmiechem politowania. - Czego on chciał od hrabiego?
- Senior Mariano przysłał go z wiadomością, że złapali Józefę i że mają nadzieję wkrótce złapać także Pablo Korteję.
- Kim był ten poseł?
- Powiedział, że jest synem sędziego z Sombrereto.
- I wy w to uwierzyliście?
- Naturalnie, miał przy sobie pierścień seniora Mariano.
- Kiedy odszedł?
- Na drugi dzień.
- Był z nim ktoś?
- Nie.

- Hm - mruknął myśliwy. - Proszę wybaczyć, ale zaraz muszę się zająć tą sprawą.

Poszedł do hacjendy i kazał sobie pokazać pokój zajmowany przez hrabiego, ramy okienne były stare, ale dokładnie można bybyło zobaczyć zagłębienie, jakby po lassie, na którym spuszczano coś ciężkiego. Pod oknem, gdzie był skład kamieni i dokąd nikt nie zachodził, ujrzał wprawdzie stare, ale dość wyraźne ślady ludzkich stóp.

Wszyscy zebrali się wkoło niego, przypatrując się dziwnym poszukiwaniom. Pobieźnie powiedział im o co chodzi z tymi śladami.

- Tędy, przez okno spuszczone nieprzytomnego hrabiego, a tu czekało na niego dwóch ludzi, którzy go wynieśli.

- Ależ hrabia był całkiem zdrow - przerwał Pedro Arbellez.

- Tak, ale ów rzekomy syn sędziego, o którego dowiadywał się już sam lord Lindsay, z całą pewnością musiał być opryskiem, który obezwładnił hrabiego.

- Ale on mu oddał pierścień wart kilkanaście tysięcy.

- Mógł to spokojnie zrobić, zwłaszcza, że miał stuprocentową pewność, że go i tak odbierze.

- Wyjechał sam jeden, następnego dnia.
 - Chciał swoim współnikom dać czas na ucieczkę.
 - O rany, że mnie to wówczas nie wpadło do głowy - lamentował hacjadero. - Ale kto by się mógł spodziewać. Zaraz wyślę ludzi do Sombbrero i w kierunku Santa Jaga.
 - Tylko bez pośpiechu. Wasi ludzie mogą tylko wszystko popsuć. Wystarczy jeden człowiek.
 - Jeden? Ależ to bardzo niebezpiecznie.
 - Chętnie się podejmę tego niebezpieczeństwa, bo chodzi o życie tylu dzielnych ludzi.
- Stary Pirnero zaczął potrząsać głową.
- Właściwie nie powinienem się na to zgodzić, ale jeżeli Resedilla...
 - Resedilla jest bardzo odważna i ma dobre serce, ona mi na pewno pozwoli - przerwał Gerard.
- Oczy wszystkich skierowały się na Resedillę. Po krótkim namyśle odparła:
- Wprawdzie niechętnie się na to zgadzam, ale tu chodzi o bardzo ważną sprawę i ja nie mogę ci odradzać, o jedno cię jednak proszę; uważaj na siebie i nie narażaj się niepotrzebnie.
 - Nie bój się, moja kochana. Wiem jakie obowiązki wziąłem na siebie, nie jestem już sam na tym świecie, przyrzekam ci, że będę ostrożny.
 - Kiedy wyruszasz? - spytał Pirnero.
 - Dziś już za późno, bo zapada zmrok, ale wyjadę jutro skoro świt.
 - Ale chyba nie sam jeden? - spytał Arbellez z trwogą.
 - Samemu byłoby najłatwiej, ale aby was uspokoić wezmę ze sobą jednego, no może dwóch vaqueros, aby mogli wam donieść, jeżeli wydarzy się coś ważnego.

Cały wieczór Gerard spędził w towarzystwie Resedilli i zanim się rozstali, musiał jej przyrzec, że rano nie wyjedzie bez pożegnania z nią.

Długo w nocy spacerował jeszcze po pokoju rozważając wszystko dokładnie. Zgasił lampę i otworzył okno spoglądając na gwiazdy, które jasno oświetlały drzewa. Nagle na dole usłyszał jakiś szelest. Kiedy się wychylił zobaczył jakąś męską postać wykradającą się chyłkiem z okna położonego tuż pod jego pokojem. Wprawdzie mógł być to któryś z vaqueros, ale Gerard był zbyt ostrożny, aby zostawić to bez sprawdzenia.

- Stój! Kto tam na dole? - spytał.
- Obcy nie odpowiedział tylko szybko przebiegł przez dziedziniec ku ogrodzeniu.
- Stój, albo strzelam!

Ponieważ i na to uciekinier nie zważał, Gerard porwał strzelbę i złożył się do strzału. Jednak słabe światło gwiazd nie pozwoliło na dobre wymierzenie. Na ślepo posłał dwie kule w stronę, gdzie obcy zniknął, ale żaden krzyk nie potwierdził, czy strzał był celny. Jedno było pewne, wśród nocnej ciszy wszędzie było go słychać.

Nie zważając jednak na to, czym prędzej złapał nóż i rewolwer, przy nodze łóżka przywiązał lasso i spuścił się przez okno na dół. Biegiem dopadł ogrodzenia. Niedaleko na lewo usłyszał parskanie konia. Wyjął rewolwer i pobiegł w tym kierunku. Niestety, zbyt późno. Zanim dobiegł na miejsce usłyszał tylko tętent konia. Chwilę stał nasłuchując, po czym nie chcąc zacierać śladów inną drogą wrócił do domu. Mieszkańcy hacjendy zaalarmowani strzałami zerwali się z łóżek i pozapalali światła. Jeden z vaquero zastąpił mu drogę.

- Ach, senior Gerard - zawołał poznawszy go. - Wszyscy was szukają, niepokoją się, gdzie też senior się podział.
- Gdzie są?
- Tego nie wiem, rozbiegli się na wszystkie strony szukając was.
- Jak można ich najszybciej zwołać?

- Obok jadalni wisi dzwonek, jeżeli go pan użyje, to wszyscy niezawodnie tam przybędą.

Gerard posłuchał rady. Niedługo po głosie dzwonka wszyscy przybyli do jadalni, zjawiała się także Resedilla. Kiedy go ujrzała rzuciła się z radością w jego objęcia i zawołała:

- Bogu dzięki, że cię widzę! Już się ogromnie o ciebie niepokoiłam.

- Dlaczego? - spytał słodko.

- Słyszeliśmy strzały. Pobiegłam do twego pokoju i znalazłem tylko strzelbę. Czy to ty strzelałeś?

- Tak.

- Dlaczego?

- Zaraz powiem, ale czy wszyscy już są?

- Wszyscy.

Opowiedział całe zdarzenie, po czym spytał hacjendero:

- Co to za pokój znajduje się tuż pod moim?

- Kuchnia - odparł.

- Czy wszyscy vaqueros mieszkają w tym domu?

- O nie, większość z nich śpi w polu.

- A w kuchni kto śpi?

- Nikt, ona jest zawsze zamknięta. Ja sama mam klucze do niej - odparła Maria Hermoyes.

- Ale okno w kuchni było otwarte?

- Oczywiście, chodziło o to aby ją przewietrzyć.

- Czy to możliwe, żeby jakiś vaqueros wchodził w nocy do kuchni?

- No cóż, przekonamy się, czy jest zamknięta.

Wszyscy zeszli na dół, drzwi kuchni były zamknięte. Maria otworzyła je i chciała wejść do środka, ale Gerard zatrzymał ją.

- Proszę zaczekać, seniora. Najpierw sprawdzimy czy pod oknem nie ma jakiś śladów.

Zapalono latarnię. Ziemia pod oknami była mokra, więc dokładnie widać było ślady.

- Zgadza się - powiedział Gerard. - Ten człowiek wkradł się do środka, przez okno; nie był to jednak vaquero, bo oni noszą inne buty. To jest dość mały odcisk. Muszę rano odrysować te ślady, może mi się na coś przydadzą, a teraz chodźmy do kuchni.

Wszedł pierwszy i zaczął badać każdy kawałek posadzki. Tuż obok wielkiego rezerwuaru znalazł mały korek. Zwrócił się do Marii z pytaniem:

- Kto ostatni był w kuchni?

- Ja.

- Ten korek nie należy może do was?

- Nie.

- A nie macie takiej małej flaszeczki, do której by ten korek pasował?

- Nie.

- Jest jeszcze wilgotna, czyli że niedawno tkwił jeszcze w szyjce. Widzicie te ślady koło okna i rezerwuaru?

- Widzę - odparł hacjendero.

- I co o tym myślicie?

- Że ten człowiek wspinał się tutaj specjalnie do wody.

- Całkiem słusznie. Są dwa rozwiązania, albo jakiś obcy chciał nabrać wody...

- A kto byłby takim głupcem, aby zakradać się w nocy do środka, skoro za ogrodzeniem płynie dosyć wody.

- Racja. Podejrzewam więc, że wkradł się tutaj z pełną flaszeczką, aby do zbiornika wlać jej

zawartość.

- Na Boga, to ostatnie jest prawdopodobne - odezwał się Arbellez.
- Nie tylko prawdopodobne, ale pewne.
- Ale co miało być w tej buteleczce?
- Myślę, że się dowiemy.
- A po co to wlewał do zbiornika.
- Tego też się dowiemy. Myślicie, że chciał zrobić dobry uczynek.
- Raczej nie.

- No właśnie, dokładnie już obejrzałem sobie wodę. Seniora Maria, czy w tym kotle było wczoraj gotowane coś tłustego?

- Nie. W tym kotle nigdy się nie gotuje. Służy tylko jako zbiornik. Wczoraj był wyczyszczony piaskiem i napełniony czystą wodą.

- Czyli, że nie powinien być zatłuszczony?

- Oczywiście, że nie.

- To proszę spojrzeć. Na brzegach zgromadziły się małe, jasne, tłuste oka. panowie doktorzy mogą to dokładnie zbadać.

Wilman i Bertold podeszli bliżej by zbadać owe krople. Coś mówili po cichu, wreszcie Bertold spytał:

- Nie ma tu jakiegoś starego, chorego psa?

- Do diabła? Trucizna! - zawołał Arbellez natychmiast wszystko pojmując. - Przyprowadźcie starą sukę i dwa króliki.

Natychmiast wykonano polecenie. Doktorzy wzięli po kawałku chleba, zamoczyli je w tłuszczu i podali zwierzętom. Po niespełna dwóch minutach króliki padły a po nich suka, nawet nie zaskowycawszy.

- Trucizna! Naprawdę trucizna! - wołali wszyscy.

- Tak - rzekł Bertold. - Chociaż muszę przyznać, że nie wiem jaka, nie znam jej.

- Ja także - dodał jego kolega.

- Mnie zaś jest bardzo dobrze znana - rzekł Gerard. - To jest wyciąg z klama-bale. Indianie nazywają tę roślinę, liśćmi śmierci.

- Na Boga, co to za okrucieństwo. Zakradają się aż tutaj, aby kogoś z nas otruć! - zawołała Maria.

- Kogoś z nas? - spytał Gerard. - Albo lepiej powiedziawszy nas wszystkich; przecież z tego kotła bierze się wodę do gotowania.- Naturalnie. Na Boga, to prawda!

Ogólne przerażenie odmalowało się na twarzach wszystkich obecnych.

- Dzięki Bogu - powiedział Arbellez - że senior właśnie jest u nas. Przecież w innym wypadku byłoby po nas.

- Ale kto to mógł zrobić? - zapytała Resedilla.

- Nie domyślasz się moja droga? - spytał Gerard.

- Nie.

- Nikt inny, jak jakiś nieprzyjaciół rodziny Rodriganda.

- Ale my z tą rodziną nic jesteśmy spokrewnieni.

- To prawda, ale jesteśmy wtajemniczeni we wszystko. Dlatego też zaginął Sternau i cała jego kompania, dlatego wykradli hrabiego Ferdynanda i czyhają na życie mieszkańców hacjendy. Przy pomocy tej trucizny, za jednym zamachem pozbyliby się wszystkich świadków.

- To prawda, ciekawa jestem tylko, kto jest sprawcą?

- Zapewne Kortejo - powiedział Gerard - albo jeden z jego współników. Koniecznie muszę go

złapać i wydusić z niego prawdę.

- A jak nie zechce się przyznać?

- Ha? - zaśmiał się traper. - Chciałbym widzieć takiego, któremu uda się coś przemilczeć przed prawdziwym traperem.

- Myślisz, że uda ci się go złapać?

- Jestem o tym przekonany.

- Ale on już jest daleko!

- To nic nie szkodzi. Ma tylko jednego zmęczonego konia, a ja wezmę świeżego. Dwaj vaqueros, którzy mi będą towarzyszyli także muszą dostać dobre wierzchowce.

- Dostaniecie najlepsze jakie mam - odezwał się Arbellez.

- Dobrze, a teraz muszę się przygotować do podróży, bo i tak już nie zasnę.

Wszyscy rozeszli się do swoich pokojów. Gerard, gdy tylko zaczęło szarzeć poszedł pod kuchenne okno by wziąć odcisk pozostawionych śladów, po czym obejrzał za ogrodzeniem to miejsce, gdzie w nocy słyszał parskanie konia. Na kaktusie zostało kilka włosów i dlatego zorientował się co do maści zwierzęcia. Trochę dalej, przy strumyku obejrzał też ślady końskich kopyt. Powrócił do swego pokoju, by zabrać broń i w tym samym momencie przybiegła Resedilla, by się z nim pożegnać. Oczywiście miała całe załzawione.

- Nie rozpaczaj kochanie, - pocieszał ją Gerard - niedługo wrócę.

- Jesteś tego pewny?

- Oczywiście.

- Przecież tylu dzielnych ludzi przed tobą zginęło.

- To co innego, oni szukali zaginionych, a ja gonię zbrodniarzy.

Tymi słowami chociaż trochę uspokoił narzeczoną; pozostali z wielkim zaufaniem patrzyli za nim, gdy wyjeżdżał z hacjendy. Wraz z dwoma vaqueros pędzili śladami aż do zapadnięcia zmroku. Dopiero kiedy zapadająca ciemność uniemożliwiła dalsze posuwanie się za nimi, rozkazał przygotować nocleg.

- Tutaj przenocujemy - powiedział wskazując na pobliskie krzaki.

- A czy nie będzie to naszym błędem? - spytał jeden vaquero.

- Dlaczego?

- Bo tuż obok leży hacjenda seniora Marquezo. Zapewne tam schronił się ten drab.

- No cóż, taki łotr niechętnie zatrzymuje się w pobliżu ludzkich siedlisk, o ile możliwości unika wszystkiego co by go mogło zdradzić. Zresztą jesteśmy całkiem niedaleko od niego.

- To znaczy?

- Jest najprawdopodobniej jakąś godzinę drogi przed nami, a konia ma bardzo znużonego; jutro na pewno go dogonimy.

Uspokojeni pokładli się i zaraz usnęli. Skoro świt myśliwy pobudził swych towarzyszy. Siedli na konie i popędzili naprzód. Nagle Gerard zatrzymał wierzchowca i wskazując na stratowaną łąkę rzekł:

- Tutaj się zatrzymał, zaraz to dokładnie zbadamy. Zeskoczył z konia, by bliżej przyjrzeć się śladom.

- Do diabła! - zawołał. - Gdzie leży ta hacjenda, o której wczoraj mówiliście?

- Zaraz na prawo, za tymi zaroślami.

- Jak daleko?

- Jakieś dziesięć minut jazdy.

- Ten łotr tutaj zsiadł z konia i piechotą udał się w kierunku hacjendy. Powrócił jednak konno!

Czy przypadkiem nie zabrał z hacjendy świeżego wierzchowca?

- To byłby iście szatański pomysł.

- Niestety, tak jednak było. Widzicie te ślady? Tędy pogalopował uwolniony koń bez jeźdźca, a tu na prawo, w kierunku południowym widać ślady nowego konia, którego dosiadł.

Fatalnie się składa. Wy pojedziecie za tym nowym śladem, ja muszę wstąpić jeszcze do tej hacjendy i pomówić z właścicielem.

Po dziesięciu minutach znalazł się na dziedzińcu małego zabudowania. Zeskoczył z konia i poszedł wprost do pokoju, w którym zastał starszego mężczyznę siedzącego w hamaku i palącego papierosa.

- Czy pan nazywa się Marquez? - spytał Gerard.

- Tak - odparł mężczyzna.

- Czy sprzedał pan wczoraj konia?

- Ja? Ani mi to w głowie, ale mój siwek musiał zagać, bo go rano nigdzie nie znalazłem.

- Zgać? Może go ktoś ukradł?

- Możliwe, wysłałem moich ludzi na poszukiwania.

- Czy to był dobry koń?

- Najlepszy jakiego miałem.

- Do diabła?

- Co się stało?

- Od hacjendy del Erina ścigam bandytę. Byłem pewny, że go dzisiaj dogonię, tymczasem łotr ukradł u was konia i teraz...

- Czyli, że mi go ukradł? - przerwał Marquezo.

- Naturalnie, czy ten koń był znaczony?

- Tak, na pysku miał znak. Jedna połowa łba jest czarna.

- Dziękuję panu - obrócił się i chciał wyjść.

- Zaraz, senior? - zawołał hacjendero. - Proszę mi przynajmniej powiedzieć, czy ten drab nie zostawił swego konia?

- Zostawił, tam na lewo w krzakach, odnajdzie pan jego ślady. Nie zatrzymując się dłużej wybiegł, wskoczył na siodło i pogalopował. Niedługo dogonił vaqueros i pojechali ze zdwojoną szybkością. Z każdą chwilą na twarzy Gerarda widać było rosnące niezadowolenie.

- To przebiegły drań - powiedział do swych towarzyszy.

- Pewnie wcale nie nocował? - spytał vaqueros.

- Tak i w tym właśnie bieda. Ukradł świeżego konia i pędził całą noc. Wprawdzie znacznie się do niego zbliżyliśmy, ale wątpię czy dogonimy go przed zmrokiem.

Cały dzień pędzili bez rezultatu. O zmroku ujrzeni miasteczko Santa Jaga.

- Jedyna nadzieja w tym, że nie pojechał przez miasto? - powiedział vaquero.

- Dlaczego? - spytał Gerard.

- Bo w mieście zgubilibyśmy jego ślady.

- Za to od mieszkańców mogliśmy się czegoś dowiedzieć. Ja myślę, że właśnie wjechał do środka.

- Nie rozumiem.

- Właśnie tutaj schodzą się wszystkie poprzednie ślady. Stąd wyjechała seniorita Emilia.

Aż dotąd prowadziły ślady Sternaua i pozostałych. Mam nadzieję, że uda nam się rozwiązać ten gordyjski węzeł i odszukać winowajców.

Popędzili w kierunku zabudowań. Tuż przed miastem spotkali mężczyznę, który szedł obok wozu

ciągniętego przez dwa muły.

- Jesteście tutejsi, senior? - spytał go Gerard.

- Tak.

- Spotkaliście może jeźdźca spieszącego w stronę miasta?

- Tak, całkiem niedawno przejechał obok mnie.

- A jakiego miał konia?

- Siwego.

- Znacie może jeźdźca?

- Zaraz go poznałem po siodle, chociaż kluczył, widocznie nie chciał abym go poznał.

- Kto to taki?

- Senior, ja jestem biednym człowiekiem, a każda przysługa powinna być opłacona.

Gerard sięgnął do kieszeni i wyjął srebrną monetę:

- Macie! - powiedział wtykając mu jaw rękę. - Teraz jednak powiedzcie co widzieliście.

- Dziękuję senior, teraz powiem wszystko co mi wiadomo.

- Ale prędko!

- Bardzo prędko. To był zakonnik, Hilario.

- Co to za jeden?

- Lekarz z klasztoru della Barbara, tego na górze koło miasta.

- Widzieliście może jego konia?

- Trochę, ale zaraz poznałem tego siwka.

- To widzieliście go wcześniej?

- Oczywiście, myślę, że kupił go od seniora Marquezo.

- A po czym to poznaliście?

- Po pysku. Jedną połowę miał czarną.

- Dziękuję, senior i dobranoc!

Pojechał dalej pogrążony w myślach. Zakonnik... lekarz... z klasztoru? Tysiące myśli przelatywało mu przez głowę. Wreszcie zwrócił się do swych towarzyszy i rzekł:

- Moje przypuszczenia się sprawdziły. Ten złoczyńca mieszka tutaj, w mieście. Musimy przenocować w vencie. Jutro wydam dalsze rozkazy.

Przygotowano na podstawie bookini.pl